

II/1594/I Kontynuacja

Wspomnienia i refleksje

T O M VI

Część piąta

-Życie pod niemiecką okupacją-22.VI.41-30.III.43-

661  
503  
-----  
158.

© ARCHIWUM WSCHOĐNIE

C z ę ś ć   p i a t a  
=====

Ż y c i e   p o d   n i e m i e c k ą   o k u p a c j ą

22 czerwca 1941 - 30 marzec 1943 roku

Okupacyjny system wszelkiego rodzaju ograniczeń spożycia ~~przełoż.~~ ~~o~~ dóbr konsumpcyjnych i ich przetwarzania do użytku dla ludności, w krótkim czasie zmusił ją do szukania nielegalnych środków zaradczych.

Przede wszystkim władze faszystowskie wydały zakaz przemiału zbóż na mąkę w dowolnych ilościach, a także zamknęły wiele młynów i wiatraków w terenie, gdzie dawniej były one czynne.

W odpowiedzi na te nieludzkie zarządzenia, mieszkańcy wsi rozpoczęli masową produkcję prymitywnych żaren służących w pierwszym rzędzie do mielenia zboża: żyta na chleb i pszenicy na placki, makarony, kluski, będące codziennym pożywieniem. Ponadto trzeba było myśleć o konstrukcji stęp i tłuczków, służących do tłuczenia prosa i innych ziaren na kaszę.

Wszystko to trzeba było robić w tajemnicy przed niepowołanymi osobami, które mogły o tym donieść władzom okupacyjnym, a szczególnie nowej, wścibskiej administracji ukraińskiej, wysługującej się gorliwie Niemcom.

Agresja hitlerowska skierowana w dniu 22 czerwca 1941 roku na wschód, uwikłała Niemcy w straszną w swoich skutkach nową awanturę wojenną. Rozciągnięte linie komunikacyjne, pozostawienie na tyłach frontu w głębokich lasach i puszczańskich, bagiennych głębinach masy rozproszonych rosyjskich oddziałów dobrze uzbrojonych i znających dobrze teren, a także zahartowanych w surowych i pierwotnych warunkach życiowych, miało wkrótce przysporzyć wiele kłopotu Niemcom, a także, co jest dziwne, samym mieszkańcom okupowanych terenów. Dziwne stało się dlatego, że nowy okupant tępiąc i ścigając te oddziały, przemienione wkrótce na bitne, a nieuchwytnie partyzanckie grupy, zaczął stosować nieznane dotychczas środki, w tym celu, które najbardziej dotknęły zasiedziały tu od dawna mieszkańców, a szczególnie mieszkańców wiosek!

Chodzi tu o stosowanie tzw. "odpowiedzialności" zbiorowej za akcje partyzanckie i inne czyny, skierowane przeciwko nowym okupantom. Zgodnie z tym "nowym prawem", nie mogąc wykryć prawdziwych sprawców akcji wrogich nowemu porządkowi, Niemcy, a później ich sługusi, oddziały ukraińskiej policji, zaczęli stosować masowy terror w stosunku do ludności, szczególnie wiejskiej, osiadłej w głębokich puszczech i leśnych polanach, gdzie oddziały partyzanckie zakładały swoje zimowe i letnie bazy.

Rozpoczęła się "urzędowa" grabież świń, krów, koni, owiec i wszelkiego rodzaju domowego ptactwa w ramach obowiązkowych dostaw dla państwa i niemieckiej armii, "heroicznie" zmagającej się ze śmiertelnym obecnie wrogiem na wschodnim froncie. Na Kresach Wschodnich rozpoczęła się teraz tytaniczna

walka miejscowej ludności - wiejskiej i miejskiej o przetrwanie i własne życie. Należało obecnie wytężyć wszystkie siły, umysł i chłopski spryt, aby oszukać i wymanewrować **co**raz bardziej niebezpiecznego, i dobierającego się do skóry wszystkim, bezwzględnie "okupanta nr. 2", przejmującego "pałeczkę", w tym swoistym wyścigu grabieżczym, z rąk "okupanta nr. 1!"

-----  
Nauka w kostopolskim gimnazjum, obecnie z językiem wykładowym ukraińskim, szła opornie i bez żadnych podręczników czy innych pomocy naukowych. Większość nauczycieli rekrutowała się z Polaków, którzy ocaleli z sowieckiego pogromu, oraz kilku osób narodowości ukraińskiej. Wszyscy obecnie posługiwali się **językiem** ukraińskim, chociaż doskonale znali polski.

Dyrektor Machniewicz, wysoki, postawny mężczyzna z łysą głową, organizował naukę jak mógł, przydzielając profesorów do poszczególnych klas, ustanawiając opiekuństwa oraz obsadzając przedmioty nauczania fachowcami.

Część nauczycieli rekrutowała się ze zlikwidowanej szkoły z polskim językiem wykładowym: np. mgr. mgr. Krzepiszówna, Kruszewska, Terlecka. Nauczycieli o narodowości żydowskiej już nie było. Większość z nich uciekła wraz z wojskami sowieckimi i ludnością rosyjską, a część wyłapali policjanci ukraińscy na polecenie Niemców i osadzili w nowoutworzonym "getto" żydowskim w Kostopolu.

Wkrótce zainstalował się nowy dyrektor gimnazjum, rodowity Ukrainiec, którego nawet nazwiska nie pamiętam. Był on średniego wzrostu, z jasnymi włosami gładko zaczesanymi na głowie, lekko pochylony i z głową nieco skręconą na bok. Używał czystego, klasycznego języka ukraińskiego, z mocnym akcentem lwowskim. Widocznie pochodził z Galicji, a studia kończył zdaje się ~~w~~ Lwowie. Jego specjalność, to historia Ukrainy.

W czasie wykładów o zamierzchłych i średniowiecznych czasach Ukrainy, zwanej podówczas Małą Rusią, posługiwał się jakimś grubym tomem historii Ukrainy, mocno podniszczonym, poprzekładanym w kilkunastu miejscach kartkami z notatkami, z których następnie dyktował uczniom niezbędne, najważniejsze wydarzenia i wiadomości dotyczące panującego, założycielskiego rodu rządzącego Rusią kijowską, a mianowicie rodu Rurykowiczów.

Początkowo notatki prowadziłem po ukraińsku, posługując się alfabetem łacińskim /fonetycznie!/ ale po kilku tygodniach opanowałem nieco lepiej **zawiałości** bratniego języka, a że znałem już dawno alfabet rosyjski /cyrylicę/, przeto doścignąłem wkrótce rodowitych kolegów Ukraińców, których sporo zjawiało się w naszej klasie. M.in. chodził ze mną do czwartej klasy Ukrainiec z Jabłonna, którego nazwiska już nie pamiętam. W późniejszym okresie miałem z nim kilka porachunków na tle "samostijnej Ukrainy", a także osobistych.

Język ukraiński /język polski był eliminowany z wykładów!/ prowadziła jakiś czas, wspomniana już wcześniej, Szpilkinówna, ucząca jednocześnie języka łacińskiego. Była bardzo wymagająca, ale nie zauważyłem u niej zacie-

trzewienia nacjonalistycznego, chociaż była rodowitą Ukrainką /może się mylę?/. Rodzice mieszkali przy ulicy Kopernika, w pobliżu parowego młyna; ojciec prawdopodobnie trudnił się wcześniej prowadzeniem biura pisania podań i in.

-----

Oprócz nauki przedmiotów ścisłych jak: matematyka, geometria, biologia, a także języka ukraińskiego i niemieckiego oraz łaciny, obowiązkowe były wykłady propagandy sukcesów armii niemieckiej na wszystkich frontach w Europie, a także na morzach i oceanach. Szczególnie intensywnie prowadzono propagandę wizualną. Na korytarzu gimnazjalnym wisiały, jak pamiętam, wielobarwne fotogazetki w języku niemiecko-ukraińskim, obrazujące olbrzymie osiągnięcia militarne armii hitlerowskiej szczególnie na froncie wschodnim. Oglądałem tam olbrzymie, kilkudziesięciotonowe najcięższe czołgi sowieckie typu "KW" / "Klim Woroszyłow"/, "IS" / "Iosif Stalin"/, potężne działa wraz z ciągnikami i jaszczami, samochody pancerne i tp., a wszystko to porozbijane, postrzelane, pogięte, przewrócone do góry gąsienicami, leżące w rowach przydrożnych lub zepchnięte na bok z lufami dział opuszczonymi w dół, już niegroźne i nie zagrażające drogi niemieckiemu niepowstrzymanemu parciu na Moskwę.

Obok widniały skrzywione drogowskazy z napisami: Możajsk, Tuła, Klin i tp. z odpowiednimi odległościami od Moskwy - stolicy ZSRR. Na innych zdjęciach widoczne były nieprzeliczone masy jeńców sowieckich, obdartych, przeważnie zarośniętych, bez żadnego osobistego ekwipunku podążające w przeciwnym kierunku na zachód, pod eskortą uzbrojonych w automatyczną broń żołnierzy niemieckich. Na środku afisza-gazetki zdjęcie "Führera" z podniesioną prawą ręką przyjmującego defiladę swych zwycięskich wojsk. Wrażenie było naprawdę oszałamiające! Czytałem, oglądałem i nie wierzyłem oczom!

Przypomniały mi się ogromne manewry w rodzinnej wiosce i okolicy w ubiegłym roku, przeprowadzone przez zmechanizowane i pancerne związki Armii Czerwonej. Stały mi przed oczami potężne czołgi i lżejsze tankietki oraz ich żołnierska obsługa biwakująca w naszym lesie i gromadzkim "Zapuście", a także żołnierze łączności kwaterujący w naszym domu, ich dziarskie postawy, pełanimuszu, i pewności siebie twarze, i... nie mogłem sobie, jakoś wyobrazić, że oto teraz, wszystko to wali się z trzaskiem w gruzy i rozpada się niby ogromny domek z kart!? Jednakże foto-gazetka mówiła sama za siebie, i zmuszała do refleksji. Zdawało się, że nowy okupant łatwo osiągnie zamierzony cel.

-----

W połowie zimy 1941/42 ojciec zainicjował budowę solidnych żaren, napędzanych początkowo ręcznie za pomocą korby. Konstrukcja żaren znacznie odbiegała od powszechnie używanych przez miejscowych Ukraińców, które kręcono długim drągami umocowanym górnym końcem przy suficie, a drugim wpuszczonym w obrotowy kamień z otworem w środku, przez który drugą ręką należało sypać ziarno.

Wykonaniem obu kamieni: górnego i dolnego zajął się Marian, przebywający

w tym okresie u rodziców / Niemcy po zajęciu Warszawy zamknęli wszystkie uczelnie/.Któregoś dnia ojciec przywiózł saniami dwa granitowe głazy, bardzo ciężkie, o wymiarach pozwalających wykuć z nich okrągłe kamienie o średnicy, o ile się nie mylę, ok. 40-45 cm. Kamienie te zdobył zdaje się w Mokwinie przy stacji kolejowej, w dawnej bazie polskiej budowy fortyfikacji.

W czasie ferii świątecznych Bożego Narodzenia miałem możliwość dokładnie obserwować wykonywanie owych kamieni do żaren przez Mariana, a także drewnianej obudowy do której miały być następnie wmontowane. Obudowę wykonywał Mieczysław przy pomocy ojca, który wspólnie z nimi rysował i uzgadniał wszelkie niezbędne szczegóły tej nowej, pasjonującej nas wszystkich, a pilnie potrzebnej wtedy konstrukcji.

Górny kamień posiadał wykuty otwór o średnicy 100 mm przez który miał być wsypywany strumień zboża, natomiast dolny - 20 mm. Przez dolny otwór przechodził zaostrzony stalowy trzpień, na którym obracał się właśnie główny kamień. Dolny kamień był unieruchomiony, osadzony w drewnianej oprawie, przymocowanej do czterech kwadratowych nóg-słupków. Do nich była mocowana cała obudowa żaren, korba do dębowej poprzeczki oraz kosz na zboże o pojemności ok. 6-8 dm<sup>3</sup>, wykonany ze sklejki. Spód kosza był ruchomy, zbudowany w formie rynny zwężającej się ku dołowi. Listewka umocowana na końcu rynienki opierała się o kwadratowy kawałek dębiny nasuniętej na wrzeciono obracające cały kamień. W czasie obracania ręcznego korby, listwa stukała lekko o to drewnienko, powodując równomierne wysypywanie się ziarna przez regulowaną szparę w dnie kosza.

Na końcu górnego wrzeciona, którego czop był zakończony kwadratowo, nasadzona była korba, z drewnianym obracającym się solidnym uchwytem. Dolna część górnego wrzeciona była rozszczepiona na dwie równe połowy, tworzące prostokątną obejmę, nasuniętą od góry na poprzeczny dębowy zabierak, umocowany w dolnej części górnego kamienia, biegnący w poprzek całego otworu.

To urządzenie pozwalało na przeniesienie momentu obrotowego od korby do górnego kamienia. Dolna część dębowego zabieraka była uzbrojona w hartowaną, dość grubą /ok. 10 mm/ kwadratową blaszkę, wmontowaną w zabierak. Blaszka ta miała wytłoczoną wklęsłą wgłębienie opierające się na ostro zakończonym dolnym, regulowanym pionowo trzpieniu. Było to łożysko dla górnego kamienia, obracającego się lekko, pomimo wielkiego ciężaru / ok. 45-50 kg/.

Drugi koniec dolnego trzpienia, oparty na dębowej poprzeczce, można było podnosić do góry i opuszczać, w zależności od potrzeb, regulując w ten sposób szparę pomiędzy obracającym się górnym kamieniem, a nieruchomym dolnym.

Do podnoszenia tej poprzeczki służyła pionowa żelazna śruba, o specjalnej konstrukcji, opierając się końcem o belkę mocującą słupki wspornikowe.

Po przeciwnej stronie kosza ze zbożem, znajdował się otwór odprowadzający zmielone ziarno, wysypujące się krótką drewnianą rynienką wprost do

podstawionego garnka czy worka. Oba kamienie miały na powierzchni trącej, nacięte, rozchodzące się promieniście od środka skośne kanaliki, służące lepszemu przemieszczaniu się ziarna pomiędzy kamieniami i bardziej równomiernemu rozcieraniu się na mąkę. Takie rowki-kanaliki miały prawdziwe kamienie młyńskie.

Całość musiała być dokładnie obudowana sklejką, w formie okrągłego kosza, w celu zabezpieczenia przed wysypywaniem się rozstartej mąki na zewnątrz.

-----

Jak pamiętam, pierwszym klientem-użytkownikiem tych żaren był p. Rut, który już wcześniej oczekiwał na wykończenie konstrukcji, przynosząc worek żyta do zmielenia na chleb. Dla mnie osobiście była to wielka emocja, kiedy obserwowałem pierwsze początki ręcznego mielenia żyta na nowych żarnach.

Kiedyś oglądałem ręczne żarna, oczywiście o bardzo prymitywnej konstrukcji u jakiegoś Ukraińca w Antonówce, ale te żarna nie można było nawet porównać do naszych! Raz zasypane zboże sypało się równym strumieniem wprost do otworu w kamieniu, poprzez rytmicznie stukającą rynienkę, a z boku sypała się mąka, zwana razówką. Nie trzeba było, jak w tamtych żarnach, chwycić drugą ręką zboże ze stojącego obok worka, i raz potaż wrzucać je do otworu, przeszkadzając sobie w czasie kręcenia drugą ręką. To był już ogromny postęp techniczny w dziedzinie nielegalnego przemiału!

Wkrótce ojciec i mnie zatrudnił któregoś dnia przy mieleniu żyta. Bardzo szybko stwierdziłem, że jest to jednakże bardzo ciężka praca! W pewnych momentach mąka zacierała się między kamieniami i prosto nie można było sobie dawać rady z kręceniem korby. Musiałem śrubą unosić nieco górny kamień, przekręcać kilkakrotnie szybko korbę do chwili, gdy zmielona mąka wysypała się spod kamieni do naczynia, i dopiero wówczas odkręcałem kosz i opuszczałem kamień na pierwotne położenie. Zacząłem szybko się męczyć i zniechęcać do tej niewolniczej wręcz roboty, którą przecież powinny wykonywać siły przyrody, dawno już wynalezione i zaprzęgnięte do pracy przez człowieka!

Zwierzyłem się z tego ojcu, XXIII sądząc, że zwolnią mnie wkrótce z tej katorgi i obowiązku domowego, do którego doprowadziła druga okupacja, czyli stałego robienia niezbędnego zapasu mąki na kuchenne potrzeby.

Niestety, coraz mocniejsze ograniczenia i zakazy władzy faszystowskiej, zmusiły wszystkich mieszkańców rodzinnej wioski do przejścia na całkowicie nielegalne kręcenie żarnami, szczególnie wieczorami, a nawet w ciągu całych godzin nocnych. Miało się wówczas pewność, że tak będzie bezpieczniej przed donosicielami i sługusami Niemców.

Doświadczeni nauczyli nas, że przed rozpoczęciem mielenia, należy naprzód zboże dobrze wysuszyć. Okazało się, że suche zboże miele się znacznie łatwiej, mąka nie zaciera się wtedy między kamieniami. Od tego czasu na przepiecku codziennie na płachcie suszyło się zboże przeznaczone do mielenia w żarnach.

-----

Któregoś dnia kręcąc na zmianę z bratem żarna, wpadliśmy na pomysł podłączenia żaren do turbiny powietrznej, która była już prawie na ukończeniu, przechodziła jedynie końcowe próby. Pomysł był kapitalny, tym bardziej, że ktoś nam opowiadał, że w innych wioskach ludzie mieli zboże w żarnach przy pomocy kieżatu napędzanego końmi, oczywiście w nocy, z zachowaniem największych ostrożności. Od tego czasu zaczęliśmy wspólnie przemyśliwać nad jak najszybszym zainstalowaniu żaren do napędu turbiny.

Równoległe z budową żaren, trwała wytężona praca ojca, Mieczysława, oraz Mariana nad ukończeniem turbiny powietrznej. W końcu srogiej zimy, zdaje się był to już początek marca, wszystkie próby i doświadczenia związane z pracą turbiny były już ukończone. Kiedy zjawiłem się na ferie wielkanocne, poszczególne zespoły były już gotowe do montażu. Należało obecnie zbudować solidne podpory z głównym trzpieniem, na którym miała się obracać w kierunku wiatru dębowa rama z wałem, z umocowanymi na jednym końcu skrzydłami turbiny. Było ich sześć, zbudowanych ze sklejki, przymocowanej do długich, dębowych ramion, lekko skośnie i z mocowanych poprzeczkami. Średnica turbiny wynosiła ok. 3 metrów.

Po wsporniki należało naprzód wybrać się do własnego lasu i wybrać dwie strzeliste sosny, ściąć je i przetransportować na podwórze do dalszej obróbki. Zostały one okorowane, przycięte na wymiar, górna część pni została skośnie przycięta w miejscu, gdzie miał być przymocowany główny dębowy trzpień. Na 2/3 długości wsporników wykonano otwory pod dwie śruby ściągające dwa pnie w kształcie litery "A", gdzie <sup>mocowane</sup> przycięte były dwie, rozcięte na pół, belki do poprzecznego mocowania przypór. Następnie poszczególne obrobione elementy końmi przyciągnięto pod szczyt północny domu, gdzie całość została skręcona. ~~X~~ Powrozami i długimi tykami, przy pomocy sąsiadów, w następnej kolejności dźwignięto do góry i przymocowane do pierwszej krokwi dachowej.

Na jednej z przypór ojciec wykonał szczeble, umocowane gęsto jedna nad drugimi w kształcie drabinki, które wiodły na sam wierzchołek z mocowanych tam razem obu przypór. Można było tamtędy wnosić poszczególne części i montować na górze. Rama nośna, podtrzymująca właściwą turbinę, wał ułożyskowy wraz z kołem zębatym kątowym i końcówką pionowego wału, przekazującego moment obrotowy poprzez drugie mniejsze kółko zębate kątowe/stożkowe/, posiadała po przeciwnej stronie turbiny płat sterujący, naprowadzający automatycznie skrzydła turbiny w kierunku wiejącego wiatru /inaczej można to nazwać ogonem wiatraka/. Powierzchnia steru wynosiła ok. 3 m<sup>2</sup>, długość 2 m. Ster wykonany był z sosnowych beleczek, pokrytych dwustronnie sklejką, rozszerzającą się ku tyłowi. Wał pionowy, przekazujący napęd w dół do urządzenia obracającego prądnicę, był osadzony idealnie w centrum obrotu ramy naokoło swej osi wraz z turbiną i usterzeniem. Tylna część wału głównego /turbiny/ była mocowana nakiełkowanym wgłębieniem na hartowanym kle stalowym, mocowanym w dębowej ranie obrotowej. Całość ramy z turbiną obracała się na dębo-

wym trzpieniu, o średnicy ok. 80 mm. przez który przechodził stalowy wał pionowy, wykonany z pręta o średnicy 20 mm wycięty w rozwaliskach w bunkrze. Konstruując ów dębowy trzpień nośny ośmiocentymetrowej średnicy, należało go naprzód przeciąć równo na połowę /jego długość wynosiła 1500 mm = 1,5 m/, następnie wyłobić dwustronnie prosty półokrągły rowek, który po złożeniu dwu połówek wyglądał jak dokładnie przewiercony otwór o średnicy 25 mm. Wykonanie innym sposobem było w naszych warunkach technicznie niemożliwe, ponieważ trzeba było mieć odpowiednio długi świder do drewna, oraz specjalną wiertarkę pionową z odpowiednim mocowaniem i oprzyrządowaniem.

W każdym razie wykonanie przelotu przez trzpień nośny dla wału pionowego było ~~jedną~~ z najtrudniejszych operacji, którą częściowo wykonał ojciec, oraz Mieczysław przy pomocy półokrągłego dłuta i rozpalonego pręta żelaznego.

Połączenie wału pionowego poprzez dwa stożkowe kółka zębate, z wałem poziomym, prowadzącym do wewnątrz strychu, usytuowane było na poprzecznych belkach mocujących główny wspornik w kształcie litera "A", na wysokości północnego okna strychu. Stamtąd, poprzez wywiercony otwór w desce szczytu domu, wał poziomy przechodził do wewnątrz, łącząc się w dwu miejscach ze specjalnie zamontowanymi belkami, wspartymi na złączonym śrubą słupie, opierającym się drugim końcem o podłogę. Na belkach wał mocowany był w łożyskach kulkowych. Na tym wale umocowany był walec stożkowy Nr. 1, przekazujący następnie zredukowaną w razie potrzeby obroty na walec Nr. 2, również o profilu stożkowym, ale usytuowanym względem walca Nr. 1 odwrotnie profilem.

Walce były połączone ze sobą napędzającym skórzanym paskiem, o szerokości 30 mm i długości bieżącej ok. 2000 mm. Jak już poprzednio wspomniałem, pasek był przesuwany po powierzchni stożkowych walców, specjalnym urządzeniem balansowym, w zależności od szybkości obrotów turbiny i siły wiatru.

Wszystkie mocowania wirujących wałów były ułożyskowane łożyskami kulowymi, które ~~były~~ <sup>zostały</sup> wymontowane przez Mieczysława z tylnego mostu samochodu osobowego. Dawało to gwarancję, że praca urządzenia będzie cicha i sprawna. Tak też było w istocie. Na ~~napędowym~~ wałku, od walca stożkowego Nr. 2, dającego już zredukowane odpowiednio obroty, umieszczone było koło pasowe, o średnicy ok. 300 mm napędzające bezpośrednio prądnicę czołgową, mocowaną przesuwnie na dwu sosnowych belkach; dawało to możliwość odpowiedniego naprężania pasa napędowego, aby nie było poślizgu w czasie ładowania akumulatora.

-----

Tuż nad stanowiskiem prądnicy, na słupie podtrzymującym więźbę dachową umocowana była specjalnej konstrukcji deska rozdzielcza prądu stałego. Płytę do tablicy rozdzielczej ojciec zdobył gdzieś w Kostopolu. Była to zwykła płyta ebonitowa z licznika poboru energii elektrycznej, odpowiednio przystosowana, z wywierconymi otworami dla przewodów elektrycznych. Cały skomplikowany system łączenia przewodów oraz konstrukcji automatycznego wyłącz-



nika prądnicą, ojciec obmyślił i zmontował sam, ponieważ doskonale się na tym znał. Automatyczny wyłącznik prądnicą był nieodzowny w wypadku, kiedy turbina ~~unieruchamiała~~ się z braku siły napędowej wiatru. Należało skonstruować specjalne elektromagnesy i sprężynującą blaszkę mosiężną z końcówką żelazną, a także bolec łącznikowy, zwierający końcówkę i przewodzący dobrze prąd.

Wszędzie musiało być zainstalowane ~~o~~ oświetlenie elektryczne nad całym urządzeniem wytwarzającym prąd, ze specjalnym odprowadzeniem po słupach wewnątrz strychu, przez sufit do pomieszczeń mieszkalnych, a przede wszystkim do kuchni.

Pod stanowiskiem prądnicą zamocowany był akumulator samochodowy, o napięciu 12 V, zalany odpowiednio stężonym kwasem siarkowym z mieszanym z wodą deszczową w akumulatorze. Napięcie <sup>i natężenie</sup> prądu ojciec mierzył woltomierzem i amperomierzem. W czasie kiedy akumulator był dobrze naładowany, prądnicą była automatycznie wyłączana, jak również w wypadku kiedy napięcie prądnicą spadało, co związane było ze zwolnionymi obrotami turbiny i słabego wiatru.

Jak pamiętam, w kuchni brat Mieczysław skonstruował mały abażur ze sklejki, w którą wkręcone były gniazda gwintowane do żarówek 3 V z latarek ręcznych na baterie. Połączył kilkanaście sztuk szeregowo, obniżając automatycznie napięcie właściwe dla tego typu żarówek. Natomiast w przyległym pokoju zawiesił dwie normalne żarówki samochodowe, osłonięte papierem w formie reflektora. Próba oświetlenia wypadła pozytywnie! Światło elektryczne wreszcie dotarło do rodzinnego gniazda! Była to, co prawda wielka prowizorka, ale wówczas dla nas wszystkich była to wielka radość i mocne przeżycie!

Przynajmniej ja to tak odczuwałem! W każdej wolnej chwili asystowałem przy pracach wykonywanych przez Mieczysława, Mariana czy ojca, pomagałem, jak mogłem, kręciłem wentylatorem w kuzience usytuowanej w dawnym pomieszczeniu parnika, który został pewnej nocy skradziony przez nieznaną sprawcę/ domyślam się, że świetnie kocioł nadawał się na tajną bimbrownię!/, piłowałem niektóre proste detale do turbiny, zlecone przez brata, i w ogóle starałem się bardzo przybliżyć <sup>fermia</sup> uruchomienia naszej wspólnej elektrowni jak najprędzej

-----  
Nadeszła wreszcie chwila, kiedy ojciec zdecydował się zmechanizować żarna, i przenieść je ze spiżarni, gdzie były ukryte pod narzuconymi workami, na strych, i podłączyć do napędu turbiną powietrzną. Dla mnie osobiście było to wielkie zwycięstwo, ponieważ miałem się za pomysłodawcę, no i wreszcie miało to przynieść mi wielką ulgę; byłem już niepisany "zawodowcem", powoli przyzwyczajany do bezmyślnego kręcenia korbą żaren, co mnie bardzo męczyło.

Tak było przeważnie w okresie świątecznych ferii, a także w czasie ostatnich już wakacji, które spędziłem w rodzinnym gnieździe, o czym oczywiście nie miałem jeszcze wówczas pojęcia, że będą ostatnimi w okresie mej młodości!

Stopień po stopniu, czterech mężczyzn powoli wniosło ciężkie żarna na strych, gdzie zostały ustawione tuż pod oknem wychodzącym na północ, a także obok urządzenia napędzającego prądnicę. Mieczysław wykonał dwa koła z drewna: jedno mniejsze, które umocował na zewnątrz na pionowym wale napędowym, ~~drugie~~, o dwukrotnie większej średnicy/ok. 250 mm/ umieścił na miejscu korby napędzającej żarna, nieco poniżej. ~~KKKK~~ Ojciec wysmolewał odpowiedniej długości powróż konopny, i wywierciwszy dwa otwory w deskach szczytowych, umocował go na obu kołach.

Pierwsza próba wypadła doskonale! Przyjemnie było patrzeć, jak kamień obracał się szybko, napędzany silnym wiatrem nocnym, a mąka sypała się strumieniem do przystawionych pojemników! W czasie, kiedy wiatr był słabszy, lub zacihał chwilami zupełnie, trzeba było wówczas trochę pomagać kręceniem za korbę, ale było znacznie łatwiej niż bez pomocniczego napędu turbiną.

- Wkrótce najbliżsi sąsiedzi, dowiedziawszy się /naturalnie w wielkiej tajemnicy/ o zainstalowaniu u nas nowoczesnych żaren, zaczęli przynosić wysuszone woreczki ziarna do zmielenia. Jednakże w czasie dobrego wiatru, ojciec, a przeważnie Mieczysław, sami oferowali się do pomocy, nie chcąc dopuszczać większej ilości osób do zaglądania na strych, gdzie w obudowanym płytami sklejkowymi pomieszczeniu, celowo oddzielonym od reszty strychu, była zainstalowana ~~domowa~~ domowa elektrownia, ładująca akumulator do oświetlenia, a także do radia, które dotychczas było jedynym źródłem wiadomości z działań wojennych na frontach świata.

-----

Tymczasem zbliżał się koniec wiosny, następowało lato 1942 roku, a z nim zakończenie roku szkolnego w kostopolskim gimnazjum. Była to, przyznam się, parodia nauki! Zaczynały się pierwsze niepowodzenia Niemców na frontach rozpętanej przez nich wojny, a niepowodzenia te były natychmiast odczuwalne w miasteczku, a także szkole. Do tego doszedł "problem żydowski", który całkowicie dezorganizował życie reszty cywilnej ludności z trudem wiążącej koniec z końcem.

Część uczniów zrezygnowała z nauki, widocznie z powodów rodzinnych, a także chyba z niemożności utrzymania się na prywatnych kwaterach, ponieważ zaczął zaglądać, do większości szarych mieszkańców miasteczka, poprostu głód. Dużo Polaków wyjechało w inne okolice, Żydzi zostali zapędzeni do "getta", wszędzie snuli się ukraińscy policjanci z opaskami na rękawach. Niektórzy z nich asystowali Niemcom, konwojowali aresztowanych, których coraz więcej pojawiało się w zwartych grupach, pędzonych w różnych kierunkach po uliczkach. Grono profesorskie gwałtownie zmalało, część wyjechała, a część musiała prawdopodobnie imać się zupełnie innej pracy, dającej jakie takie utrzymanie.

Nowy dyrektor gimnazjum, Ukraińiec, zaczął nas zatrudniać przy urządzaniu swego mieszkania, które znajdowało się na piątym piętrze, na prawo od głównego wejścia.

cia wewnątrz budynku szkolnego. Nosiliśmy tam i ustawialiśmy w pokojach jakieś meble, kanapy, szafy, krzesła, stoły i łóżka, najwidoczniej zarekwirowane z mieszkań żydowskich. Była to dziwaczna zbieranina z przeróżnych kompletów, ale w dobrym jeszcze stanie.

Najwięcej kłopotu sprawiło nam wniesienie olbrzymiego, czarnego fortepianu ~~KXXXX~~ o trzech nogach. Długo nie mogliśmy sobie z nim poradzić, ponieważ cholerne nogi wszędzie zawadzały na schodach, a na zakręcie któraś noga wpakowała się pomiędzy szczeble poręczy tak, że nie można było postąpić z tym przeklętym pudłem ani do góry ani na dół. Po pewnym czasie udało się nam zsunąć go z powrotem do korytarza i tam wpadliśmy na pomysł odkręcenia wszystkich trzech nóg, co przyszło nam z niejakim trudem, bo nie mieliśmy żadnych narzędzi przystosowanych do tego celu. Fortepian został wniesiony na górę, ale dopiero drugiego dnia, po zajęciach lekcyjnych.

Rosło wrogie napięcie pomiędzy uczniami Polakami i Ukraińcami, co wkrótce doświadczyłem na sobie, i to w zupełnie dziwacznych okolicznościach. Pamiętam, że do gimnazjum kostopolskiego w owym okresie uczęszczała znikoma ilość dziewcząt ukraińskich, w każdym razie w naszej klasie nie było żadnej, a te które były, to wszystkie Polki z terenu powiatu i z miasteczka. Większość chłopców starała się mieć swoją sympatię - koledzy Ukraińcy, a także Polacy; oczywiście wyboru nie było, skoro wszystkie były narodo-wości polskiej. Zaczęła się tworzyć specyficzna sytuacja w stosunkach pomiędzy grupkami chłopców, a także dziewcząt.

Młodzi Ukraińcy obecnie czuli się panami sytuacji - dyrektorem był rodowity Ukrainiec, grono nauczycielskie zobowiązane było mówić publicznie i wykłady prowadzić po ukraińsku, atmosfera i duch w szkole musiał być ~~w~~godny z warunkami polityczno-militarnymi, jakie zapanowały od niedawna, po likwidacji polskiej, a następnie radzieckiej administracji, no a i napisy, ukraińska prasa, afisze, hasła, slogany, które każdy z nas napotykał na każdym kroku udowadniały niezbicie, że "samostijna Ukraina", to realny fakt, a nie uznawać go, było nader niebezpiecznie. W związku z tym, stosunek koleżeński był również z duchem czasu, - wyniosły, nieledwie pogardliwy uczniów Ukraińców ~~XXXXXX~~ do Polaków, a szczególnie do uczniów z niższych klas.

Zaczęło wkrótce dochodzić do rękoczynów, poszturchiwań, niespodziewanych podstawiań nóg w czasie spacerów na przerwach po korytarzu i placykach obok szkoły, rzucanie grudkami śniegu, kamyków, zwiniętych kulek papieru nasyconych atramentem, chodzenie odrębnymi grupami i przepychania się w ciasniejszych przejściach i tp.

Pewnego dnia, na przerwie po trzeciej lekcji, a była to wówczas przerwa piętnastominutowa, należało zgodnie z zaleceniami dyrekcji, urządzać kołowe spacery parami po korytarzu, ponieważ brak było pomieszczeń do ćwiczeń, co dawało niejako wrażenie czynnego wypoczynku, sprzyjającego lepszemu krą-

zeniu krwi w młodym organizmie, oraz zaczerpnięcia świeżego powietrza po kilkunastu godzinowym siedzeniu w klasie w czasie nauki.

Szybko potworzyły się pary spacerowe; każdy starał się ustawić obok, a w najgorszym przypadku w pobliżu swoich sympatii, i spacerując, poflirtować trochę dla rozrywki z miłymi sercu koleżankami. Również i ja, nie chcąc zostać w tyle za innymi, szybko wcisnąłem się w korowód spacerujących, zajęłem miejsce z tyłu wybranej pary dziewcząt. Były to jakieś dwie koleżanki, każda o innej urodzie: blondynka i brunetka. nawiązałem rozmowę z brunetką, nachylając się nieco w jej stronę, i uczyniłem kilka kroków do przodu... niespodziewanie odczułem nagle, że nogi mi się poplątały, zaczepiając jedna o drugą! W pierwszej sekundzie sądziłem, że to wina podłogi, która w tym miejscu posiadała wyslizgane buciorami, wystające dość wysoko sęki i garbki! Odwróciłem się od dziewcząt, patrząc pod nogi i jednocześnie do tyłu...

Złośliwie wyglądająca, szeroko rozwarta gęba w cynicznym uśmiechu zamajaczyła nagle przed moimi oczami...! Był to właśnie ów kolega-Ukrainiec z Jabłonno, drepcący zgodnie w parze z drugim, bliżej mi nie znanym.

Spojrzałem ostro na obydwu z wyraźną naganą w oczach, następnie odwróciwszy się chciałem ponownie przyłączyć się do moich partnerek, ruszając szybko z miejsca w ich kierunku... były już oddalone około kilku metrów.

Za bardzo się widocznie pośpieszyłem! Tym razem, po ponownym podcięciu mi nóg runąłem jak długi, wprost na plecy odwróconych tyłem obu dziewcząt!! Tego było już za wiele! W oczach mi pociemniało, a w uszach usłyszałem jakiś wściekły szum i dzwonienie. W jednej sekundzie zerwałem się z podłogi jak rozżarty tygrys! Precyzyjnie wymierzony boksercki cios wykonany prawą ręką w podbródek osiągnął celu!!

Przeżyłem tę swoistą kompromitację, na oczach miłych moim sercu dziewcząt, bardzo głęboko. Dotychczas, jak sobie przypominam, nie używałem fizycznie swoich umiejętności bokserckich w stosunku do moich najbliższych kolegów, czy znajomych, w szkole lub gdzie indziej, a za takiego uchodził właśnie ów Ukrainiec, tym bardziej, że przecież jego i moi rodzice byli prawie sąsiadami, mieszkając zgodnie, ~~wolających~~ obok siebie wsiach - polskiej i ukraińskiej. Byłem niesłychanie wstrząśnięty nerwowo i zupełnie załamany psychicznie. Wyładowało się to, niespodziewanie dla mnie, kiedy po tej scysji udałem się do klozetu, w spazmatycznym płaczu, a później mocnym bólu głowy.

Z zaczerwienionymi oczami, milcząc, wsunąłem się do swojej ławki, i przesiedziałem tak, nieruchomo tkwiąc na swoim miejscu przez resztę godzin lekcyjnych, z daleka tylko obserwując swojego rywala. Miał on lekko rozciętą wargę i trochę krwi z boku ust, które starał się ukryć trzymając w lewej ręce chusteczkę przy twarzy. Muszę jednak przyznać, że później nie miałem od niego więcej żadnych przykrości. Widocznie uważał, że było jeszcze za wcześnie na jakikolwiek rewanż.

Doczekałem wreszcie końca roku szkolnego, który w tym roku był wyjątkowo wczesny, zdaje się około 15 czerwca, tym bardziej, że sytuacja polityczna na świecie była niesłychanie zagmatwana, jak również w miasteczku.

Niepowodzenia na frontach wojennych najwidoczniej rozkwściekliły Niemców i ich ukraińskich sługusów. Wyraziło się to spędzeniem wszystkich Żydów do getta, rozpoczęciu powszechnego terroru w stosunku do cywilnej ludności, gwałtach, rabunkach, oraz coraz ostrzejszych reakcjach hitlerowców na akcje radzieckich partyzantów w formie wysyłania całych ekspedycji karnych na duże wsie i osiedla, szczególnie polskie, podejrzane o sprzyjanie ruchowi partyzanckiemu, skierowanemu przeciwko niemieckiej okupacji i ukraińskiej kolaboracji. Ponadto rozpoczęły swoje akcje zwykłe ukraińskie bandy rabunkowe napadające na pojedynczych gospodarzy i polskie wsie. Dochodziło czasami do morderstw.

Przyznam się, że z ulgą doczekałem się wreszcie końca roku szkolnego, i wracając z powrotem na wieś, do rodzinnego domu, z góry cieszyłem się urokami wiejskiego bytowania, po miesiącach przebywania w Kostopolu, jego nerwowej atmosferze bytowania, wybrykach ukraińskiej administracji i postępującej degradacji poziomu życia cywilnej ludności, szczególnie polskiej.

-----

Stan inwentarza w ojcowskim gospodarstwie gwałtownie się zmniejszył, co zdążyłem stwierdzić wkrótce po powrocie do domu. Interesowało to mnie przede wszystkim z tej racji, że szykowałem się, normalnie jak co roku, do kontynuowania ciągu pasionki krów. Tymczasem okazało się, że w chlewie zastałem opłakane resztki z okazanego kiedyś stada krów i cielic. Wszystkie dorodne okazy krów, cieląt i świń poszły na rzeź do miasteczka, jak domagała się tego natarczywie ukraińsko-faszystowska administracja "nowego ładu".

Któregoś dnia ojciec został powiadomiony o dodatkowej dostawie żywca do miasta, i chcąc nie chcąc, musiał się dostosować do srogiego polecenia i w terminie jak najkrótszym zaprowadzić krowę do punktu odbioru. Wczesnym rankiem ojciec uwiązał na postronku cielicę, i wraz ze mną, jako poganiaczem i pomocnikiem w jednej osobie, poszliśmy przez wieś, kierując się traktem do Kostopola.

Po kilkudziesięciu minutach dotarliśmy do Pieczakówki, gdzie na zakręcie drogi, tuż obok starego parku, zaczepił nas na drodze, mieszkający obok jakiś Polak, proponując zamiast pięknej cielicy, na sztukę mniej odpowiadającą do chowania na mleczną krowę. Po chwili zaciągnęliśmy cielicę na podwórze, a podmienioną krowinę uwiązałem do postronka, i udaliśmy się w dalszą drogę do miasteczka. Tam ojciec zdał na punkcie przyjęć krowinę, otrzymał pokwitowanie, i spokojnie powróciliśmy po kilku godzinach do domu.

Po kilku dniach przybyli ukraińscy policjanci, zaarrestowali ojca i doprowadzili do aresztu do miasteczka. Tam po przesłuchaniach w sprawie zamiany krów, ojciec został poturbowany i przesiedział za karę kilka dni

pod kluczem. Wrócił zmizerowany i zarośnięty, z kilkoma siniakami na twarzy i plecach. Okazało się, że ukraińscy donosiciele, mieszkający w pobliżu zagrody Polaka, gdzie dokonaliśmy podmiiany, dokładnie wyśledzili przebieg zamiany, i natychmiast donieśli komu potrzeba do miasteczka.

Muszę tu dodać, że do rychlejszego uwolnienia ojca przyczyniła się w dużej mierze mój szwagier, Kazimierz Łukomski z Kostopola, który, po otrzymaniu wiadomości o aresztowaniu, interweniował natychmiast u Niemców / przy wydatnej pomocy większej ilości butelek bimbru i czegoś tam jeszcze/, a także przekupieniu ukraińskich policjantów i ukraińskiej administracji więzienia!

Nastąpiły rewizje i coraz szęstrze wizyty ukraińskich policjantów i służby bezpieczeństwa we wsi ~~rodzinnej~~ i okolicznych osiedlach, zamieszkałych przez Polaków. Rewizje nie ominęły także i ojcowskiej zagrody.

W jednym z takich rabunkowych przetrząsań mieszkania ukraińscy policjanci, po dokładnym zbadaniu i wywróceniu "do góry nogami" wszystkich zakamarków zabrali zdemontowany rower, schowany w spiżarni za dużym, rodzinnym kufrem, radio, zawinięte w szmaty i ukryte w ubraniowej szafie, część nakryć stołowych, trochę ubrań i pościeli, i odjechali z łupem. Asystowałem matce, przyglądając się z boku poczynaniom przedstawicieli "nowej władzy", wysłuchiwałem naiwnych wyjaśnień matczynych, dotyczących nie wykonania "urzędowych nakazów zdawania wszelkich aparatów radiowych i środków komunikacyjnych" w celu wzmożenia obronności "samostijnej Ukrainy", a także surowych napomnień, które nie szczędzili mamie w czasie "rewizji", rabujący w biały dzień i na oczach wszystkich, nadęci przedstawiciele "nowego ładu", wszystko co im tylko wpadło pod rękę.

Po ich odjeździe, zdałem sobie dopiero sprawę z tego, że odtąd tego rodzaju rewizje i rabunki będą się powtarzać coraz częściej, i nie tylko u nas ale i w innych zagrodach, co wkrótce się potwierdziło.

W następnym tygodniu przeżyliśmy drugą "rewizję", ale już znacznie groźniejszą i bardziej brutalną. Był to najazd służby bezpieczeństwa w ukraińskim wydaniu. W godzinach zdaje się popołudniowych, zajechały na podwórze dwie furmanki, obsadzone gęsto osobnikami w ubraniach cywilnych. W szybkim tempie obstawili zagrodę, dom oraz drogę wyjazdową na pole i prowadzące do sadu i lasu. Kilku wpadło <sup>do domu</sup> przez ganek od strony klombów, wprost do kuchni, gdzie akurat byłem obecny z bratem, matką i siostry - Antonina i Genowefa, /Zofia przebywała w tym okresie w Kostopolu/. Pierwszy osobnik z wyciągniętym rewolwerem w garści, z rozbieganymi na wszystkie strony oczami, szurnął przez drzwi, niczym goniony szczur do wnętrza kuchni, a za nim reszta cywilów w czapkach na bakier i załamany na oczy daszkami!

Pierwszy bandzior dobiegł do drzwi prowadzących do stołowego pokoju, wywalił je potężnym kopniakiem, aż huknęły o przeciwległą ścianę i ...sprężył się do skoku, jakgdyby oczekując z wewnątrz jakiegoś rozpaczliwego

ataku, zaczajonego tam groźnego przeciwnika! Bandzior stał z boku, zastygły jak kamienny posąg, tylko małe, rozbiegane oczka, spod zmrużonych powiek sygnalizowały, że postać żyje i jest niesłychanie naprężona wewnątrz, a rewolwer w wyciągniętej do przodu prawej dłoni, wykonywał groźne, wahadłowe ruchy w prawo i lewo, szukając urojonej postaci zaczajonej za drzwiami, wracających do pierwotnej pozycji, odbitych z rozmachem od ściany!

Runął z ~~impetem~~ <sup>impetem</sup> do środka pokoju - wszędzie panowała niezmacona cisza, nie wierzył własnym oczom! Pokój był zupełnie pusty, gwałtownie szarpnął następane drzwi na prawo, prowadzące do następnego pokoju ... za chwilę był już z powrotem w kuchni, gdzie tymczasem inni, widocznie niżsi szarżą, jego pomocnicy, ustawili się przy nas, popychając ku ścianom ...

Brat Mieczysław stał przy ścianie, kilka metrów ode mnie ... przyskoczył do niego z impetem z wyciągniętym ku niemu rewolwerem! Zrobiło mi się ciemno w oczach... czekałem na strzał! Przymknąłem oczy. Nic! Nagle usłyszałem błagalny krzyk matki: "Panoczku, ~~ne~~ strelajte, my niczoho ne znajem, tut nikoho czuzoho nemaje, ~~ne~~ byjte joho!"

Otworzyłem oczy. Wyciągnięta ręka z rewolwerem niebezpiecznie bliskej twarzy brata... wreszcie głośny odgłos uderzenia!

Bandzior kilkakrotnie uderzył Mieczysława po głowie i policzku lufą ... odwrócił się w moim kierunku ... wcisnąłem głowę w ramiona, jakgdyby szykując się do zamortyzowania mającego nastąpić uderzenia! ... nagle bandzior zawrócił ku drzwiom kuchni: - "pereszukajte szcze raz ciłyj dom kruhom! ...

Kilku wybiegło wykonać polecenie. Starąłem się wstrzymać oddech i stać nieporuszenie, ale czułem, że nogi drżą pod mną coraz bardziej, krwaw powoli zaczynała odpływać do serca, zbladłem jak papier i... czekałem końca tej niesamowitej historii, którą w takiej postaci, przeżywałem ~~w tymczasem~~ <sup>w tym czasie</sup> pierwszy raz w życiu! Myśli wirowały w głowie i kipiały, niczym gotująca się woda w garnku, serce zamierało ze strachu, a wciąż oczekiwałem, że któryś z bandziorów wreszcie nie wytrzyma i strzeli do kogoś z nas?!

-----

Gorączkowo przeprowadzona, chaotyczna rewizja całej zagrody, a szczególnie domu, nie dała oczekiwanych widocznie rezultatów. Funkcjonariusze ukraińskiej "bezpeki" /służby bezpieczeństwa/ napuszczeni przez jakiegoś gorliwego fałszywym donosem, odjechali wreszcie, pakując do zasobnych worów na wozach, kilka kur, kilkadziesiąt jajek, kilka półci ukrytej w spiżarni słoniny oraz jeszcze jakiegoś innego dobra. Odetchnęliśmy wszyscy z ulgą. Tym razem nam się udało ująć cało z życiem, tylko Mieczysław był nieco poturbowany, ale okazało się, że to nic groźnego, miał tylko siniaki na głowie i trochę opuchnięty policzek. Ja natomiast odczułem to wszystko, jakby koło mnie przeszło jakieś dziwne tchnienie śmierci. Od tego czasu przestałem się czuć bezpiecznie w rodzinnym gnieździe, zacząłem coraz bardziej trzeźwo i realnie oce-

niać powtarzające się "rewizje", przeszukiwania, tropienie rzekomych partyzantów, sprowadzające się jedynie do przeprowadzania zwykłych rabunków z chęci zysków, czy czynienia sąsiedzkich porachunków, kończących się coraz częściej sadystycznymi mordami i zabójstwami niewinnych, spokojnych ludzi.

Drugi najazd i "rewizja" prowadzone z myślą o ordynarnym rabunku, dokonane przez ukraińskich policjantów i esbeków zmusiła rodziców do poczynienia odpowiednich kontrposunięć. Przed wszystkim należało zabezpieczyć się z życiem, wyszukując odpowiednie inne lokum dla części naszej dość licznej rodziny, a następnie należało ukryć część żywności: tłuszczu, zboża, a także trochę ubrania i cieplejszej odzieży.

W Kostopolu mieszkała już z mężem siostra Zofia, jak również ciocia Helena Żarczyńska, oraz znana nam wszystkim rodzina Błażejewskich. Z nimi też rodzice nawiązali ścisły kontakt. Marian, stryjeczny brat, który dłuższy czas przebywał u moich rodziców, w związku z budową i opracowywaniem konstrukcji żaren i turbiny, po zakończeniu tych prac, przeniósł się wcześniej do Kostopola, do swej matki, i tam pozostał. Tymczasem rodzice i reszta rodzeństwa wraz ze mną pozostaliśmy narazie na miejscu, ponieważ było jeszcze trochę inwentarza żywego: zdaje się jedna krowa, cielica, trochę owiec, kilkadziesiąt kur, no i dwa koty i dwa psy: Budzik i Bobik; trzeba było wszystkim się opiekować, a ponadto poukrywać trochę żywności, ubrania, pościeli, a także pilnować sadu, który w tym roku obrodził obficie.

Oprócz dorywczo obecnie wykonywanej pasionki, ojciec polecił mi opiekować się szczególnie sadem, co też zacząłem wykonywać bardzo sumiennie.

-----

Jak już wspominałem, po kradzieży kotła parnikowego z kuchenki, gdzie parowało się ziemniaki dla świń i przygotowywało karmę dla kur, w pomieszczeniu tym, pozostało jedynie palenisko, czyli dolna część kompletu parnikowego, z rusztami, drzwiczkami i zgłowymi jeszcze cegłami szamotowymi, którymi było obmurowane palenisko. Ojciec wraz z Mieczysławem przadzili tam małą kuźnię. Na dębowym pniaku zostało ustawione duże kowadło z długim rogiem i odpowiednimi otworami do formowania żelaza. Były już wcześniej różne młoty, ~~z~~ młotki i obcęgi kowalskie, pozostałe ze starej kuźni dziadkowej, przechowywane w komorze obok pomieszczenia dla koni.

Szybko przestaliśmy załować skradzionego kotła, ponieważ i tak już tych zwierząt było tyle, co kot napłakał. Nie było już właściwie <sup>komu</sup> robić karmy, a to co pozostało, to można było przygotować w jednym czy dwu wiaderkach. Obecnie ważniejsza była kuźnia, która też oddała nam nieocenione usługi w budowie żaren, turbiny, czy jeszcze innych pomocniczych urządzeń czy przedmiotów.

*Jakis* W tym trudnym okresie znowu zdarzyła się kradzież w naszej zagrodzie. ~~nie istniał~~ i bezczelny drań, po rozerwaniu drewnianej ścianki w stodole wykradł wszystkie sita z wialni, stojącej na klepisku, dosłownie cały komplet



A przecież wialnia bez sit nic nie jest warta, nie nadaje się do niczego, tym bardziej, że takich sit o różnej gęstości, odpowiednio do wielkości ziarna w owym czasie nie można było znaleźć.

A była to, o ile pamiętam nadchodząca pora żniwna, strata była więc tym bardziej dotkliwa, a kradzież dokonana z prawdziwą premedytacją i szczególną złośliwością. Zachodziła obawa, że będziemy musieli z bratem czyścić młócone zboże na sposób podpatrzony kiedyś przeze mnie w Pieczałówce, u gospodarzy ukraińskich, "pod wiatr"!

Byliśmy pewni, że kradzieże będą się powtarzały systematycznie, problem był tylko ten, w jaki sposób przyłapać, a w dalszej kolejności rozpoznać chytrego złodzieja, a następnie móc się zabezpieczyć od niego. Rozpoczęliśmy więc natychmiast kontrakcję.

Po krótkiej naradzie ojca z bratem, gdzie i ja dorzuciłem kilka swoich, nie wątpię, że cennych uwag, postanowiliśmy w celach samoobrony przed nocnym złodziejem, zainstalować w odpowiednio ukrytym miejscu silne reflektory samochodowe, które brat gdzieś wcześniej zdobył. Należało więc przede wszystkim przeprowadzić kilka niezbędnych prób przed zainstalowaniem reflektorów na stałe. Znieśliśmy naładowany akumulator ze strychu na dół do kuchni, podłączyliśmy do reflektora tuż przy kuchennym oknie, wychodzącym w stronę podwórza i rozpoczęto próby. Silny snop światła sięgał aż do końca gospodarczego podwórza, oświetlił doskonale ściany przeciwległe zabudowanej stodoły, a także obory, ~~z~~ stajni i bocznej ściany kurnika wraz z drzwiami wejściowymi. Był to jeszcze okres letni, noce były ciepłe i dość ciemne; jaskrawe światło rzucane przez reflektor, ostro odcinało się w ciemności. Skoncentrowana, ostro smuga światła oświetlała dowolnie wybrane miejsce.

Przewidywaliśmy różne wersje złodziejskich podchodów z różnych stron i miejsc. Dopuszczaliśmy nawet możliwość napadu z bronią w ręku pojedynczego osobnika. W związku z tym umyśliliśmy z bratem umocowanie reflektora na długim drążku, trzymanym z daleka od źródła światła w tym celu, aby uniknąć ewentualnego ostrzelania z dalszej odległości i bezpośredniego trafienia operującego smugą światła. Inni mogliby w tym czasie zająć z boku napastnika i zdzielić go przygotowanymi wcześniej długimi, dębowymi pałami.

Jak wynika z tych poczynić obronnych, te reflektorowe przygotowania braлиśmy zupełnie na serio, co w ówczesnych warunkach, było jedynie, jak narazie, możliwe do przyjęcia. W ostatecznym wypadku Mieczysław postanowił użyć przechowywanego głęboko, nawet w tajemnicy przede mną, kilkustrzałowego pistoletu.

Jednakże, jak to zwykle bywa w tych wypadkach, atak złodzieja i bandyty zarazem, nadszedł z zupełnie niespodziewanej strony.

-----

Podniszczone przez pierwszego okupanta gospodarstwo rolne, ojciec usiłował podnieść z upadku i zaczął próbować zwiększyć areał pod uprawę zbóż, a także obiecywał sobie zwiększony zysk ze sadu, w którym tego roku owoce

urodziły nadzwyczajnie. Były dorodne wiśnie, wcześniejsze jabłka, zapowiadały się duże zbiory śliwek. Doglądałem starannie sad, powierzony przez ojca mojej pieczy, obserwowałem uginające się gałęzie, podnosiłem je i układałem na specjalne przygotowane przeze mnie podpory, kosiłem zielonkę zasianą pod drzewami, jednym słowem wykonywałem wszystkie niezbędne przy pielęgnacji sadu prace. Pomagałem również przy żniwach, które wkrótce się rozpoczęły, tak że te ostatnie moje wakacje były stale wypełnione pracą w gospodarstwie i sadzie.

Tymczasem, zupełnie przypadkowo, w czasie naprawy drzwi prowadzących do sadu, a także przenoszeniu zadaszania od tej strony na przeciwną ścianę domu, po rozbiórce starego ganku, który już chylił się do upadku, odkryliśmy, że podwójne drzwi do sadu, które były ocieplone starymi plewami, kryły w swoim wnętrzu cały komplet sit do wialni, ustawionych od podłogi do góry i podtrzymujących plewy. Radość z tego odkrycia była wielka, a szczególnie mnie to cieszyło z wiadomych powodów!

Po ukończeniu żniw, gdzieś chyba w połowie sierpnia, ustawieniu zboża w równe rzędy dziesiątkowych kopek, aby dostatecznie wyschły na słońcu, musiałem codziennie z bratem robić porządki w stodole, czyścić siasieki, i przygotowywać w ciągu dnia klepiska do przyszłych omłotów i czyszczenia zboża wialnią.

Pewnego dnia po południu, pracując w sadzie zauważyłem nagle, że kilkoro młodych ukraińskich oberwańców, bezczelnie zakradło się do sadu od strony wąskiej dróżki, prowadzącej od ściany gromadzkiego lasu Zapustu, wzdłuż sadu do Antonówki. Na moich oczach zaczęli szybko trząść gałęzie i jeszcze szybciej, w błyskawicznym tempie napychać sobie portki i pchać za pazuchę dorodne głowgierówki. Czegoś podobnego jeszcze nie widziałem! W biały dzień na moich oczach! Zatkąło mnie zupełnie z gniewu i zdenerwowania!

Rzuciłem złapaną gałęzią w ich kierunku, a potem ruszyłem w pogoń za nimi. Ciskałem raz poraż znalezionymi po drodze patykami, krzycząc i przezywając po ukraińsku, ale oberwańcy byli niesłychanie sprytni. Część jabłek pogubili, ale schowane za pazuchę unieśli w błyskawicznej ucieczce. Zaszyli się w małym lasku, i za krzakami zginęli mi zupełnie z oczu.

Zdawało mi się, że pokonawszy poraż pierwszy i przegoniwszy oberwańców z sadu, będę miał dłuższy czas spokój, wróciłem więc spokojnie do swoich zajęć, i wkrótce zapomniałem o tym incydencie. Ale, zostałem srogo ukarany!

Poczynając od miesiąca czerwca-poprzez lipiec i częściowo jeszcze sierpień hitlerowcy wraz z ukraińską SB rozpoczęli masowe spędzanie Żydów z Kostopola oraz okolic, do getta usytuowanego w starej dzielnicy żydowskiej, w rynku i przyległych ulicach. W następnej kolejności rozpoczęły się masowe mordy, rozstrzeliwania, łapanie, nocne zabójstwa przede wszystkim osób narodowości żydowskiej, a także polskich więźniów, wyłapanych partyzantów, czy

innych osób, uwięzionych na podstawie donosów ukraińskich szpiegów i prowokatorów, specjalizujących się w tego rodzaju poczynaniach. Terror faszystów hitlerowskich, banderowskich, bulbowskiich rozpoczął zbierać swoje krwawe żniwo na terenie kostopolszczyzny.

W takiej to sytuacji ojciec wyruszył na zwiady do miasteczka któregoś sierpnioowego dnia, przy końcu miesiąca, w celu zbadania jakie są możliwości kontynuowania przeze mnie dalszej nauki w szkole średniej. Okazało się, że szkoła prawdopodobnie będzie uruchomiona w pierwszych dniach września 1942r.

Ze względu na niespokojne dni, jakie zaczęły następować jedno po drugim, powtarzające się systematycznie napady rabunkowe, kończące się w niektórych przypadkach nocnymi mordami, jechałem do szkoły w miasteczku ze ściśniętym sercem. Pamiętałem jeszcze zmizerowaną postać ojca po powrocie z odsiadki w areszcie, potłuczonego brata w czasie "wizyty" cywilnych funkcjonariuszy ukraińskiej SB, napady i rabunki w bliskiej okolicy, szeptane wiadomości pomiędzy mieszkańcami polskich wiosek o bestialskich poczynaniach, ukraińskich policjantów, - wszystko to nastrajało mnie niesłychanie pesymistycznie, co do dalszego mego pobytu w Kostopolu.

Zatrzymałem się, jak zwykle, na kwaterze u rodziny Błażejewskich, która jeszcze przebywała na swoim miejscu, przy ul. Kopernika. Zaszły tam pewne zmiany. Córka Błażejewskich, Halinka, wyszła za mąż za jakiegoś młodego Rosjanina, zdaje się o nazwisku Czerniak, i zamieszkali wspólnie z jej rodziną, zajmując ~~dwie~~ malutkie pomieszczenie w dawniejszej sypialni, przylegającej do kuchni, oddzielonej cienkim przepierzeniem.

Władał <sup>on</sup> doskonale dwoma językami: polskim i rosyjskim, był jakimś urzędnikiem/o ile się nie mylę/, bardzo inteligentny i sympatyczny. Tak, jak poprzednio, zająłem mój dawny pokój, którego część powierzni zajmował wbudowany piec chlebowy.

Pierwsze wiadomości, które dotarły do mnie za pośrednictwem moich dawnej zapoznanych kolegów ze szkół, były wstrząsające. Przed wszystkim hitlerowcy i ukraińscy policjanci zlikwidowali żydowskie getto, a wszystkich Żydów, część więźniów: Polaków, Rosjan, a nawet Ukraińców, którzy brali czynny udział we współpracy z władzami sowieckimi, zostało rozstrzelanych, jak się dowiedziałem było ich ~~kilka~~ tysiący ludzi! Był to poprostu pogrom, unicestwienie około połowy dawnych mieszkańców Kostopola!

Z opowiadań kolegi Tadeusza Czapki, wynikało, że ofiarą tych mordów padło kilku moich dawnych nauczycieli, między innymi mój pierwszy wychowawca w klasie czwartej, Włodzimierz Pośpiełow, który w czasie transportu, jadąc wraz z innymi, został przygnieciony beczkami z benzyną i zmarł w męczarniach.

Masowe egzekucje więźniów i mieszkańców getta zostały przeprowadzone w lesie, tuż za stadionem leśnym. Któregoś dnia, po lekcjach, które trwały zaledwie kilka godzin/z braku nauczycieli/, umówiliśmy się z Tadeuszem

Czapka, który obiecał zaprowadzić mnie i innych jeszcze kolegów, do miejsca masowej egzekucji w lesie. Tadeusz wraz z rodzicami mieszkał stale w miasteczku, i miał możliwość bezpośrednio i codziennie w okresie wakacji, oglądać straszliwe wydarzenia, które miały tam miejsce.

Dawny stary rynek, późniejsze centrum kostopolskiego getta, w tych dniach, po przeprowadzeniu jego likwidacji i wymordowaniu tysięcy żydowskich mieszkańców, wyglądał okropnie. Chodziliśmy z kolegą po niesłychanie zagraconym bruku, zaglądaliśmy w puste oczodoły obrzydliwych, starych ruder, przeskakiwaliśmy przez zgniłe, ~~Ky~~ pól zmieszane z piaskiem i błotem porozbijane łóżka, rozwalone szafy, komody, rozwleczone jakieś kobiece suknie, chałaty, części bielizny, kapelusze. Wszędzie panowała śmiertelna cisza, a wyglądało to tak, jakgdyby tędy przeszła jakaś morowa zaraza, jak w średniowieczu, kiedy nie było jeszcze żadnych możliwości ratunku w czasie epidemii zaraźliwej choroby.

Kilka dni później Tadeusz, razem z kilku jeszcze chłopcami, zaciągnął mnie do lasu, na miejsce masowych grobów żydowskich. Przeszliśmy obok szkoły od dawnej ulicy Piłsudskiego /Adolf Hitler Strasse!/, przez drewniany mostek dla pieszych w kierunku leśnego stadionu, tam skręciliśmy wzdłuż ogrodzenia leśną ścieżynką wśród starych sosen rosnących gęsto od zachodniej strony stadionu. Las rozpościerał się daleko na zachód i północ od strony miasta, tworząc ogromne pasmo mieszanego lasu, przecięte w jego środkowej części linią kolejową z Sarn do Równego. Koledzy poprowadzili nieco bardziej na północny zachód od stadionu, około 250-300 metrów od ogrodzenia.

Tam, wśród starych sosen, nieco rzadziej rosnących, tworzących małą polankę odsłonił się nam, mrozący krew w żyłach, okropny widok!...

-----

W pierwszej chwili zdawało mi się, że stoję nad bardzo długim, chyba kilkadziesiąt metrów i szerokim na 2,5-3m ogromnym kopcem na kartofle, czy buraki, taki ~~jak~~ bardzo często w naszym gospodarstwie kopałem w czasie jesiennych wykopków, z tą jedynie różnicą, że ten leśny kopiec był dziwacznie w wielu miejscach zapadnięty i pofałdowany, powierzchnia była częściowo popękana, ostro odcinająca się od twardych i równych krawędzi.

Długo nie mogłem sobie skojarzyć faktu, że kopiec ten, to nie kopiec na kartofle, a kryje w sobie zupełnie coś innego, coś co w pierwszych momentach nie mogło dotrzeć do mej świadomości! Kopiec kartofli!!!??...

W pewnej chwili zdałem sobie sprawę, że ten kopiec jest prawie dwukrotnie szerszy od kopców kartoflanych, które dobrze przecież znam, często przecież kopałem je razem z bratem! Nie wierzyłem oczom, przechodząc wzdłuż krawędzi bez słowa, czując narastający zamęt w głowie! Szeptem zwróciłem się do stojącego tuż obok kolegi z zapytaniem, czy rzeczywiście tu mogą leżeć pomordowani Żydzi? Ostra, jak błyskawica myśl przeszła nagle moją głowę: - przecież niedawno znałem tylu kolegów Żydów, z którymi chodziłem rok temu do

szkoły, czyżby i oni tu leżeli w tym kopcu, tuż pod moimi nogami!? Zawiro-  
 wało mi w głowie od tej strasznej myśli!... Po sosnami, w panującym wszędzie i  
 nieładzie leżały kupy potarganych papierów, fotografii, zmierzwionej odzieży,  
~~dużno~~ leżące opaski z białego materiału z wyrysowaną gwiazdą sjonistyczną,  
 strzępy kobiecych ubrań, torebki damskie z wyprutym wnętrzem, jakieś pokrzy-  
 wione laski do podpierania się, ~~zdeformowane~~ obuwie kobiece i męskie, zakrwa-  
 wione szmaty, paski od spodni, ~~z~~ obok, widocznie tam, gdzie było stanowisko  
 zajmowane przez plutony egzekucyjne leżało wśród leśnego igliwia i trawy  
 tysiące pustych łusek z amunicji małego kalibru. Niektóre pociski, nie dosię-  
 gając bliskiego celu, ~~uderzały~~ w pobliskie pnie sosnowe rdzawego koloru, odłu-  
 pując grubą korę i żłobiąc jasne głębokie ślady kapiące obficie żywicą.

Chodziliśmy oszołomieni, w milczeniu badając straszliwe ślady zbrodni,  
 rzucając na siebie od czasu do czasu zatrwożone spojrzenia, dzieląc się  
 szeptem mimowolnie wyrwijającymi się z ust krótkimi, bezsensownymi uwagami!!

Po chwili stwierdziliśmy, że masowy grób nieszczęśliwych więźniów żydows-  
 kich, przysypany był jakimś białym, pomieszonym z piaskiem, proszkiem, podob-  
 nym do wapna. Przypomniało mi się, że w domu na wsi, ojciec kazał używać w ce-  
 lach dezynfekcyjnych białego proszku wapiennego w ubikacji, stojącej na wol-  
 nym powietrzu. Czyżby to był taki sam proszek, użyty masowo do zasypania  
 pomordowanych w tym kopcu?

W tej chwili odczułem odór rozkładających się ciał, dobywający się z dołu,  
 cofnąłem się z odrazą nieco do tyłu... koledzy próbowali grzebać znalezio-  
 nymi gałęziami w garbatej powierzchni kopca... ukazała się ręka z palcami  
 kurczowo zaciśniętymi... drugi odgrzebał źle przysypaną głowę...!

Oparty o jakąś grubą sosnę w pobliżu kopca, długo wymiotowałem i trzy-  
 małem się za brzuch, nie mogąc przyjść do siebie. W milczeniu zostawiłem ko-  
 legów, grzebiących uparcie w kopcu i ruszyłem w powrotną drogę wokół sta-  
 dionu leśnego do miasteczka. Świeże, leśne powietrze wróciło mi świadomość,  
 biegłem coraz szybciej, mając straszny obraz w oczach, który odczułem jak  
 mocne uderzenie snopem skoncentrowanego błysku światła w źrenice; myśl za-  
 częła powoli pracować, a w głowie aż huczało od dziesiątków pytań, cisnących  
 się bezładnie do głowy, na które nie mogłem jeszcze sobie odpowiedzieć!?

Minęło, kilka dni wrześnieowych. Nauka w szkole zamierała, z każdym dniem  
 ubywało kolegów i koleżanek, pozostało nas bardzo mało, zaledwie garstka  
 usiłujących kontynuować uparcie naukę. Zresztą przyznam się szczerze, że  
 dalszy pobyt w miasteczku był uzależniony wyłącznie od ojca, który robił  
 co mógł, aby utrzymać mnie w szkole.

Ale wkrótce sprawa pobytu w miasteczku i kontynuacji nauki została zade-  
 cydowana przez same władze okupacyjne. Któregoś dnia dyrektor zebrał wszyst-  
 kich uczniów i oznajmił, że szkoła zostaje czasowo zamknięta i nauka musi  
 być przerwana już od dnia następnego. Powodem miały być ciężkie warunki ma-

terialne personelu, i w ogóle brak możliwości prowadzenia szkoły w warunkach wojennych. Można było się domyślać, że przede wszystkim sami Niemcy zażądali zakończenia tej "zabawy" w naukę w czasie, kiedy hitlerowskie armie wykrwawiały się szczególnie na froncie wschodnim, gdzie dostawały raz po raz tęgie lanie. A zbliżał się wówczas wielki pogrom armii niemieckich w łuku pod Stalingradem, gdzie nad środkowym Donem i częściowo już nad brzegami Wołgi trwały straszliwe zmagania milionowych armii po obu stronach frontu.

-----

Na ścianach domów w Kostopolu zaczęły pojawiać się złowróżbne napisy, slogany i hasła pisane w języku ukraińskim niewprawną ręką, czarną rozmażaną farbą, ściekającą po ścianach i deformującą same napisy. Treść tych napisów była różna. Jak mogłem wywnioskować z krótkiej, dosadnej treści, skierowane one były przede wszystkim przeciwko "moskowsko-żydijskiej komuni", groziły śmiercią "bilszowyczym partyzantom", "pidpilnym sabotażnikom ta dywersantom", "bilszowyczym spiwpraciwnikom" - i td. i td.

Wkrótce pojawiły się wersety z nacjonalistycznych ukraińskich pieśni, śpiewanych rozgłośnie po ulicach miasteczka przez oddziały policji, szykującej się do przejścia do podziemia i zasilenia Ukraińskiej Powstańczej Armii, której agenci, a później małe oddziały zaczęły napływać na północne tereny Wołynia z Galicji, gdzie we Lwowie zaczęły się już dawniej tworzyć jej zręby wśród miejscowej inteligencji, a także zasilanej wyszkolonymi w Berlinie specjalistami od brudnej roboty wśród cywilnej ludności, zlecanej przez aparat hitlerowskich formacji SS czy Gestapo.

Wszędzie zaczęło się pojawiać najbardziej ponure, złowrogie w treści bandyckie hasło, skierowane przeciwko ludności polskiej, powiązane również treścią antysowiecką, lub antykomunistyczną: "smert Lacham, smert moskowsko-żydijskiej komuni" - / był to właśnie wyjątek z bojowej ukraińskiej nacjonalistycznej pieśni, zagrzewającej oddziały UPA do walki i mordów Polaków zamieszkałych na Kresach Wschodnich, a także tępienia Żydów, komunistów i bolszewików w rosyjskim wydaniu. /

Wraz z rosnącymi niepowodzeniami armii hitlerowskich na frontach wojennych, rosło nacjonalistyczno-sadystyczne zacierzowanie hitlerowskich sługusów spod znaku tryzuba. Hitlerowcy, wspomagani przez ukraińskich sługusów i donosicieli wzniesli na małym placyku przy skrzyżowaniu ulicy wiodącej z Pieczałówki z ulicą Adolf Hitler Strasse /ul. Piłsudskiego/ zbiorową szubienicę. Codziennie zmieniano tam ciała wisielców, których trupy huśtały się i obracały wolno wokół pętli w ślad za podmuchami wiatru.

Drewniane tablice z ordynarnymi napisami, informowały każdego, kto ważył się współpracować z partyzantami, czy lekceważył zarządzenia władz, czeka taki, a nie inny koniec. Obraz ten na trwałe wrył mi się w pamięć!

Po kilkunastu dniach, kiedy szkoła została definitywnie zamknięta przez władze niemieckie, musiałem wrócić do domu i zacząć się pracę w gajcowskiej zagrodzie. Gospodarstwo było mocno zrujnowane, naprzód przez bolszewickiego okupanta, a obecnie obora i stodoła, a także świnia i kurnik świeciły pustkami. Pozostał narazie sad, z obficie zapowiadającym się urodzajem w tej jesieni. Gałęzie uginały się pod owocami, wcześniejsze owoce, jak wiśnie, czereśnie, część śliwek i gruszek, były już oberwane i skonsumowane, część natomiast została wymieniona u znajomego Ukraińca z Antonówki, znanego pszczelarza, na większą ilość miodu, który matka, po przywiezieniu przez ojca, trzymała w dużej bańce po mleku w ogromnym kufrze w spiżarni pod kluczem. Był to miód o wspaniałym zapachu i smaku, do dzisiaj go pamiętam!

Później dojrzewające owoce siedziały jeszcze na drzewach. Wobec powtarzających się kradzieży owoców bezpośrednio z sadu, ojciec polecił nam zbudowanie pod koronami gęstych drzew owocowych specjalnej budy o skośnym dachu, pokrytym słomą i umieszczonym wewnątrz legowiskiem do spania.

Wzięliśmy się z Mieczysławem do roboty. Wbiliśmy dwa grube słupy, wysokie na około dwa metry, poprzybijaliśmy poprzeczne łaty, nakręciliśmy specjalne snopki słomy, służące do pokrycia dachu, ułożyliśmy je w równych rzędach. Następnie ~~wykonaliśmy~~ ścianki obiliśmy starymi kawałkami papy, a wewnątrz umocowaliśmy dwie długie deski z podpórkami do leżenia. Buda była skierowana otworem w stronę wschodnią, w kierunku przechodzącej obok drogi gruntowej, za którą rósł dość gęsty w tym miejscu rząd olch a dalej las sąsiada.

-----

Dobiegła połowa września 1942 roku. Rabunki, kończące się coraz częściej morderstwami, palenie zagród i terror wzmagany przez faszystów ukraińskich, za cichą zgodą władz hitlerowskich, a skierowane przeciwko spokojnej ludności polskiej zaczęły się przybliżać do mojej wsi rodzinnej - Hipolitówki, leżącej na uboczu, zdawałoby się wielkiej polityki i wojny. Sądziliśmy, że akcje pacyfistyczne, prowadzone przez faszystów z coraz większym rozmachem, zwykłe mordy, rabunki i osobiste porachunki sąsiedzkie, dokonywane przez pewnych siebie ukraińskich zbirów - z biegiem czasu ucichną, i zmaleje nasilenie tych akcji w naszej okolicy. Teorię taką głosił szczególnie ojciec usiłujący normalnie pracować, a także natchnąć nas wszystkich w rodzinie swoim optymizmem w tej sprawie. Po ciężkiej polowej pracy, żądał od wszystkich domowników normalnego snu, pilnował <sup>zją</sup> zwykłej godziny budzenia się ze snu rano, i jak zwykle, rozpoczynania normalnych zajęć w gospodarstwie.

Przede wszystkim cenił sobie spokojny, dobry sen po ciężkiej pracy, ponieważ, jak twierdził, nic tak nie usposabia właściwie i pogodnie jednego człowieka do drugiego, jak spokojny wypoczynek, oraz głęboki mocny sen, po normalnej ciężkiej pracy fizycznej.

W tej sprawie miałem jednakże nieco odmienne zdanie w tym okresie, niż ojciec, usiłujący własnym przykładem układać normalne życie w tym nienor-

malnym, zwariowanym okresie wojennym, wśród morza ukraińskiej, rosnącej nienawiści, i planowej eksterminacji polskiej ludności.

Przede wszystkim zdołałem już nieco poznać niesłychaną zaciętość i mściwość ponurej duszy niektórych odłamów ukraińskiej inteligencji, a także części wiejskich ciemnych, w większości niepiśmiennych grup, przy każdej nadarżającej się okazji ujawniającej niebezpieczny pęd i posłuch skrajnemu nacjonalizmowi ukraińskiemu. W prostym umyśle ukraińskiego nacjonalisty, wrogiem jest zawsze najbliższy sąsiad innej narodowości, lepiej sytuowany, bardziej odczytany, o szerszym horyzoncie myślowym, o ugodowym charakterze, czy nie schlebający kolejnym okupantom.

Bardziej spokojni sąsiedzi-Ukraińcy, którzy poprzednio przejawiali chęć współpracy z Polakami, z chwilą nastania władzy okupantów, zmuszeni byli pod naciskiem bardziej krewkich i nieprzejednanych nacjonalistów, wywodzących się z innych terenów, do ściślejszej współpracy z nimi pod groźbą utraty życia, lub spalenia gospodarstwa. W związku z taką sytuacją, większość Ukraińców w obawie przed terrorem i represjami ze strony własnych współbraci, wolała nie ryzykować.

-----

Faszystowska administracja niemiecko-ukraińska zaczynała coraz bardziej dobierać się do skóry zasiedziałym na tych terenach mieszkańcom. Zaczynało brakować wszystkich podstawowych artykułów codziennej potrzeby. Większość niezbędnych do życia produktów można było zdobyć jedynie za inne towary, które w danej chwili można było odstąpić innym. Pieniądz okupacyjny w tym wypadku nie odgrywał żadnej roli w takiej towarowej wymianie handlowej.

Brakowało soli, cukru, mięsa, chleba, tłuszczów, zapalek, wszelkiego rodzaju odzieży, butów, materiałów budowlanych i tp. Większość tych artykułów można było otrzymać jedynie drogą nielegalnej wymiany, za którą groziła sroga kara, kończąca się najczęściej uwięzieniem, wydaniem natychmiastowego wyroku skazującego "winnego" często na karę śmierci przez powieszenie.

Rozpanoszyło się donosicielstwo wśród Ukraińców na niespotykaną dotychczas skalę. Ofiarami tych donosów padali przede wszystkim osoby narodowości polskiej, nie mówiąc już o Żydach, których resztki, po rozbiciu kostopolskiego getta, wążęsały się po lasach, polskich futorach i wsiach, szukając tam ratunku przed głodową śmiercią i nadchodzącą zimą.

Trzeba było wyczerzyć wszystkie siły i spryt aby móc przeżyć ten okropny czas. Należało powrócić <sup>do</sup> pierwotnego stylu życia i pracy.

Chcąc zaradzić brakowi odzieży, matka z pomocą ojca kazała ustawić na stałe swój warsztat tkacki w dużych, przestronnych pomieszczeniach kuchni, wraz z pomocniczymi urządzeniami, które były niezbędne do wytwarzania płótna ze lnu, konopi, czy innego materiału z wełny owczej, a także różnokolorowych płacht z ciętych na długie pasma starych szmat i zdartego ubrania.



Jeszcze wcześniej, w przewidywaniu kryzysu odzieżowego, matka zaczęła praść włókna <sup>wełny</sup> kopne i lniane, a także wełnę z własnych owiec. Dużo motków nicianych wisiało na strychu, a później w czasie przygotowywania przędzy do tkania, zwoje ~~zwoje~~ leżały w kuchni, w pobliżu warsztatu, do dalszej przeróbki. Tuż przy warsztacie stała stępa ze stęporem do tłuczenia prosa i jęczmienia na kaszę. Tłukłem to ziarno wspólnie z bratem odtąd całymi wieczorami, utrzymując stale minimum zapasu kaszy do codziennego użytku. Było to w owym czasie nasze powszednie jedzenie: kasza z mlekiem, kasza ~~na~~ wodzie z dodatkiem tłuszczu, kasza zapiekana na sucho z dodatkiem miodu lub cukru z cynamonem, albo kasza hreczana ze słoniną, a wreszcie kasza do zup różnego rodzaju. Na strychu, żarna sprzęgnięte z turbiną powietrzną meły nam i sąsiadom, kiedy był wiatr, mąkę z żyta na chleb, pszenną na kluski i pierogi ruskie i w ten sposób zaczęliśmy wieść życie na poły pierwotne, w większej części przeznaczając czas na utrzymanie się przy życiu, produkując najprostrze potrawy w celu zaspokojenia podstawowych potrzeb ludzkich. W tych warunkach, jak zdążyłem smętnie zauważyć, znajdowałem już nawet bardzo mało czasu na czytanie i samokształcenie się.

W tym też okresie zanikła zupełnie możliwość uczęszczania na nabożeństwa, czy to do Reginówki, czy do Kostopola, ponieważ było już niebezpiecznie udawać się w pojedynkę, lub nawet grupkami do odleglejszych miejsc, gdzie takie możliwości istniały. Po drodze czyhały posterunki we wsiach ukraińskich, gdzie można było zawsze z błahych powodów postradać nawet życie!

-----

W tym czasie jednym z moich ważniejszych zajęć było pilnowanie sadu z bratem, na zmianę co drugi czy trzeci dzień. Dyżury polegały na obchodzeniu sadu ze wszystkich stron co kilka godzin i sypianiu na urządzonym w budzie legowisku na baranicy pod grubą samodziałową derką. Towarzyszył nam stale mały piesek - Budzik.

Było to chyba gdzieś w połowie września, kiedy udałem się do sadu na nocne stróżowanie. Było dość ciepło i pogodnie, księżyc w późniejszych godzinach nocnych wypłynął zza rzadkich chmur i oświetlił słabym światłem grupy drzew w sadzie, rząd młodych olch ciągnących się wzdłuż gruntowej drogi, odgraniczającej sad od Hebdowego lasu, rzucając tajemnicze, głębokie cienie w przeciwną stronę. Od strony Antonówki słychać było poszczekujące od czasu do czasu psy.

Przeszedłem się kilkakrotnie po sadzie, obejrzałem teren z tyłu za budynkami gospodarskimi, okrążyłem dom za piwnicą i zawróciłem do sadu, przechodząc w pobliże rowu melioracyjnego, od strony północnej okalającego sad.

Bezszelestnie zsunąłem się po krawędzi rowu na dno, suche w tym okresie, i wnetknawszy głowę pomiędzy dolne gałęzie młodych olszyn, tworzących głęboki cień pod spodem, - zacząłem obserwację przedpola, w kierunku zabudowań

rodziny Rutów majaczących w oddali, zerkając od czasu do czasu w kierunku drogi prowadzącej do Antonówki, ginącej w słabym blasku księżyca. Majaczyły w tej stronie kopulaste korony wierzb rosnących w zagłębieniu tuż nad głównym rowem, przebiegającym pod mostkiem. Było cicho i spokojnie.

Było już chyba po północy. Rozsunąłem gęste gałęzie, gramoląc się z rowu i przysunąłem się wzdłuż głębokiego cienia rzucanego przez młode olchy bliżej budy. Bezszelestnie wsunąłem się do środka; poczęła mnie morzyć senność... Ułożyłem się bokiem na legowisku, zaś Budzik pozostał na zewnątrz...

-----

Wysoko, na granatowo-czarnym nieboskłonie mruczał silnik jakiegoś małego samolotu, przelatującego z zachodu na wschód prosto nad sadem. Wkrótce silnik samolotu zahuczał głośniejsze przelatując w prostej linii nad głową na bardzo znacznej wysokości. Leżąc na pryczy przypomniałem sobie, wyczytane gdzieś, czy usłyszane w tajemnicy wiadomości, o zrzucaniu w czasie głębokiej nocy spadochroniarzy przez obie walczące ze sobą wrogie armie, na tyły i głębokie zaplecze frontów. Szeptane w tajemnicy wiadomości donosiły o zrzucanych przez Rosjan takich spadochroniarzy na terenach leśnych, w pobliżu ważnych linii kolejowych, czy mostów, skrzyżowań i węzłów dróg kolejowych i drogowych.

Na południe od naszej wsi takim węzłem dróg bitych i kolejowych było Równe oraz Zdołbunów, a na północy - Luniniec i Sarny, położone w pobliżu olbrzymich kompleksów leśnych na północnym Wołyniu i północnej granicy Polesia. Takie ogromne kompleksy leśne, w których zaczynały się pojawiać grupy polskich i radzieckich partyzantów znajdowały się także na zachód od naszej wsi; były to lasy rozciągające się wokół Janowej Doliny, Derażna, na północ od Cumania, które ciągnęły się zwartymi pasmami w kierunku Kowla.

Muczący wysoko pod chmurami samolot leciał zapewne, po wykonaniu jakiejś specjalnej misji, z powrotem na wschód, musiał to więc być samolot radziecki. Tak sobie myślałem, powoli zapadając w krótką drzemkę, i budząc się po małej chwili, podrywany myślą o niezbędnej czujności przed ewentualnym złodziejem owoców.

Przyznam się, że po powrocie z miasteczka byłem mocno roztrzęsiony widokiem oglądane<sup>go</sup> wraz z kolegami straszego rowu z pogrzebanymi ciałami nieszczęsnych pomordowanych Żydów z getta i więźniów kostopolskiego więzienia. Straszny ten obraz mocno tkwił w mojej pamięci, i poprostu paraliżował moją psychikę. Dwukrotne bandyckie najścia ukraińskich funkcjonariuszy policyjnych na nasz dom, ordynarne potraktowanie ojca w areszcie, po niefortunnej zamianie krowy, której byłem uczestnikiem, wzmagające się represje hitlerowców i powtarzające się straszne mordy banderowców, dokonywane obecnie prawie każdej nocy w polskich zagrodach wokół naszej wsi, - przyprawiło mnie w rodzaj nerwowej choroby. Żyłem jakby w stanie mocnej

gorączki, wywołujące chorobliwe obrazy i majaczenia. Coraz częściej w moich myślach powstawały straszne wizje płonącej ojcowskiej zagrody, napad banderowców z siekierami w rękach, wpadających z wrzaskiem ~~przez~~ przez ciemne podwórze do wnętrza domu, i rozprawiających się krwawo z najbliższymi, drogimi mi osobami!

Jednakże dotychczasowy spokój w naszej wsi działał niejako uspakajająco przede wszystkim na ojca, oraz na matkę, a częściowo i na brata, których spokojna postawa potrosze wpływać zaczęła i na moją psychikę i roztrzęsione nerwy. Chciałem być w tym wypadku prawdziwym mężczyzną, stawiającym czoła niebezpieczeństwom, które ewentualnie mogło nam grozić.

Tymczasem ciche poszczekiwanie Budzika, powoli zaczęło dochodzić do mojej świadomości... Piesek, jak zdażyłem jeszcze pomyśleć, pewnie czekał już od dłuższego czasu, ale dopiero w tej chwili to odczułem... Mały Budzik zwietrzył jakieś nagłe niebezpieczeństwo...!!??

-----

Krwawe, ostre światło, odbite od ściany lasu, które w jednej sekundzie uderzyło w moje szeroko otwarte źrenice, zlało się w tym momencie ze strasliwym hukem, który wdarł się do moich uszu! Huk ten, spotęgowany odbitym echem od zabudowań, powtórzony przez powtórne echo, które nadleciało od ściany naszego lasu, odbite od krawędzi Zapustu, - przygwoździł mnie zupełnie, całkowicie paraliżując całe moje ciało i myśli!

Strącone uderzeniem pocisku gałązki wraz z owocami zaczęły spadać z gęstych gałęzi jabłunki znacząc ślady pocisku i jego kierunek... część z nich spadła na pochyły dach budki i pacnęła na ziemię... Usłyszałem z nagłą szczęk odwodzonego zamka karabinu. Czerwony błysk, ponowny huk... Wyraźnie teraz usłyszałem gwizd kuli, szum spadających gałęzi i pacnięcia jabłek z jabłunki pod którą leżałem, jak przykuty do legowiska.

Serce zamarło we mnie zupełnie... następny pocisk będzie napewno celny! Błyskawicznie stoczyłem się z pryczy na ziemię... schylony aż do samych stóp uczyniłem ~~z~~ nagła skok w przeciwnym kierunku skąd usłyszałem wystrzał, wpadłem głową w gęste gałęzie olszyny, a nogi zsunęły się w płytki rowek.

W ciągu następnej sekundy następny błysk i huk! Pełznąłem już na czworakach wzdłuż rowu tłukąc się boleśnie głową o wystające gałęzie i korzenie, a ręce parząc o niskie pokrzywy rosnące na dnie... Byłem pewien, że za sekundę pocisk mnie dosięgnie, spłaszczyłem się zupełnie nieruchomiejąc wśród pokrzywy, parzącej dotkliwie ręce i szyję!

W tej chwili usłyszałem gwałtowne potrząsanie gałęziami jabłoni... Owoce z szumem zaczęły sypać się na ziemię, potrącając o gałęzie... ktoś zaciekle trząsał jabłunką, jabłka sypały się niczym groch z worka.

-----

Szybko korzystając z przerwy w ostrzeliwaniu, ruszyłem biegiem na połud-

niowy skraj sadu, tuż przy siatce ogrodzeniowej, okrążając łukiem północny skraj, gdzie usadowili się bandziory. Byłem obuty w gumowe buciory, sadziłem potężne susy w kierunku domu nie bacząc na rozgłośny tupot jaki czyniłem! Dopadłem furtki, i z niewiarygodną wprost szybkością znalazłem się po drugiej stronie, pędząc do ganku od strony podwórza. Wpadłem do środka!

Nie mogłem złapać tchu. Wewnątrz domu było cicho, jak makiem zasiał. Obudzili się wszyscy, ale struchleli ze strachu siedzieli jak myszy w norze. Ojciec tylko, zaczajony pod oknem od strony sadu obserwował co się tam dalej dzieje. Usłyszałem jeszcze kilka wystrzałów... echo odpowiedziało, ale już zupełnie ciszej niż na dworze... Stałem obok ojca, nogi trzęsły się pode mną,,, i nie mogłem wykrztusić ani słowa!

Wstał mglisty, ponury wrześnieowy ranek. Leżałem na drewnianym tapczanie i nie mogłem zebrać myśli. Zbyt wiele przeżyłem tej nocy, aby móc o czymkolwiek spokojnie myśleć i analizować to nocne wydarzenie. Byłem straszliwie wstrząśnięty i załamany psychicznie. Świadomość, że w czasie tej nocnej strzelaniny tylko cudem uniknąłem trafienia, działała na mnie paraliżująco! Bandziorów najpewniej było najmniej dwóch: jeden wyznaczony do prowadzenia ostrzału, repetował wciąż zamek karabinu, i... strzelał wzdłuż rzędów jabłonek, pod którymi byłem ukryty. Drugi tymczasem przelazł od północnej strony sadu duży rów, okalający z tej strony drzewa, i brał się do właściwej roboty.

Ojciec z Mieczysławem poszli na zwiady do sadu. Znaleźli tam nad brzegiem rowu, w pobliżu starej, obficie rodzącej w tym roku jabłonki, kilka łusek od pocisków karabinowych. Jabłonka była zupełnie ogołocona z owoców, obok druga również, ale już w mniejszym stopniu. Pod drzewami leżało dużo jabłek, które bandyci w ciemnościach nie zdążyli pozbierać do worków.

Ślady prowadziły w kierunku Antonówki, gdyż na drodze leżało trochę pogubionych owoców, a uzbrojeni złodzieje widocznie bardzo się śpieszyli. Udałem się do sadu. Potwierdziły się moje przypuszczenia o kierunku strzałów. Widoczne były odstrzelone gałęzie wraz z owocami, leżące w torze wystrzeliwanych pocisków wzdłuż rzędu drzew, w kierunku budy.

Znalazłem jeszcze parę pustych gilz, zdeptaną trawę, rozgniecione stopami owoce, ułamane gałęzie. W tym momencie przypomniałem sobie tych dwóch ukraińskich, młodych oberwańców, których niedawno przepędziłem z sadu, kradnących bezczelnie owoce w biały dzień. Sądzę, że uzbrojeni nocni złodzieje pochodzili napewno z tych samych pobliskich ukraińskich zagród, widocznych na widnokręgu gołym okiem!

-----

Ojciec, widząc moją głęboką depresję psychiczną, postanowił wraz z matką zmienić mi na jakiś czas miejsce pobytu dla odprężenia się i odpoczynku. Bałem się już przebywać w rodzinnych pieleszach, zagrożonych bezpośrednim

atakami miejscowych ukraińskich bandziorów, napewno mocno rozzuchwalonych pierwszymi, bezkarnymi napadami. Zresztą oni mieli przede wszystkim broń palną, dostarczaną im pośrednio przez Niemców, za wierną służbę i gorliwe donosicielstwo.

Pojechaliśmy z ojcem furmanką do wujostwa Urbanowiczów do Stójła, położonego w okolicy dużej, zamieszkałej przez mieszaną ludność polsko-ukraińską, wioski Rzeczycy pod Tuczyńnem. W pobliżu płynęła rzeka Horyń.

Odurzony spokojem, jaki panował w rodzinie wujostwa, w ich zagrodzie, oraz w całej okolicy, odpocząłem wreszcie po nieprzespanych nocach, długich stanach wielkiego napięcia nerwowego, i psychicznego załamania po bandyckiej napaści. Jak zgodnie twierdzili wujostwo i bracia cioteczni: Mieczysław, Janusz, młodszy Brunon, a także cioteczne siostry: Klementynka i Regina - w ich okolicy panowała dotychczas cisza i spokój. ~~nie~~ Nie było, jak dotychczas, żadnych zabójstw, podpaleń, czy nocnych rabunków polskich zagród.

Używałem więc spokoju, ciszy, dobrego snu ile tylko zapragnąłem. Pomagałem w gospodarstwie zrywać dojrzały łubin, rąbałem drzewo, chodziliśmy wspólnie na spacer do lasu, który otaczał zagrodę ze wszystkich stron.

W tym czasie przebywali tam moi kuzyni wraz z matką, pochodzący z Warszawy. Nazywali się Marczakowie. Najstarszy z nich, którego dobrze pamiętam miał na imię Józef. Był to poważnego, spokojnego charakteru chłopiec, zdolny konstruktor modeli latających. Niestety, zmarł potem zdaje się na cukrzycę. Moim rówieśnikiem był Mietek Marczak / obecnie mieszka wraz z rodziną we Wrocławiu na Karłowicach/. Wykonywaliśmy wspólnie przeróżne prace gospodarskie, zlecone nam przez wujka. Było jeszcze wśród nas dwóch najmłodszych Marczaków: Piotr i Wiesław.

Pewnego ciepłego dnia, był to zdaje się koniec września, czy początek października 1942 roku, Mieczysław Urbanowicz zabrał mnie na wyprawę po młode sadzonki drzewek owocowych. Szkółka sadzonek znajdowała się, jak sobie przypominam, w Szubkowie, wsi położonej za Horyniem, w pobliżu Horyńgrodu. Od Stójła, rodzinnego gniazda Urbanowiczów, Szubków był oddalony około 10-12 km. Drogę przebyliśmy pieszo do przeprawy na rzece. Tam przenocowaliśmy u przewoźnika, który wczesnym rankiem przepłynął z nami łódką na drugi brzeg. Tam już maszerowaliśmy przez bezleśne okolice, a kuzyn, znający doskonale te tereny, prowadził mnie na skróty ścieżkami i wąskimi drózkami prosto do celu.

Dużym obszarem szkółki drzewek administrowali Niemcy. Spotkaliśmy tam dużo kupujących Polaków i Ukraińców, przyjeżdżających z okolicznych wsi. W biurze kuzyn opłacił należność karbowaniami, wziął kwitek do ręki, i poszliśmy wyszukać odpowiednią działkę, gdzie można było wykopywać sadzonki. Najwidoczniej, w sprawie zakupu tych sadzonek ojciec porozumiał się z ku-

zynem wcześniej i dał mu potrzebną ilość pieniędzy - ukraińskich karbo-  
wańców, i chyba trochę marek, już nie pamiętam nawet dokładnie.

Mieczysław, jak już wspominałem, był z zawodu ogrodnikiem, zabrał się  
więc szparko do wyszukiwania i oznaczania drzewek, ja natomiast wykopywa-  
łem i znosiłem na jedno miejsce, wybrane tuż przy dróżce. Pracowaliśmy tak  
przez kilka godzin, i wkrótce potrzebna ilość drzewek była przygotowana  
do odbioru.

Kilka dni później ojciec przyjechał drabiniastym wozem, tzw. "półtorakiem"  
z końmi, załadowaliśmy to wszystko niczym snopy, i wróciliśmy już bezpośrednio  
do Hipolitówki, po przenocowaniu u wujostwa. Drzewek było ponad 150 sztuk  
które natychmiast zadołowaliśmy w pobliżu nowej piwnicy z myślą, że na wios-  
nę zasadzimy je na przygotowanym i wybranym przez ojca kawałku ziemi.

Kilkunastodniowe "wczasy" i odpoczynek u wujostwa bardzo mnie wzmocniły  
fizycznie, podleczyłem trochę stargane nerwy, zacząłem normalnie sypiać.

Zbliżała się zima 1942 roku. Niemcy rozpoczęli wydawać zarządzenia doty-  
czące przymusowego naboru ludzi do pracy w Rzeszy. Jednakże niebezpieczeń-  
stwo to narazie nas ominęło, jak również ze wsi, jak pamiętam, nikogo jeszcze  
nie zabrano. Wszyscy siedzieli cicho po domach, zajęci pracą w gospodarst-  
wach w rodzinnej wiosce. Nasilenie napadów i mordów w okolicy jakgdyby  
zmałało, przynajmniej tak mi się wydawało.

Muszę tu jeszcze dodać, wspominając pobyt u wujostwa Urbanowiczów  
w ich rodzimym gnieździe zwanym Stójło, w którymś dniu październikowym, zosta-  
łem wyznaczony przez wujka Aleksandra, wraz z kilkoma jeszcze kuzynami,  
a pamiętam napewno Janusza Urbanowicza, Józefa Marcza, i zdaje się Mieczys-  
ława Marcza, do pracy przy spędzie zarekwirowanej bydła z okolicznych  
wiosek do Tuczyń, etapowej bazy zwierząt rzeźnych, utworzonej przez Niem-  
ców. Trwało to kilka dni. Pobraliśmy z domu żywność, derki do okrywania się,  
naczynia na wodę i przybory do jedzenia.

Pędziliśmy setki wychudzonych krów, w asyście uzbrojonych ukraińskich  
policjantów i strażników, kierujących całą eskapadą. Myśmy poganiaли bydło,  
a oni nas, z tą tylko różnicą, że do tego celu mieliśmy tylko własne nogi  
i leszczynowe kije, wycięte w przydrożnych krzakach, a oni mieli do dyspo-  
zycji wozy konne, wierzchowce, krótkie bicze i karabiny, a niektórzy mieli  
przyczepione do pasa pistolety. Wyglądało to groźnie i niesamowicie zara-  
zem. Przypominało to kozackie watahy, pędzące wraz z pastuchami-czabanami  
czteronożną "spyżę" dla armii Chmielnickiego!

W Tuczyń zatrzymaliśmy się na skraju miasta, w jakiejś bardzo zrujno-  
wanej dzielnicy, przypominającej opuszczone getto żydowskie w Kostopolu.  
Nocowaliśmy w obrzydliwej, napoły rozwalonej ruderze. Po przekazaniu stada,  
które musieliśmy jeszcze po drodze poić i karmić zleżającą słomą, i zjedzeniu  
posiadanych zapasów, pozwolono nam wrócić do domów.

Zbliżał się koniec jesieni. Po powrocie z pobytu u wujostwa na wypoczynku, zastałem ~~w domu~~ duże zmiany w domu. Przede wszystkim zauważyłem brak turbiny na dachu. Sterczał tam, wystający koniec podpór z trzpieniem, przymocowany na stałe. Reszta turbiny, wraz ze skrzydłami, ramą mocującą i usterzeniem zostało zdjęte przez brata na polecenie rodziców. Okazało się, że byli ponownie policjanci, którzy kazali bezzwłocznie usunąć te, niebezpieczne dla potęgi państwa niemiecko-ukraińskich faszystów, urządzenia.

Bardzo żałowałem, że teraz nie będę obserwował pracy turbiny, wesoło i z szumem obracającej się na dachu w podmuchach silnego, jesiennego wiatru, i nie bacząc na ostrzeżenia matczyne, postanowiłem niezwłocznie zmontować samodzielnie turbinę z powrotem na dachu.

Przypominam sobie, że brata gdzieś nie było dłuższy czas. Prawdopodobnie był u siostry w Kostopolu, i tam szukał dla siebie zajęcia i pracy na okres zimowy. Do montażu musiałem więc przystąpić sam.

Do ukończenia montażu jednakże nie doszło. Musiałem wkrótce przerwać te czynności. Przede wszystkim rozpoczęły się mordy i palenie zagród w pobliżu naszego rodzowego gniazda. Ludzie mieszkający po sąsiedzku przynosili prawie codziennie do nas wstrząsające wiadomości, o rabunkach, napadach z bronią w rękę, podpalaniu zagród, zabójstwach.

Nadciągnęła mroźna zima 1942 roku. Do wujostwa Lisieckich w Hipolitówce wrócił ich syn, Teofil, który już trzeci rok przebywał w niewoli niemieckiej po kampanii wojennej w 1939 roku. Pracując u samodzielnego gospodarza uzyskał warunkowy urlop. Po zatrzymaniu się u rodziców, i dłuższym odpoczynku, ojciec zaprosił go do nas.

Pamiętam kuchnię zastawioną warsztatem tkackim, kołowrotkiem, zwijadłem, stępą, stołem i stołkami kuchennymi, usuniętymi pod drugą ścianę koło płyty na której gotowało się domowe jadło, i Teofila wypytywanego przez ojca o swoje losy, które barwnie opowiadał, wtrącając niemieckie słowa i zwroty.

Niestety, trafił w najgorszy czas, kiedy rozwijały się zbrodniczą działalność ukraińskie bandy, atakując polskie zagrody i mniejsze osiedla.

Zaczęły dochodzić do nas wiadomości o ucieczkach ludzi zabieranych przemocą na roboty do Niemiec. Udane ucieczki trafiały się w czasie kolejowego transportu pomiędzy Sarnami, Kostopolem, a głównym obozem przejściowym, znajdującym się w dawnych koszarach w Równem. Rzadziej można było uciec z samego obozu, ponieważ był on już w tym czasie dobrze odrutowany i pilnowany przez specjalne oddziały tyłowe Wehrmachtu.

Pewnego zimowego wieczoru, kiedy cała nasza rodzina siedziała w kuchni, każdy zajęty swoją pracą/ ja w tym momencie tłukłem proso w stępie/, ktoś zapukał do drzwi od podwórza, zamkniętych od wewnątrz. Ojciec wyszedł sprawdzić, kto to mógł o dość późnej stosunkowo porze składać nam wizytę.

Za chwilę, w otwartych drzwiach wiodących do nagrzonej kuchni, zjawiła

się jakaś mocno oszroniona od mrozu postać, ubrana grubo w jakieś stare ubranie, mocno podniszczony płaszcz i w czapce barankowej na głowie.

Ale kiedy spojrzeliśmy w twarz przybysza, mocno zresztą zarośniętą, wyglądającą spod barankowej czapy nasuniętej głęboko na oczy, poznaliśmy odrazu kto to był.

Kazimierz Hermaszewski, dawny pracownik młyna w Bołdynie, zatrudniony tam w charakterze motorowego, został zmuszony do wyjazdu do Niemiec na roboty, i w drodze, gdzieś w okolicach Równego udało mu się uciec z transportu. Idąc lasami, omijając ukraińskie wioski i osiedla, gdzie roiło się od banderowców i ukraińskich policjantów, zdołał dotrzeć do Hipolitówki, zachodząc po drodze do naszej zagrody. Mieszkaliśmy wówczas, jak już pisałem, po sąsiedzku. Szedł do ojca, który przebywał jeszcze w swojej starej chałupce na skraju Antonówki wraz z żoną.

Pamiętam, że matka nakarmiła go szczypaną zacierką na mleku, której zjadł chyba dwa pełne talerze, pocąc się przy tym, jak przy ciężkiej fizycznej robocie. Był tak zgłodniały i osłabły z wycieńczenia, że nie mógł chwilowo wyraźnie odpowiadać na zadawane przez ojca i matkę pytania.

Pasjonowałem się zawsze jego barwnymi opowiadaniem, a miał co opowiadać. Pracując jeszcze we młynie miał możliwość zaobserwować zwyczaje i manie-ry ukraińskich chłopów, poznał dokładnie psychikę młodych, rozwyrzonych dorastających ukraińskich młodzieńców, a później na własnej skórze poznał możliwości ukraińskich bandziorów, przewalających się po rozpaleniu się nienawiści przeciwko Lachom, po polskich wsiach i pojedynczych polskich zagrodach. Znał dobrze wszystkich gospodarzy w całej okolicy, polskich i ukraińskich. Poznał ich jeszcze lepiej wówczas, kiedy po zakupieniu starego Forda, objeżdżał poszczególne gospodarstwa i młócił tam zboże maszyną, napędzaną tylnym kołem samochodu!

Późną nocą, po solidnym odpoczynku, i kiedy już opowiedział swoje przygody po ucieczce z transportu, Kazimierz udał się w dalszą drogę. Od tego spotkania, w późniejszym czasie nie miałem już możliwości z nim się spotykać. Wspominam o nim między innymi dlatego, że i ja w następstwie spłotu przeróżnych wypadków, podzieliłem podobny los, los niewolnika zmuszonego do wyjazdu do pracy do Niemiec, z tą chwilową jeszcze różnicą, że on jeszcze miał dokąd wracać, a ja już niestety nie!

Po unieruchomieniu, pod presją ukraińskich policjantów i donosicieli, **zmechanizowanych** żaren, prądnic, urządzeń oświetleniowych, ostrzałki i szliferek szybkoobrotowych, i innych drobnych mechanizmów napędzanych turbiną powietrzną, musieliśmy z konieczności przejść na zupełnie pierwotny styl życia w domu. Trzeba było obecnie ograniczyć się do minimum wygód, jakie niosło ze sobą prowadzenie wojny przez hitlerowskiego okupanta.

Brakło nafty do oświetlenia. Długie wieczory spędzaliśmy odtąd przy



grubych świecach, produkowanych przez matkę z pszczelego wosku, a gdy te się skończyły, próbowaliśmy oświetlać kuchnię, gdzie skupiało się życie rodzinne i kulturalne naszej rodziny, pachnącymi karbidówkami, które szwagier gdzieś zdobył, prawdopodobnie od kolejarzy w Mokwinie czy Kostopolu.

Karbidówki trzeba było wciąż czyścić i zmieniać karbid, było to bardzo kłopotliwe i niebezpieczne, groziło przecież pożarem, przy nieostrożnym obchodzeniu się, a nie każdy z naszej rodziny znał się na tym dobrze.

Z konieczności musieliśmy w końcu przejść na system oświetleniowy znany od tysięcy lat, i z powodzeniem stosowany przez pierwotnych Słowian, czy inne plemiona, zamieszkujące dawniej moje rodzinne strony. Było to użycie łuczywa.

W swoim, krótkim jeszcze ówczesnie życiu, bardzo dużo miałem do czynienia ze szczapami pachnącego mocno łuczywa, uzyskiwanego z pniaków starych sosen, których u nas nie brakowało. Służyły wyłącznie do rozpalania pod płytą lub w piecu. Nigdy nie przypuszczałem, że łuczywo znajdzie jeszcze inne zastosowanie w moim rodzinnym domu! Rodzice, a szczególnie matka, jak sobie przypominam, opowiadała kiedyś o stosowaniu tego materiału u dziadków; ale było to bardzo dawno, jeszcze za czasów matczynego dzieciństwa.

Pamiętam, że któregoś wieczoru miałem do przeczytania jakąś pasjonującą lekturę. Nie było żadnej możliwości w tym czasie użycia jakiegoś innego oświetlenia, jedynie przy otwartych drzwiczkach płonącego ognia pod płytą.

Usadowiłem się w pobliżu, ale ogień był zbyt gorący, uniemożliwił normalne, dłuższe czytanie. Wówczas to matka zaproponowała palenie łuczywa na przypiecku pod okapem pieca chlebowego.

Szybko też przystąpiliśmy z bratem do dzieła. Przyniosłem narąbanych szczapek, brat obłożył palenisko na przypiecku kilkoma cegłami... i zasiedliśmy do czytania! Płomień łuczywo dawało dość chybotały i kopcały, ale było lepiej niż przy otwartych drzwiczkach płyty kuchennej. Temperatura ognia była o wiele mniejsza, od biedy można było wysiedzieć dłuższy czas przy takim świeceniu bez szkody dla oczu. Dym uchodził szerokim okapem wprost do komina, a przyjemny zapach żywicy rozchodził się po izbie.

Matka tymczasem przędła i tkła w ciągu tych jesiennych, a później zimowych dni. Po zakończeniu tej pracy i odwinięciu materiału z wału, wyglądało to imponująco. Było tego kilkadziesiąt metrów bieżących. Po wymoczeniu i osuszeniu matka przystąpiła do krojenia na wymiar i szycia portek i spodnic. Pamiętam te portki do dzisiaj! Były twarde i sztywne, niczym kombinezon robotniczy, ale ciepłe i mocne. Przy chodzeniu trzeba było nieco rozstawić nogi, nogawki mocno tarły o siebie i wydawały mocny szum i chrzęst.

Matka była niesłychanie dumna ze swego życiowego dzieła: wszystkie prace zostały wykonane w domu, jej własnymi rękami, przy użyciu wyprodukowanych przez siebie materiałów i według własnego pomysłu w ciągu ostatniego roku, który na trwałe zapisał się w mojej pamięci.

Podczas okupacyjnych rządów została zamknięta i zlikwidowana kapliczka w Reginówce. Kościelne urządzenia i wyposażenie wnętrza usunięto, a część pochowała polska ludność po zagrodach. Między innymi kapliczna fisharmonia, poruszana pedałem nożnym, została przez ojca przewieziona i ukryta w naszym domu, później, ustawiona w stołowym pokoju przy ojcowskim biurku z książkami i rodzowymi papierami. Próbowaliśmy z Khratem sztuki grania na tym klawiszowym instrumencie, ale bez powodzenia. Dopiero w czasie odwiedzin stryja Zygmunta Kurjaty, już w czasie banderowskich napadów w okolicy - instrument nieco ożył!

Stryj dawniej grywał na skrzypcach i harmonii ręcznej z klawiszami; posługiwanie się klawiaturą było podobne. Zasiadał więc często przy kaplicznej fisharmonii i napełniał nasz dom wspaniałymi walcami Straussa, ukraińskimi dumkami, starymi polkami i mazurami. Stawałem obok jak zahipnotyzowany, wsłuchując się chciwie w stare, przepiękne melodie, a później miałem się skrzypiec, próbując grać razem w duecie. Po kilku takich próbach, muszę się pochwalić, zgraliśmy się zupełnie dobrze.

Młódzież ze wsi bardzo szybko zorientowała się w naszych rodzinnych możliwościach muzycznych. Zaczęli przychodzić do nas, szczególnie dziewczęta /zawsze to łase na muzykę i tańce! / na małe potańcówki. Po wieczornych obrządkach, kiedy było więcej wolnego czasu, w każdą sobotę, a czasami niedzielę, grywaliśmy do tańca.

Potrzeba wyhasania się w tańcu w towarzystwie młodych była tak nieprzeparta, że chwilami zapominaliśmy o ponurym i strasznym okresie w którym musieliśmy żyć i trwać. Jednakże życie ma swoje prawa, któremu trzeba było się podporządkować. Szkoda tylko, że moja i moich rówieśników i rówieśnic losowa dola, wplotła nasze młode życie w tryby straszliwej gehenny wojennej, gospodarczej ruiny dorobku naszych przodków, postępującej społecznej degradacji i ogólnego zdziczenia mniej odpornych jednostek na skutki wojennych warunków jakie każda wojna ze sobą przynosi. Musieliśmy oglądać to wszystko na własne oczy, przeżywać gorycz porażek, ponosić ciężar rabunkowej gospodarki i okupacyjnego poniżenia. Musieliśmy sami tworzyć prowizoryczne i sztuczne warunki normalnej egzystencji, usiłowaliśmy podtrzymać upadającą kulturę i tradycję rodzinną, borykaliśmy się z mnóstwem innych dolegliwości, niewygód i nieszczęść, które dzień po dniu potężniały i obracały w niwecz nasze wysiłki i zamiary.

Część członków mojej rodziny, dotyczy to szczególnie sióstr, oraz kuzynów, wchodziła w okres dojrzały, w związku z czym musieli stawać przed zupełnie nowymi problemami życiowymi i sercowymi. W tym okresie nie było już mowy o normalnym przebiegu kojarzenia małżeństw, wyprawianiu wesel czy innych tego typu zjawisk zachodzących w każdej normalnej rodzinie. W tym koszmar-

nym czasie, nawet jeden dzień przeżyty szczęśliwie bez jakichś gwałtownych wydarzeń, podpaleń, zabójstw, napadów z bronią w rękę dokonywanych na spokojnych mieszkańcach polskich wiosek i osiedli, graniczyło ~~z~~ po prostu z cudem.

Ale natura domaga się swoich praw. W czasie krótkich potańcówek i towarzyskich spotkań, które odbywały się przeważnie w naszym domu, ponieważ rodzice bardzo chętnie użyczali na ~~ten~~ cel **obszernych** pomieszczeń mieszkalnych, a szczególnie celował w tym ojciec, - należało bezwzględnie wystawić czujki, warty, i ruchome patrole w pobliżu domu, aby nie dać się zaskoczyć znieścacka bandytom.

Podczas potańcówek młodzież zapoznawała się ze sobą, dyskutowała, a czasami, co jest zupełnie naturalne, zakochiwała w sobie, następowały intymne zbliżenia i kojarzenia. W następstwie tego łączyły się poszczególne pary narzeczeńskie w późniejsze małżeństwa.

Jedną z takich właśnie par małżeńskich, skojarzonych u nas na takich wieczorowych potańcówkach, było pierwsze zapoznanie się Mariana z Oleńką Bielawską z Lipnik. Pamiętam, że czasy były wówczas bardzo niespokojne, ale młodzi chcieli się bawić, dając upust naturalnym popędom i dążeniom.

Moje skrzypce nie próżnowały. Wygrywałem na nich przeróżne melodie tańeczne, przeważnie tanga, walce, fokstroty, polki zasłyszane gdzieś i zapamiętane, a powtarzane po wielekroć razy utrwaliły się dobrze w pamięci tak, że mogłem później służyć muzycznymi umiejętnościami innym. Brat Mieczysław wtórował na **gitarze**, dołączała się także siostra Antonina na mandolinie, również Marian, w chwilach dobrego humoru ~~imał~~ się czasem skrzypiec lub gitary. Muszę przyznać, że jednak w naszym domu było wesoło, ~~zawsze~~ chociaż czasy zaczynały być ponure, a nawet niezwykle powikłane i niebezpieczne.

Gospodarstwo upadało, obora zaczynała świecić pustką, taki był zresztą wynik rabunkowej działalności faszystowskiego okupanta, mniej było roboty w domu, wszystkie działania i zabiegi rodziców i nas samych ograniczały się wtedy jedynie do utrzymania się przy życiu i jego potrzebach, dlatego też z perspektywy lat, obecnie wcale się nie dziwię, że zwiększoną ilość wolnego czasu, który poprzednio pochłaniała intensywna praca w gospodarstwie i podnoszenie jego wydajności, można było wtedy przeznaczyć na inne cele, mniej skomplikowane i nie wymagające prawie żadnych nakładów pieniężnych. Życie szło swoim torem i trzeba było możliwie kulturalnie i celowo z niego korzystać. **Któż** z nas wtedy mógł przypuszczać, że ~~za~~ kilka zaledwie miesięcy później straszliwe akcje ukraińskich nacjonalistów zniweczą i zburzą całkowicie to polskie życie polskich wiosek i osad, tłące się jeszcze na tych terenach!?

-----

Płomienie wznosiły się wysoko. Ich chybotliwe jezory oświetlały ponurym krwawym blaskiem pobliskie pola, sad, las sąsiada i dochodziły aż do naszych

zabudowań, rzucając ruchome cienie w środku księżycowej nocy. Paliły się zagrody Polaków zamieszkałych na Antonówce i Łysusze w odległości około jednego kilometra od naszego gniazda. Z tej odległości nie było słycać żadnych okrzyków, czy wrzawy, która powinna towarzyszyć temu straszemu widokowi, który bił w nasze oczy z nieprawdopodobną wprost potęgą, obzładniającą zupełnie nasze myśli i wolę.

Ojciec obudził wszystkich, nakazując ściszym głosem ubierać się i wychodzić powoli na dwór. Najlepszym schronieniem był las. Powoli opuściliśmy dom, przeszliśmy przez furtkę i podążyliśmy do naszego lasu za stodołą. Tam, siedząc w gęstwinie młodych brzózek, obserwowaliśmy pożar w Antonówce. Mama siedziała na przyniesionym przez nas taborecie i milcząc przyglądała się rozszerzającej się łunie pożaru, prześwitującej przez gęste brzożki. Było przedziwnie ciepło, noc była dość jasna, oświetlona dodatkowo pióropuszem ognia bijącego wysoko w niebo upstrzone gwiazdami.

Wymienialiśmy po cichu uwagi między sobą, oglądaliśmy ogromny, cichy płomień pożerający zagrodę Guzewiczów, Kotowskich, Zabłockich w Antonówce, a ja nie mogłem opędzić się natrętnej myśli, że oglądam potworne widowisko niczym spektakl teatralny, którego aktorzy nie byli widoczni ani nie było ich słycać; można tylko było sobie wyobrazić morderców, atakujących bezbronnych, i ich ofiary rażąco bezlitośnie siekierami na progach własnych domów! Namacalnym tego dowodem były wysokie jezory ognia i dymu, oglądane przez nas przez resztę nocy aż do świtu!

Poruszałem się jak zaczadzony. Oczy nasycone strasznym widokiem, który oglądaliśmy przez prawie pół nocy, piekły i odmawiały posłuszeństwa. Obrazy były jak zamglone, nierealne. Widok całego jeszcze domu i nienaruszonej zagrody wywoływał okropną myśl, że następnej nocy właśnie nasze gniazdo będzie tak płonąć, jak tamte zagrody widziane w nocy i gorejące w cichości, rozświetlając nocny nieboskłon aż pod chmury, a oprawcy milcząc, będą się uwijali wokół, szukając nowych ofiar i nowej pożogi.

Wszyscy byliśmy niewyspani i brudni. Krotkie, nerwowe drzemki w ciepłych ubraniach, z narzuconymi paltami, nie dawały żadnego godziwego wypoczynku i regeneracji sił niezbędnych do pracy w gospodarstwie. Jedzenie podawane przez matkę nie smakowało w ogóle, nie można było przełknąć nawet kęsa. Chciało się tylko pić, sen morzył nas i powieki ciążyły jak z ołowiu, ale sen nie przychodził wcale. Nocne widziadła i wizja mordowanych sąsiadów nie dawały nam spać. Należało wreszcie postanowić coś konkretnego, aby ratować życie, by nie dać się tak zarznąć, jak barany idące na rzeź. Nocny mord, oglądany przez nas wszystkich był aż nadto wymowny, nie wolno było zwlekać ani godziny!

-----

W tym także okresie nastąpiła rodzinna tragedia rodziny Chmielewskich

zamieszkałych w Zarzeczcze, osadzie należącej do futorów jabłoneckich, położonej tuż pod lasem Zapustem, około 2 km od naszej zagrody. Pewnej nocy, chyba to było późną jesienią, czy na początku zimy, zagroda Chmielewskich ~~xxx~~ została niespodziewanie otoczona przez banderowców. Zbiry wdarli się do mieszkania, ustawili wszystkich pod ścianami, splądrowali wszystkie pomieszczenia, a następnie wymordowali całą rodzinę najpewniej przy użyciu siekier, ponieważ nie było słyhać strzałów. Podobnie jak w Antonówce, - mordercy działali szybko, sprawnie i cicho, jak typowi zawodowcy!

Rodzina Chmielewskich była spokrewniona z Łukomskimi z Hipolitówki. Po odkryciu tej okropnej rzezi, rodzina udała się do Zarzeczeki. Tam w pośpiechu sklecono z desek kilka trumien, załadowano je na konne wozy i wyruszono w kierunku Bereznego, aby godnie pochować na miejscowym cmentarzu pomordowanych. Trasa wiodła przez wieś Jabłonne i Kamionkę, wsie które w opinii miejscowych Polaków, zamieszkałe były przez zajadłych nacjonalistów.

Wkrótce też orszak pogrzebowy został brutalnie zatrzymany w Kamionce, a właściwie pomiędzy Jabłonnem a Kamionką, gdzie trakt wiodący do Bereznego, wije się pomiędzy gęstymi krzami i kępami olch, wierzb, karłowatych brzoź.

W orszaku pogrzebowym uczestniczył Mikołaj Łukomski, najstarszy z synów Mieczysława Łukomskiego z Hipolitówki. Na czele bandy ukraińskich zbirów, jak zdażył stwierdzić Mikołaj, stał ich "komandyr", niejaki Stepan Hryb, jego dawny znajomy, jeszcze za polskich rządów. We wsi Dąbrówce, w pobliżu Jarynowki, mieszkał tam Mikołaj prowadząc sklep spożywczy. Obsługiwał pracowników wojskowego przedsiębiorstwa t zw. 13-ki, budującej umocnienia w tej okolicy, a także i okolicznych mieszkańców pobliskich wiosek polskich i ukraińskich. Okazało się, że właśnie w tej Dąbrówce, w pobliżu sklepu po sąsiedzku mieszkał ów późniejszy herszt ukraińskich bandziorów - Stepan Hryb.

Bardzo często zachodził on do sklepu po zakupy, i tam zapoznał się z Mikołajem Łukomskim, który jako dobrze wychowany i inteligentny człowiek, nigdy nie wykazywał się wrogością do żyjących po sąsiedzku Ukraińców.

To widocznie uratowało wszystkich od straszliwej masakry tam, na drodze pod Kamionką. Mikołaj, zaprowadzony na bok, kilkadziesiąt metrów od zatrzymanych w zaroślach grupy ludzi, zdołał ubłagać u "komandyra" odroczenie wykonania masakry na drodze. Chodziło tu naprzód o przetransportowanie trumien z ciałami na cmentarz do Bereznego i dokonanie pogrzebu.

Widocznie zbiry planowali rozprawienie się z uczestnikami pogrzebu w czasie powrotu tą samą drogą do swoich domów, ale na szczęście do tego nie doszło, ponieważ ludzie, nauczeni tym wstrząsającym doświadczeniem, powrócili inną trasą, uchodząc tym razem z życiem.

Na marginesie tych wspomnień, nie od rzeczy będzie dodać, że niejaki Stefan Grzyb, szanowany obywatel polski, repatriowany z powiatu kostopolskiego, gdzieś z okolic Dąbrówki, czy Kamionki, mieszkał i pracował długi czas w pięknym Wołowie, położonym w pobliżu Wrocławia, zajmując się tam specyficz-

ną czynnością: był mianowicie komornikiem przy tamtejszym Sądzie Powiatowym. Na tym stanowisku zasłynął z okrucieństwa, sadyzmu i bezwzględności.

A w Wołowie i okolicy mieszka bardzo wielu repatriantów z okolic Bereznego: z Ilnik, Oczerecianki, Polan, Kurhanów, Bronnego i innych leśnych polskich osad!

Idąc tym tropem dalej, można jeszcze wspomnieć, ale tak zupełnie nawiasem, nie sugerując nic nikomu i niczego, że we Wrocławiu przy ul. Czajkowskiego mieszka również jakiś pan Stefan Grzyb, bardzo szanowany polski obywatel! Przynajmniej mówi o tym dokładny spis telefonów miasta Wrocławia?!

-----

Bandyckie akcje gwałtownie nasiliły się w naszej okolicy w środku zimy 1942/43 roku. Wraz ze wzrostem niepowodzeń hitlerowskich na wszystkich frontach wojennych, a szczególnie na froncie wschodnim, który najbardziej nas zaczął w tym okresie interesować, nasilać się zaczęły napady ukraińskich bandyckich ugrupowań, których gniazda znajdowały się prawie w każdej większej ukraińskiej wiosce, leżących półkuliście w bliskich odległościach od polskich osad, kolonii i liczniejszych skupisk miejskich.

Front wschodni, trzymany resztkami sił przez armie hitlerowskie, trzeszczał i powoli, lecz stale cofał się z powrotem na zachód pod uderzeniami potężnych pancernych armii sowieckich. Nie zdawałem sobie jeszcze sprawy z olbrzymiego znaczenia bitwy stalingradzkiej i jej znaczenia dla dalszego przebiegu wojny na froncie wschodnim. Powoli, stopniowo zaczęły docierać do nas skąpe wiadomości o kotle stalingradzkim, gdzie zacieśniały się pierścienie armii sowieckich wokół zamkniętych tam wojsk feldmarszałka Paulusa.

Część tych faktów wyczytywaliśmy pomiędzy wierszami, z przywożonych przez ojca od czasu do czasu z Kostopola ukraińskiej gazety, wydawanej przez ukraińską administrację, pod tytułem "Kostopilski Wiści". Sławiliła ona na swoich szpaltach bohaterską obronę zamkniętych w kotle niemieckich wojsk, o urządzaniu pułapek na czołgi sowieckie, budowaniu tzw. "stiny krwi" - ściany krwi, czyli niezdojanych bastionów-okopów, bronionych przez pełne chwały, bohaterskie oddziały Wehrmachtu, zadając przy tym olbrzymie straty atakującym hordom bolszewickim i tp. i tp.

W ciągu okresu zimowego 1942/43 roku, na wschodnim teatrze działań wojennych zaczęło się wreszcie coś dziać, co mogło wzniecić nadzieje na rychłe pokonanie armii hitlerowskich, a tym samym, jak sądziłem, uda się zahamować potęgający się niebezpieczny dla Polaków, ukraiński ruch nacjonalistyczny, skierowany bezpośrednio przeciwko elementowi polskiemu, a wyrażający się niesłychanymi mordami, paleniem polskich zagród, a nawet mniejszych wsi czy osiedli. Nadzieje te okazały się jednakże nierealne.

Właściwy front wschodni był oddalony od nas o około półtora tysiąca km., tymczasem u nas szalał terror faszystowski-ukraińsko-niemiecki, a z dru-

giej strony wzmagający się ruch partyzancki na terenie Wołynia i Polesia, jako swoista samoobrona ludności polskiej, żydowskiej, rosyjskiej, a nawet częściowo ukraińskiej przed rozlewającym się potopem straszliwych mordów, wykonywanych przez żądnych krwi ukraińskich "komandyrów", a inspirowanych przez rzeczywistych ówczesnych władców zaanektowanych terenów - przez gauleitera Ericha Kocha, mającego swoją siedzibę w Równem, oraz hitlerowskie Gestapo, kierowane przez Heinricha Himmlera.

Cywilna ludność polska znalazła się niespodziewanie w sytuacji prawie bez wyjścia, dosłownie jak pomiędzy młotem, a kowadłem.

-----

Moje nerwy zaczęły już odmawiać posłuszeństwa. Nie przespane noce, pełne straszliwych wizji krótkie ukradkowe sny, pogłębiający się psychiczny defetyzm, czyli inaczej mówiąc całkowity brak nadziei na jakiegokolwiek polepszenie się sytuacji, duchowa depresja, - wszystko to skłoniło mnie do rozmowy z rodzicami, a szczególnie z ojcem, na temat naszego dalszego pobytu w rodzinnym gnieździe.

Nocne pożary, mordy, zuchwałe rabunki przybliżające się do naszej wsi, żuny rozświetlające widnokrąg wokoło każdej nocy, mówiły same za siebie! Nie wolno było obecnie zwlekać ani chwili, jeżeli chcieliśmy zachować życie! W nocy na zmianę czuwaliśmy z bratem i ojcem, patrolowaliśmy teren wokół zagrody, badaliśmy nasz i sąsiedzki las, zaglądaliśmy do sadu, wychodziliśmy dalej na łąki, ale to wszystko nie miało dłużej już sensu.

W dzień natomiast kładliśmy się na krótki wypoczynek, ale gospodarskie roboty czekały i trzeba je było normalnie wykonywać. Były jeszcze dwa konie, zdaje się również dwie krowy - krowa dojna i cielica, kilka owiec, kury i chyba jakiś prosiak. Oprócz tego były, jak już wspominałem, dwa psy. Wszystko to musiało być nakarmione i oporzędzone. W magazynie leżało wymłócone zboże i to dość dużo. Trzeba było to przesypywać do worków, znosić na dół i przygotowywać do wywiezienia w bezpieczniejsze miejsce wraz z inwentarzem żywym. Ciężkie meble i wyposażenie mieszkania, maszyny, kierat, i inne urządzenia trzeba było pozostawić, a zabierać jedynie żywność, ubranie, trochę drobniejszych mebli, naczynia kuchenne, dokumenty rodzinne.

Łaziłem po stodole, oborze i stajni, zaglądałem do kurnika, magazynku ze zbożem; wszędzie znajdowałem częśćkę mojej długoletniej pracy w każdym kącie, stawałem zadumany nad jakąś drobnostką, która przypominała moje dzieciństwo. Martwe przedmioty stały sobie niewzruszone, obojętne na wszelkie zmiany czasowe, okropności które te czasy niosły ze sobą, niezmienione od czasów mego wczesnego dzieciństwa, kryjące w sobie świadectwo innych, spokojnych i dostatnich okresów, których były świadkiem i zupełnie biernym obserwatorem. Stałem obok, wpatrywałem się w zarysy znanych od dawną maszyn, urządzeń, przedmiotów codziennego użytku, i nie mogłem pojąć dlaczego mam

oderwać się od tego miłego mi widoku, zerwać gwałtownie wszelką uczuciową i materialną łączność, odrzucić całkowicie wszystkie dziecięce więzi myślowe i psychiczne z tym, co obecnie oglądam, stwierdzając jednocześnie z przerażeniem, że jaknajszybsze porzucenie tego materialnego obrazu daje mi jakąś możliwość przeżycia i uratowania mojego istnienia - te martwe przedmioty muszą zginąć, być wytarte z mej pamięci po to, abym ja mógł ujsć bezpiecznie z życiem!

Było to wprost niewiarygodne, okropne, aż bolesne zarazem; musiałem iść dalej, odwracać głowę, aby nie dać upustu napływającym łzom do oczu, - ... Maszyna do młócenia stała sobie cicho na dawnym miejscu, tam gdzie ustawiliśmy ją z bratem po skończonym młóceniu zboża... Wialnia przycupnęła tuż obok, wierna i spracowana, z odkręconą korbą leżącą na wierzchu kosza, której tyle razy wsypywałem zboże wraz z plewami do oczyszczenia... A tam przy zachodniej ścianie starej, stodoły drzemał, jak zawsze, prastary "machowik" - nazywaną tak przez ojca z ukraińska ogromne koło napędzające maszynę do młócenia, i siczekarnię ~~kiedy~~ była ona jeszcze umieszczona na górze... Obecnie stała ona, unieruchomiona, równie cicha i pokorna, gotowa w każdej chwili do posługi na każde ządanie na swoim miejscu, tak, jak ją ustawiliśmy parę miesięcy temu... W sąsiedku leżało dużo wymłóconej słomy, obok w plewniku pełno było plew z poprzedniego omłotu, a przy ścianie plewnika grubo porżnięte dębowe deski ułożone fachowo przez ojca, z myślą o tym, że kiedyś doczekają się czasów, które pozwolą na wykonanie z tych desek solidnych mebli! Odwracam z wysileniem głowę od tych desek... Przecież te deski, to był stary dąb, po którym wlażyłem na sam wierzchołek w czasie pasionki na naszej łące. Napewno te deski, ten dąb, te obrazy przeszłości zakłute w ten martwy długi pień, leżący sobie w plewniku muszą tu pozostać, ulec oderwaniu od moich wspomnień, nie wolno wreszcie będzie o nich myśleć.

Jakie to nieludzkie, dziwaczne, przeżywane pierwszy raz, wstrząsające! Te myśli, że wszystko to ogląda się ostatni raz, opuszcza i rzuca dlatego, że ktoś tam pali, morduje, zabija i ~~terroryzuje~~ terroryzuje spokojnych mieszkańców tej zagrody, osiedla, wsi - były nie do zniesienia! Podniecona wyobraźnia wymyślała nowe i nowe obrazy, powiązania, skojarzenia... Czy rzeczywiście ~~tak~~ musi być... A może to tylko sen!?

-----

W przewidywaniu wyprowadzki do Kostopola, trzeba było naciąć dużo siczki dla koni, wyszykować oba wozy: półtorak i zwykły, wiązać worki ze zbożem, przesy~~py~~pywać siczeką do ogromnego siennika, wiązać toboły, wyciągać z pod szopy klatkę na kury i prosiaki, wyrzucać siano ze stodoły i wykonywać dużo innych czynności przygotowawczych. To było w dzień, a noce również były wykorzystywane na inne, jeszcze bardziej męczące czynności: wartowanie, nerwowe odsypianie innych nie przespanych nocy, obserwowanie ze strychu pobliskich dróg, którymi mogli podjechać banderowcy, tłuczenie kaszy



w stępie, po którym bolały mnie wciąż ręce i mięśnie na plecach i szyi, oraz kręcenie ręczne żaren, ponieważ turbina była już zdemontowana.

Ze smutkiem oglądałem złożone w spiżarni i częściowo na strychu zdemontowane zespoły i części turbiny, nieczynne dynamo, ciemne żarówki. Zakłóta myśl konstruktorska, w tych częściach i zespołach nieruchomych, leżących beczynnym, powalona chyba na zawsze, przez wdzierający się do naszego gniazda ze wszystkich stron terror i strach, wołała o pomstę do nieba!

Trzeba było się spieszyć z wyjazdem. Był to chyba początek lutego 1943 roku, o ile mnie pamięć nie myli, ruszyliśmy z ojcem do miasteczka. Wszędzie było smutno i pustawo po drodze. Trzymał lekki mróz, na drodze wyżłobionej kołami wozów w dwie koleiny nie było błota, jechało się dobrze. Wieś była jak wymarła. Nie spotkaliśmy nikogo po drodze. Przez Pieczałówkę przejechaliśmy szybko, przy posterunku ukraińskiej policji nie było widać żadnego ruchu. Wkrótce dotarliśmy do Kostopola.

Ojciec zatrzymał się naprzód u siostry, tam zostawiliśmy trochę ładunku, a resztę przewieźliśmy na podwórze do cioci Żarczyńskiej przy ul. Kopernika. Okazało się, że ojciec wcześniej wynajął puste pomieszczenia u Szczasnego, w sąsiednim podwórku; była tam drewniana, solidna stajnia dla koni i pomieszczenie dla krów, kilku owiec i kur. Przenieśliśmy tam worki ze zbożem / był to zdaje się owies i siewka dla koni i trochę pszenicy/.

W tym okresie następuje szereg wydarzeń, których kolejności nie jestem pewien ze względu na zbyt odległy czas w którym one miały miejsce. Pamiętam jednakże dobrze jedno wydarzenie, które mocno mną wstrząsnęło.

Chodzi tu o zabójstwo Jana Czerniaka, młodego męża Halinki, córki moich długoletnich opiekunów - Błażejewskich, o których już wspominałem dość obszernie. Został on zamordowany przez banderowców, ale w bliżej nieznanym mi obecnie okolicznościach. Prawdopodobnie miało ono miejsce w Janowej Dolinie. Zdążyłem go bliżej poznać w latach ubiegłych, kiedy był jeszcze narzeczonym Halinki Błażejewskiej.

Przypuszczam, że to morderstwo wpłynęło na przyspieszenie decyzji moich byłych, niezwykle miłych opiekunów do opuszczenia dotychczasowego miejsca zamieszkania w Kostopolu, i przeniesienia się do Kiwerc, gdzie stary Błażejewski posiadał jakiś domek. Od tego czasu nie widziałem ich więcej.

Na opróżnione w ten sposób miejsce w domku w głębi podwórza przy ulicy Kopernika 55 w Kostopolu, o ile się nie mylę, wprowadzili się młodzi Dziekońscy: Edward i Antonina z domu Słowińska.

W ten sposób rodzice uzyskali dobre punkty oparcia w miasteczku, i jak się później przekonałem, zatrzymali się na dłużej właśnie w tym domku, kiedy zacząłem pędzić życie "Ostarbeitera" na robotach w Niemczech. Ale nie uprzedzajmy tymczasem chronologii wydarzeń.

-----  
Trzeba było jeszcze wrócić do rodzinnego gniazda, gdzie znajdowali się

rodzice i rodzeństwo, za wyjątkiem siostry Zofii, która, jak wspominałem, mieszkała już dłuższy czas w miasteczku przy ulicy Polnej 4 / zdaje się że taki był ten dokładny adres/. Częste wyjazdy ze wsi do miasteczka i z powrotem, jak dotychczas, odbywały się jeszcze bez przeszkód ze strony band ukraińskich, a nawet posterunku policji w Pieczakówce. Jechałem jednak z ojcem z duszą na ramieniu, w obawie przed spodziewanym napadem. Szczególnie obawiałem się odcinka leśnego, o długości około 7-8 km pomiędzy Kostopolem a Bołdynem, gdzie czarne czeluście i głębiny gęstego, starego boru mogły nastraszyć w tym niespokojnym okresie niejednego. Jak się później okazało, obawy te nie były bezpodstawne!

Jeszcze przed moim ostatecznym przeniesieniem się do miasteczka/ co nastąpiło wkrótce, po przewiezieniu najniezbędniejszych rzeczy do nowej kwatery/ został zamordowany w lesie, dochodzącym do zachodnich krańców futurów wsi Pieczakówki, nasz bliski kuzyn, Antoni Rudnicki. Został on zatrzymany przez posterunek policyjny w Pieczakówce, następnie odebrano mu wszelkie dokumenty, wyprowadzono do lasu i tam zastrzelono. Ciało zabitego pozostawiono na miejscu.

Jakimś cudem matka dowiedziała się o tym zabójstwie, i nie wiele myśląc, udała się tam sama, aby zbadać ten fakt na miejscu. Później zorganizowała pomoc u życzliwych ludzi, przetransportowała ciało na cmentarz, gdzie urządzono skromny pogrzeb.

W dalszej kolejności bandyci urządzili masakrę w zagrodzie Józefa Nowosza na Bołdynie. Zagroda ta położona była w odległości około pół km od traktu. Kursując kilkakrotnie pomiędzy Hipolitówką a Kostopolem, stale spoglądałem w tamtą stronę, za każdym razem przeżywając równie mocno to straszne wydarzenie, tym bardziej, że z dziećmi tego Nowosza chodziłem razem do szkoły powszechnej w Piłsudczyźnie!

Spokojna kilka lat temu droga, została teraz zatruta na tym odcinku, w świadomości przejezdnych, faktami nocnych mordów z za węgla i sąsiedzkich porachunków w ramach ruchu "samostijna Ukraina" dla Ukraińców.

W dwa miesiące później, droga ta stała się szlakiem ucieczek resztek ocalałych rozbitych grup Polaków z okolicznych osad, zaatakowanych przez banderowskich zbirów stacjonujących już długo wcześniej w wioskach ukraińskich, otaczających polskie wsie, osady i futory.

Wzdłuż tego traktu, usianego mogiłami i ciałami poległych Polaków, ~~na~~ ~~których~~ nacjonaliści ukraińscy i zwykle rzeźmieszki z pod znaku "tryzuba" urządzali polowania, ~~na~~ ~~których~~ ~~których~~ uciekających tym szlakiem przez piaski Bołdyna i las kostopolski do miasteczka, widząc jedynie tam swój ratunek i ocalenie od kuli i siekiery banderowców, mieszkańcy tych terenów ryzykowali życie, przewożąc do miasteczka resztki ocalałego od pożogi dobytku i żywności.

Każdy kilometr tej krwawej drogi usłany był ciałami poległych Polaków,

poczynając od kolonii Antonówki, Łysuchy, Zarzeżki, gdzie miejscowi banderowcy i ukraińscy oprawcy rozpoczęli swój taniec śmierci. Jeszcze na początku lat trzydziestych, tuż za Pieczałówką, na piaskowych wydmach miejscowa polska ludność ustawiła pamiątkowy krzyż, gdzie został zastrzelony przez ukraińskich bandytów mieszkaniec Hipolitówki - Adam Cybulski.

Jak już ~~XXX~~ pisałem w I części ogólnych wspomnień, w lesie kostopolskim zginął ojciec mego kolegi ze szkoły w Kostopolu - Romana Krzysztofiaka, który miał na imię Marian; a ilu tam zginęło innych, których nie znam, dążąc dniami i nocami ze spalonych i zniszczonych polskich osiedli i wiosek do miasteczka, tego chyba nikt nie zliczy!

A na końcu tego krwawego traktu, już w samym miasteczku, stały kilkusobowe, wspólne szubienice na skrzyżowaniu ulic, ubierane codziennie w nowe ciała skazanych na śmierć mieszkańców, najczęściej polskiej narodowości!

Któregoś dnia, było to chyba przy końcu lutego lub początkach marca 1943 roku, rodzice zdecydowali wreszcie o tym, że mam opuścić rodzinny dom i przenieść się do miasteczka na stały pobyt, do czasu, aż nastąpi możliwie znośny spokój, czy ucichną informacje o paleniu zagród i mordach w pobliżu naszej wioski. Wówczas nadejdzie może czas, że powrócę do rodzinnego gniazda.

Wyruszyłem do Kostopola piechotą przed wieczorem, a pamiętam, że pogoda była trochę śnieżna, wiatr przeganiał drobny śnieg smugami po polu, usypując wzdłuż zagonów garby małych zasp, ustawicznie zmieniających swoje położenie i kształty w zależności od podmuchów zimnego wichru wiejącego od strony zachodniej. Dość szybko zapadał zmierzch; ukraińska wieś Pieczałówka, widoczna od strony południowej przed pół godziną, obecnie została zasłonięta prószącym śniegiem i zapadającą szybko nocą. Przeszedłem dość szparkim krokiem przez kolonię Hipolitówkę, minąłem małą dolinę na której dnie błyszczała tafła zamrożonej wody, kierując się na południe traktem za stawem, kiedy nagle zmroziła mnie myśl, że przecież będę musiał przechodzić przez wieś ukraińską, w której działa posterunek policji, bardzo agresywny w stosunku do przechodzących tamtędy Polaków.

Postanowiłem zboczyć z traktu i ominąć Pieczałówkę. Skręciłem na boczną drogę, biegnącą tuż za stawem na prawo, w kierunku zachodnim, gdzie, jak pamiętałem, biegł dość wysoki w tym miejscu, nasyp nowej drogi, będącej w budowie. Droga ta ciągnęła się w pewnej odległości od ostatnich zabudowań Hipolitówki, za zagrodami Cybulskich i Fulikowskich.

Dotarłem do nasypu ~~na~~ kilka minut po przebrnięciu przez tereny wioski, rozparcelowanej i rozbudowanej z rzadka jeszcze w latach trzydziestych. Na prawo od ~~drożki~~, tuż pod małym olchowym laskiem przycupnęły dwie zagrody, ostatnie na skraju Hipolitówki, a dalej rozciągały się już futury Pieczałówki od strony zachodniej. Skręciłem nasypem na południe - wkrótce zamajaczyły przede mną po lewej stronie pierwsze zabudowania ukraińskiej wsi:

Wytężyłem wzrok. Nasyp był pusty, a od strony wsi nie zauważyłem żadnej żywej istoty, nawet psy nie szczekały. W odległości około stu metrów majaczyła wprost nędzna stodółka, a tuż obok, ~~daleko~~ <sup>jak by</sup> przyklepiony do niej równie biedny, przekrzywiony drewniany domek, z małymi okienkami i niskim wejściem, przegrodzonym u dołu belką wspartą na starych pniakach.

W pewnej odległości od pierwszej zagrody ciągnęły się już zwarte zabudowania wsi, po obu stronach gruntowej drogi wychodzącej w tym miejscu na nasyp po którym zdążyłem do Kostopola.

W tej chwili przypomniałem sobie, że gdzieś w tym miejscu został zamordowany mój kuzyn - Antek Rudnicki. Rozejrzałem się wokół. Na prawo od nasypu, od strony zachodniej majaczyła czarna ściana lasu kostopolskiego, ciągnącego się aż do lasów mokwińskich. Gruntowa dróżka, dochodząca ze wsi, przekraczała w tym miejscu nasyp i prowadziła w kierunku widocznego tam lasu. Napewno była to dróżka po której prowadzili ukraińscy mordercy Antoniego tam, do lasu w wiadomym celu!

Myśl o zemście nagle zapiekła mnie jak ukrop! A gdybym tak podszedł skrycie do którejś z chałup w tym zapadającym zmroku i ... przytknął gorącą zapałkę do niskiego słomianego okapu! ... Gorączkowa myśl, podniecona zapamiętanym pożarem widzianym podczas tych strasznych nocy, kiedy banderowcy rozprawiali się z zagrodami Polaków w Antonówce, Łysusze, Zarzecze, podsuwała wizję płonących zagród ukraińskich w leżącej przede mną w bliskiej odległości Pieczakówki!!!!??

W zapadającej ciemności podkradłem się cicho do pierwszej z brzegu chałupy... Psa nie było, cicho, jak makiem zasiał. Snieg prószył gęsto, mieniony wiatrem wzmagającym się z minuty na minutę... Było już zupełnie ciemno. Nikt mnie nie spostrzegł, kiedy ~~s~~ pod ocienionej drewnianej szopki rzuciłem spojrzeniem w głąb oświetlonej słabo izdebki...

Dwoje małych dzieci w ~~ścian~~ <sup>ścian</sup> porciętach siedziało na niskiej ławce przed ogniem na płycie, a jakaś kobiecina gotowała coś w garnku mieszając powoli drewnianą kopyścią... Nikogo więcej w chałupce nie zauważyłem.

Zimny powiew wiatru ~~w~~ ostudził rozpaloną głowę... Powoli, krok za krokiem cofnąłem się na nasyp, ruszając w dalszą drogę do miasteczka. Nie, to było ponad moje wyobrażenia i moje siły... Napewno nigdy na taki krok się nie odważę, to nie mieści się w moim jestestwie, ani ~~w~~ <sup>w</sup> ~~krwi~~ <sup>we krwi</sup>...!

-----

Późnym wieczorem dotarłem do celu. Kilka dni przebywałem u siostry przy ul. Polnej, wkrótce jednak, po spotkaniu z rodzicami, którzy odwiedzili w tym okresie moje dotychczasowe zakwaterowanie, przenieśliem się na dłuższy pobyt do Dziekońskich, przy ul. Kopernika. Tam spotkała mnie niespodzianka. W tym czasie, kiedy rodzice realizowali zamiar wysłania mnie do miasta, inni gospodarze z Hipolitówki czynili również intensywne przygotowania do zmiany miejsca zamieszkania. Przede wszystkim chodziło tu o natychmias-

ową ewakuację dzieci i młodzieży z zagrożonej napadem wsi do miasta, gdzie istniały jeszcze znośne warunki bytowania i przeżycia. W domku u Dziekońskich spotkałem Tomka Słowińskiego, którego starszy brat Tadeusz pozostał na miejscu w gospodarstwie wraz z mamą, pilnując i oporządzając resztki inwentarza. Ojciec ich, czyli mój wujek, był w tym okresie już w armii Andersa.

Oprócz niego przebywała tam młodziotka dziewczyna, ładna blondynka, Jadwiga März, pochodząca ze Starej Lubomirki, krewna Dziekońskich. W miejscowości tej mieszkali moi kuzyni - Rudniccy. Okoliczności, które zmusiły ją do przybycia do Kostopola były poprostu wstrząsające.

Ludność polska zamieszkująca wsie, kolonie, osady w powiatach kostopolskim, rówieńskim, sarnieńskim, ciągnących się wzdłuż dawnej granicy polsko-radzieckiej na Wołyniu, w poszukiwaniu najlepszych sposobów i metod obrony przed rozlewającym się terrorem ukraińskich nacjonalistów, zaczęła opuszczać niektóre małe osady i pojedyncze zagrody skupiając się w w większych zgrupowaniach wiejskich, i sporadycznie dojeżdżając do swych gospodarstw w celu wykonywania najpilniejszych prac domowych, wracając na noc do tych zgrupowań, gdzie czuła się względnie bezpiecznie. Inną formą, mniej szczęśliwą, było wymienianie członków rodzin pomiędzy spokrewnionymi rodami podczas nadchodzących nocy i urządzenie noclegów w pojedynczych zagrodach.

Sposób ten nie dawał żadnych gwarancji przeżycia jakiegoś napadu, nawet przeprowadzonego w małych rozmiarach.

Rodziny Rudnickich i Märzów mieszkali w pobliżu siebie. Märzowie, to prawdopodobnie dawna rodzina niemiecka zupełnie spolszczona przez stulecia, osiadła w byłej kolonii niemieckiej na terenach należących do dóbr księcia Huberta Lubomirskiego. Nie szczędził on wysiłków w celu podniesienia stanu ekonomicznego i przemysłowego tego leśnego terenu, zasiedlając go elementem niemieckim, znanym z dobrej gospodarności i kultury materialnej.

Kiedy banderowcy rozpoczęli swoje działania na terenie na południe od Kostopola, w okolicy Berestowca, Lubomirska, Kamiennej Góry, Maszczy, Starej Lubomirki, gdzie w większości wsie te były zamieszkane przez Polaków, - ludność sterroryzowana przez ukraińskich nacjonalistów z okolicznych ukraińskich wiosek, a szczególnie przez bandy z Hołowina, - zmuszona była porzucać rodzinne zagrody i uciekać częściowo do Kostopola, a także do Równego. Większość, która nie miała możliwości szukania ratunku w miastach, musiała pozostać na miejscu i radzić sobie sama we własnym zakresie, przenosząc się z zagrody do zagrody i urządzać wspólne noclegi u obcych.

-----

Krytycznej nocy, prawdopodobnie w pierwszej dekadzie marca 1943 roku, Jadwiga nocowała u mego wujka, Adolfa Rudnickiego, natomiast jego córka, Julianna, o której wspominałem poprzednio, jakgdyby wiedziona ślepym przeznaczeniem losu, udała się do zagrody rodziców Jadwigi na nocleg.

Efekty nocnej masakry przeprowadzonej przez banderowców w zagrodzie Mąrzów były straszliwe. Wszyscy zginęli zarąbani siekierami, łącznie z nocującą u nich moją kuzynką Julianną. O ile pamiętam ponieśli tam również śmierć bracia Jadwigi, jej rodzice i zdaje się dziadkowie.

Opowiadał mi niedawno Zygmunt Bielawski jeden szczegół z życia Julii, jeszcze z 1942 roku. W tym okresie Niemcy wyznaczali kontyngenty ludzi z terenów okupowanych, do wyjazdu na roboty do Niemiec. Było to zdaje się w okresie wiosennym, w czasie świąt wielkanocnych, kiedy Zygmunt zdążając na stację w Kostopolu, gdzie znajdował się punkt zborny wyjeżdżających do Niemiec, zatrzymał się na jakiś czas u ciótki, Żarczyńskiej Heleny. Tam właśnie przypadkowo spotkał przebywającą u niej Juliannę, która miała również nakaz wyjazdu do Niemiec. W ostatniej chwili zrezygnowała z wyjazdu, wycofując się ze stacji, skąd udała się pieszo do Starej Lubomirki do rodziców. Jeszcze w tym roku, było to chyba w lecie 1942 roku, widziałem ją, kiedy odwiedziła nas w naszej zagrodzie.

Miała przed sobą tylko niecały rok młodego życia, a zadecydowała w tym jedna fatalna decyzja ucieczki z transportu do Niemiec na roboty.

-----

Tymczasem przebywałem w dalszym ciągu u Dziekońskich razem z Tomkiem, Jadwigą, i jeszcze z jakąś małą dzierlatką, była to chyba córka Antoniny Żarczyńskiej z domu Rudnickiej o imieniu Danka, ale nie jestem tego pewien. Posiłki przygotowywała nam wszystkim gospodyni domu, czyli Dziekońska, a my pomagaliśmy we wszystkim, jak tylko umieliśmy.

Atmosfera w domu u Dziekońskich była ciepła, serdeczna nieomal rodzinna. Każdy z nas przeżył okropne wstrząsy psychiczne, drżał o zdrowie i życie swych najbliższych, szukał rodzinnego ciepła i spokoju, chciał doczekać się lepszych czasów, wrócić do rodzinnego gniazda jeżeli ono mogło jeszcze istnieć. W ciągu tych kilkunastu dni wspólnego życia poznaliśmy się lepiej, zaczęliśmy powoli zapominać o mordach, banderowcach, okropnościach okupacji.

Przyglądałem się z uwagą Jadzi, obserwowałem i poznawałem jej charakter, i z rosnącym zainteresowaniem stwierdzałem, że jest zgrabną i bardzo miłą dziewczyną. Odkrycie to, nieco mnie speszyło, ale wkrótce oswoiłem się z tym, tym bardziej, że byłem nieco starszy od niej, no i usiłowałem być bardzo pewny siebie w stosunku do tego łagodnego i miłego stworzenia.

Duże niebieskie oczy, wpadające w kolor czystego błękitu, długie włosy zaplecione w gruby warkocz, twarz lekko pociągła ze zgrabnym noskiem pośrodku, i zgrabnie wykrojonymi pod nim, małymi ustami o kolorze mocno podobnym do czerwonej róży, kryjącymi prześliczne równe rzędy ząbków - wszystko to zaczęło mnie w bardzo krótkim czasie mocno niepokoić! A jeszcze to codzienne obcowanie, rozmowy, wspólne posiłki przy jednym stole, przedłużające się patrzenie sobie w oczy, dłuższe pogawędki wieczorami przed zaśnięciem we wspólnej sypialni, urządzonej w dużym pokoju - wszystko to zaczęło w mojej

psychice drażyć jakieś coraz to mocniejsze ślady i skojarzenia. Miałem już wówczas osiemnaście lat, stanąłem więc na krawędzi chyba pierwszej miłości, czystej, idealnej i niczym jeszcze nieskażonej; uczucia wolnego od pierwiastka czysto cielesnego pożądania, namiętności.

Beztrioski, dziecięcy nastrój w nasze stosunki i atmosferę tego okresu, wprowadzał zawsze Tomek, posiadający specyficzny, spokojny charakter i swoisty humor, zabarwiony młodzieńczą ufnością i pozytywnym stosunkiem do zachodzących wówczas wydarzeń, tak charakterystycznych dla jego młodego wieku, / był on w tym czasie młodszy ode mnie chyba o trzy czy cztery lata/. Czas upływał, a my żyliśmy sobie jak na innej planecie: powoli przyzwyczajaliśmy się do normalnego snu, powracał mi apetyt, organizm wypoczęty zaczął normalnie funkcjonować, a duchowe potrzeby domagały się zaspokojenia. W wolnych chwilach szukać zacząłem książek i wieczorami, przy słabym świetle elektrycznym próbowałem czytać i wertować różne ilustrowane pisma, które w bogatym zestawie posiadali Dziekońscy.

Z dnia na dzień przyzwyczajając się zacząłem do myśli, że będę opiekunem Jadzi, osoby słabej, niezwykle ufnej i bezbronnej, tak straszliwie doświadczonej przez los na progu swego młodego życia. Byłem najstarszy w tej gromadce przygarniętej przez kuzynów, i odczuwałem nieprzemogłą konieczność duchowego przewodzenia i służenia swoim życiowym doświadczeniem tej, przypadkowo zetkniętej ze sobą grupce młodych ludzi.

Konieczność świadomej opieki nad młodszymi ode mnie osobami potęgowała jeszcze obecność w tym najbliższym mi otoczeniu, przypadającej do serca, piękniejącej w moich oczach, coraz to bardziej z każdym dniem dojrzewającej i zalotnej kobietki, powoli przyjmującej moją męską opiekę, co uważałem za zupełnie naturalne i niezbędne. Powoli zacząłem ulegać czarowi kobiecej urody, ale gdyby mnie wówczas kto posądził o tę uległość, oczywiście nigdy, za żadną cenę bym się do tego nie przyznał!

Nie chcąc przyznać się samemu sobie do rodzącego się uczucia, co w wieku osiemnastu lat było dla mnie zupełnie miłe i przyjemne, chociaż jako doznanie tego rodzaju nie bardzo znane, zacząłem w rozmowie z Jadzią przejawiać stosunek nieco przekorny, zabarwiony trochę sztuczną pewnością siebie, a trochę krytyczny. Obecność <sup>młodziutkiej kobietki</sup> sympatycznej, czasami zadumanej i smutnej, a chwilami ożywiającej się wesołością na skutek moich i Tomka zabiegów, nie szczędzących w rozmowie przeróżnych dowcipów i młodzieńczych żartów, działała na mnie mobilizująco, a jednocześnie podniecając moją wyobraźnię w sferze rozbudzających się uczuć, nazywanych przez starszych konkretnie rodzącą się miłością mężczyzny do kobiety.

To, że na świecie trwała wyniszczająca wojna, a banderowcy co nocy palili i mordowali wokoło Polaków, w tej nowej dla mnie sytuacji sprawy te mocno przybladły i zaczęły schodzić na zupełnie drugorzędne tory. Daleko ważniejsze znaczenie miały obecnie dla mnie zagadnienia ułożenia poprawnego sto-

sunku względem uroczego stworzenia o niebieskich pięknych oczkach i wspa-  
niałych, kasztanowego koloru długich zaplecionych w gruby warkocz włosach.

Blondynki zawsze działały na moją wyobraźnię, ale Jadzia była sumą tych  
moich wyobrażeń o tym idealnym wizerunku zewnętrznym, pomnożonym przez  
łagodne usposobienie i widoczne na jej twarzy cierpienie po strasznych  
wydarzeniach, które dotknęły jej osobę, co przydawało jeszcze więcej uroku  
jej twarzy, spojrzeniom, całej postaci, a także podkreślały jej kobiecość.

Miała najwyżej 16-17 lat, urodziła się i wychowała na wsi tak, jak i ja.  
Znaliśmy więc dobrze warunki życia wiejskiego, jego uroki, kłopoty, jego  
sprawy i potrzeby. Nagła zmiana warunków życia, spowodowana koniecznością  
przeniesienia się do miasteczka nieco ją onieśmielała, co z kolei stawiało  
mnie w lepszej sytuacji, ponieważ w związku z przebywaniem przez dłuższy  
okres w miasteczku w szkole, byłem już lepiej zapoznany z innymi warunkami  
życia w mieście. Starłem się to wykorzystywać jak mogłem, obcując z Jadzią  
pod jednym dachem, okazując jej moje doświadczenie i większą znajomość  
tych problemów, służąc radami, znajomością miasteczka i tp. Wkrótce stwier-  
dziłem, że i tak to na nic się nam nie przydało, ponieważ chodzenie i spacer  
po miasteczku były w tym czasie bardzo niebezpieczne, o czym bardzo rychło  
miałem możność się przekonać na własnej skórze. Ale o tym potem!

-----

Z perspektywy minionych lat to moje młodzieńcze zadurzenie się, /a może  
nazwiemy to uczuciem albo pierwszą miłością - jak kto sobie chce! / -  
patrzac z pozycji starszego już wygi, który wiele już doświadczył i przeżył,  
było może śmieszne, niepoważne, chwilowe, zaliczyć by można do młodzieńczych  
ciagotek, pragnień miłości, drugiego ciepłego serca czy odwzajemnienia.  
Grały tu także chyba niepoślednią rolę względy ambicjonalne i miłość włas-  
na. Wiedziałem o sobie, że byłem bardzo wrażliwy na demonstracyjnie uwidacz-  
niane brak uczuć ze strony dziewcząt. Wolałem więc nie odkrywać przedwcześ-  
nie swoich względów i bliższego stosunku do upatrzonej po dłuższej obser-  
wacji dziewczyny, aby następnie nie być wyśmianym przez zazdrosnych kole-  
gów czy koleżanki.

W tym wypadku, w stosunku do Jadzi postanowiłem nie kryć się dłużej ze  
swoim, narastającym z dnia na dzień, uczuciem, i jedynie fatalny splot szybko  
następujących po sobie ponurych wydarzeń całkowicie przekreślił kiełkują-  
cy i krystalizujący się w moim umyśle poważny zamiar w stosunku do jej  
osoby. W tym okresie nie obchodziły mnie zupełnie warunki w jakich dane mi  
było żyć i przebywać. Zbliżała się ~~całkowita~~ zagłada mojej rodzinnej wsi,  
Hipolitówki, Lipnik, Janowej Doliny i setek innych mniejszych i większych  
polskich skupisk, a ja myślałem tylko /dnia dzisiejszym /, i dobrze mi z tym  
było, aż do chwili strasznego i niespodziewanego obudzenia się z tego postę-  
pującego wciąż i trwającego od dłuższego czasu letargu psychicznego.



Nie dawałem za wygraną ludząc się, że warunki w jakich się znajdowałem wkrótce zmienią się na lepsze, a wszystko ułoży się zgodnie z moimi pragnieniami i tajemnymi myślami obracającymi się coraz bardziej intensywnie wokół osoby Jadzi.

A ona tymczasem, cicha i milcząca, krzątając się w kuchni czy sprząając pokoiki kierowała w moją stronę swe chabrowe oczy uśmiechając się z lekka opuszczając natychmiast powieki, kiedy nasze spojrzenia spotykały się jednocześnie. W takich chwilach czułem się nieco zakłopotany, intuicyjnie odgadując, że pragnie abym pierwszy odezwał się jakimś miłym słowem lub gestem zaprawionym nutką wesołości. Przeważnie nie dałem długo czekać na jej wzrokowe wezwanie, odczuwając natychmiastowe pragnienie usłyszenia miłego dziewczęcego głosu o treści, którą właśnie chciałem się dowiedzieć. A wiedzieć o jej życiu, podświadomie, zacząłem ~~EXTRA~~ pragnąć coraz więcej i więcej; dotychczas nie wiedziałem przecież o niej zupełnie nic - zjawiała się w moim życiu niespodzianie, i było zupełnie naturalne to, że zaczęła mnie wreszcie palić niezwalczona ciekawość o wszystko, co dotyczyło jej osoby i jej młodego życia. Chciałem w jak najkrótszym czasie posiadać tajemnicę jej istnienia, a co dziwniejsze, zacząłem w sobie powoli odkrywać niepokojący pierwiastek męskiej zazdrości o wszystko, co nie było mi jeszcze znane, a dotyczyło jej poprzedniego życia i osoby.

Obiecowałem sobie, że przebywając dłużej pod jednym dachem dojdzie między nami do intymnych zwierzeń, wymiany zdjęć, czy zapewnień o trwałości rodzącego się uczucia, ba... a może nawet do wymiany gorących pocałunków.., bo przecież tak chyba powinno być między wkraczającym w wiek męski mężczyzną, a młodą dziewczyną, której, jak sądziłem, nie byłem pewnie obojętnym?!

Jednakże wydarzenia, na które nie mieliśmy w tym czasie żadnego wpływu, były szybsze, bardziej realne i brutalne, niż to mogliśmy sobie nawet wyobrazić! Moja gorąca krew i impulsywny umysł doznały w tym czasie druzgocącej kląski, a zasiana w mojej duszy pierwsza miłość, jej delikatne pędy i mające wydać później cudowne owoce - kwiaty i zapachy - zostały nagle ~~z~~ bezlitośnie zdeptane przez straszne wydarzenia i fakty, które wkrótce nastąpiły!

Niespodziewanie dla mnie, zjawili się w domku Dziekońskich, gdzie przebywałem wraz z Tomkiem i Jadzią oraz innymi dziećmi, moi rodzice wraz z pozostałymi siostrami: Antoniną i Eugenią, natomiast brat Mieczysław pozostał jeszcze na wsi w Hipolitówce, razem z innymi starszymi mężczyznami i kobietami, którzy do ostatka pilnowali zagród i resztek inwentarza.

Byłem niezwykle uszczęśliwiony z ich przybycia i oglądania przy życiu i dobrym zdrowiu. Przywieźli ze sobą dużo różnych domowych rzeczy, pościeli, pierzyn, poduszek, jakichś ubrań, żywności, zapasów tłuszczu, maki, i w dodatku dwa małe pieski: Pudzika i Bobika. Byłem teraz w siódmym niebie!

Sądziłem, że dopiero teraz rozpocznie się normalne, spokojne życie razem z rodzicami i rodzeństwem w miasteczku, nie narażonym na żadne napady banderowców, czy ukraińskich rabusiów. Rozkwitająca miłość w obecności rodziców i rodzeństwa, wydawała mi się obecnie zupełnie naturalna, a osoba **Jadzi** bardziej jeszcze swojska i droga, niż to w ogóle mogłem przypuszczać.

Oczarowany normalizującą się atmosferą w domku przy ulicy Kopernika, obecnością kochających rodziców i sióstr, przestałem zajmować się myślami o groźnej sytuacji w jakiej znajdowaliśmy się, poprzestając jedynie na syceniu się spokojem i bliskim szczęściem, który mnie otaczał od krótkiego okresu. Odurzony tym wszystkim, byłem jak nieprzytomny; byłem już pewien, że będę zaczynał nowe życie, w zupełnie odmienionych warunkach w miasteczku, razem z całą rodziną.

-----

Rankiem, 24 marca 1943 roku, gdzieś około godziny 10-ej / nie pamiętam już nawet dokładnie / zjawił się nagle, strasznie zmęczony i wybrudzony ziemią, sadzami i potem, zmieszany ze słomą, bez czapki - brat Mieczysław, który uprzednio pozostał we wsi, razem z innymi, tworzącymi tam mały oddziałek osłonowy, broniący zagród i pozostałej tam ludności. Zdyszczanym głosem oznajmił nam wszystkim, że Hipolitówka została napadnięta przez banderowców, a większość zagród poszła z dymem. Są wśród mieszkańców wsi ofiary śmiertelne, ale jeszcze nie wie dokładnie kto ocalał, a kto zginął na miejscu zabity przez atakujących w nocy banderowców.

Wyszedłem na podwórze - wiadomość ta uderzyła we mnie jak grom z jasnego nieba! Na środku podwórza zauważyłem jakąś furmankę zaprzęzoną w dwa konie: obok stał Edek Lisiecki, który w tym momencie podszedł do mnie ze słowami: "Stefan, już nie ma Hipolitówki! Dzisiaj w nocy została spalona przez banderowców, a Hela została zabita w rowie melioracyjnym"!

"Hela zabita w rowie melioracyjnym, - ???" - przeciągnąłem głośno to zdanie, nie rozumiejąc jeszcze co Edek do mnie powiedział, -... Jak to zabita?!... powtórzyłem jeszcze raz pytanie zamierającym głosem patrząc na jego okropnie zmizerowaną, brudną i nie goloną chyba od tygodnia brodą i przekrwioną z niewyspania i straszliwego zmęczenia oczy. W jednej sekundzie, patrząc na jego zmizerowaną i zrozpaczoną postać zrozumiałem nagle wszystko! A więc jednak banderowcy nie oszczędzili mej rodzinnej wioski! Przeszedł wreszcie krąg mojemu rodzinnemu miejscu, mojej wsi, wsi w której spędziłem dzieciństwo, młodość - w naszej Musiółce.

Stałem bezradnie obok furmanki, patrzyłem tępo na przedmioty ułożone bezładnie na wierzchu, prowadziłem wzrokiem po zapoconych i cuchnących potem koniach; sterczącą słomę z wozu, resztki siana skubały one poprzez drabinki rżąc i prychając z cicha, jakgdyby zadowolone ze spokoju i ciszy, jaka panowała na podwórzu. Marian pojawił się niespodzianie tuż koło koni: obok stanął jego kolega, mieszkający razem u cioci Heleny - "Popatrz, moją

rodzinną wieś spalili Ukraińcy, to sukinyzny!!!"- Ostatnie słowo w jego ustach zasyczało nagle straszliwą nienawiścią, a syk nagle zgasł, jak papieros ciśnięty w wodę... odwrócił głowę od furmanki...

Odczułem nagły, niespodziewany ciężar, jakby ciężki głaz położono mi na piersi... W uszach zaszumiło, a w oczach z nagłą pociemniało... oparłem się o drabinki wozu. Nogi stały się dziwnie słabe i wiotkie, jak słoma.

-----

Skromny inwentarz, który rodzice zdążyli przed masakrą mieszkańców rodzinnej wioski przewieźć do Kostopola domagał się gwałtownie karmy. Trzeba było w tych strasznych warunkach myśleć nie tylko o sobie, ale również o krowie-karmicielce, kurach, świniakach, które natarczywie i głośno zaczęły żądać pożywienia. Chcąc utrzymać przy życiu zwierzęta należało niezwłocznie wyruszyć na wieś.

Kilka dni po spaleniu wioski przygotowaliśmy z ojcem i bratem wóz, zaprzęgnęliśmy konie i rankiem wyruszyliśmy w drogę. Trzeba było pokonać odległość około 14 km gruntowej drogi, której połowa wiodła przez las kostopolski w kierunku do Pieczakówki. Na drodze tej grasowali bandyci rekrutujący się z miejscowych Ukraińców. Musieliśmy jednakże ryzykować.

W miasteczku roiło się od żandarmerii niemieckiej, ukraińskich policjantów, oddziałów tyłowych Wehrmachtu. Część z nich obsadzała rowy, okopy umocnione kłodami sosen, drewniane bunkry usytuowane na załamaniach rowów, ulic, placach. Na podwórkach gnieździło się wiele grup Polaków ze spalonych polskich wsi i osiedli. Stały tam wyprzęgnięte konie zwrócone pyskami do wypełnionych po brzegi słomą, sianem i workami furmanek zabłoconych po same osie. Wokół nich kręcili się brudni, zarosnięci mężczyźni, kobiety ciepło ubrane, dzieci w rodzicielskich kurtkach i starych, dużych ponad miarę buciorach.

Wszystko to koczowało na podwórkach, i w pustych po wypędzonych i rozstrzelanych Żydach, tworzących nie tak dawno jeszcze elitę mieszkańców Kostopola - żydowskich domach i ruderach. Czasami podchodzili do tych nieszczęśników niemieccy żandarmi, zaglądając do wozów, grzebiąc we workach, nagabując zastraszonych uciekinierów swoim gardłowym językiem szukając widocznie szpeku, masła, jajek i kur / a może także broni i amunicji?/.

Wjechaliśmy bez przeszkód na leśną drogę w kierunku na północ od miasteczka. Mijając skrzyżowanie przed groblą, przywitała nas długa szubienica, wsparta na czterech grubych sosnowych balach, obwieszona wrogami hitlerowskiego nowego porządku, z zawieszonymi na piersiach tabliczkami głoszącymi, że zasłużoną karę ponieśli za zdradę faszystowskich Niemiec.

W lesie nie spotkaliśmy nikogo. W Bołdynie <sup>142</sup> był nieczynny, a dawny dom mego stryja, Zygmunta Kurjaty i Kozłowskich - pusty, jak również cała zagroda i gospodarskie obejście. Widocznie strach przepędził stamtąd dotychczasowych mieszkańców do miasteczka. Za rzeczką zagroda i domek, w któ-

rym, jak mi było wiadomo, mieszkała rodzina Wiedzielskich, spokrewniona z Nowoszami i ze stryjem/żona Wiedzielskiego i żona stryja były siostrami, - zupełnie spalone, jak również zagroda Józefa Nowosza, gdzie wcześniej została wymordowana jego rodzina oraz dzieci: córka Wanda, bardzo ładna i zgrabna dziewczyna, w wieku około 16 lat i jej trochę starszy brat - Antoni.

Po przebyciu około dwu kilometrowego odcinka bardzo piaszczystej drogi dotarliśmy do Pieczakówki. Skóra mi cierpła na myśl, że przy posterunku policaje nas zatrzymają i zaczną swoje bandyckie czynności po swojemu!

Nic takiego jednakże się nie stało. Przejechaliśmy w przyspieszonym tempie wieś, a wóz huczał po brukowanym odcinku drogi w środku wsi, aż dojechaliśmy do błotnistego traktu wiodącego przez pustą i jak gdyby zupełnie wymarłą Piłsudczyznę, skąd już widać było z daleka wysoką topolę rosnącą przed domkiem Pulikowskich, w pobliżu stawu. Z drżeniem serca oczekiwałem ponownego spotkania z rodzinną wsią, przez którą przeszła niszcząca wszystko przed sobą wataha banderowców. Opuszczałem wieś kiedy była jeszcze cała, z zagrodami pełnymi ludzi i resztkami inwentarza.

W ten smutny, pochmurny dzień marcowy 1943 roku zobaczyłem spalone chaty, obory, stodoły swej rodzinnej wioski jadąc z ojcem i bratem furmanką błotnistym traktem rozdzielającym rozparcelowaną wieś na dwie połowy.

Oto budynek Szkoły Powszechnej stanowiący jedno wielkie rumowisko, a naprzeciwko dom wujka Słowińskiego - piękny blaszany dach, skreślony wokół ocalałego wysokiego komina, stopiona blacha wygięła się w potworne kłębowisko i nakryła wypalone wnętrze, niby jakiś straszliwy polip siedzący okrakiem na swojej ofierze. Dalej za szkołą widoczna jakaś kupka zgliszcz: to zagroda Kazimierza Lisieckiego, za nią, bliżej lasu Zapustu czernią się zgliszcz gospodarstwa kowala - Antoniego Kurjaty; naprzeciw po drugiej stronie zagroda Mieczysława Łukomskiego przedstawia się jak jakiś szeroki spopieliały pagórek wznoszący się tuż przy głębokim wykopie rowu melioracyjnego. Bliżej traktu głównego, prowadzącego do Antonówki widać spaloną stodołę wujka Lisieckiego Aleksandra, reszta budynków dziwnym trafem ocalała. Dalej w lewo od traktu, bardziej w polu widnieją opustoszałe zabudowania Wincentego Kurjaty, obok po sąsiedzku leżą czarne, wypalone głównie nowej stodoły Adolfa Kurjaty, spalonej przypadkowo, w czasie pobytu dwóch prowokatorów ukraińskich we wsi, tuż przed ogólnym spaleniem.

Jedną z gruntowej drogi prowadzącej w kierunku Mokwina sterczą kominy kilku spalonych domów: Słowińskiego Apolinarego, Kopiaja Wacława, Stanisława Cybulskiego i inne.

W pobliżu Zapustu większość zagród spłonęła: Wacława Pulikowskiego, Antoniego Kurjaty, Józefa Sobieskiego, Hipolita Kurjaty, a dalej za łaskiem Hebdy i naszym sadem zgliszcz zagrody Franciszka Ruta. Nasza zagroda stoi nieruszona. Pełno śladów odchodów krowich na zamkniętym podwórzu, rozrzu-

cona słoma i siano, które ktoś powyrzucał ze stodoły. Widocznie trzymano tu przez kilka dni jakieś stado bydła. Poza tym wszędzie zupełna pustka i śmiertelna cisza. Drzwi od domu zamknięte, ale dały się łatwo otworzyć, ponieważ były zawarte tylko na klamkę.

Przebiegłem szybko wszystkie pomieszczenia domu - część starych mebli i wyposażenie kuchenne pozostawione przez rodziców stoi w bezładzie na podłodze, nie widać jednakże śladów plądrowania. Zawracam z powrotem do stodoły, skąd słyszę głos ojca: mamy brać stamtąd i ładować na wóz słomę, siano i trochę plew do dużego siennika. Wskoczyłem do sąsiedka i zacząłem wywalać słomę na klepisko. Razem ze słomą posypała się marchew, jakieś stare kartofle kilka główek kapusty, stare ubranie i jeszcze coś z odzieży!!! Co u licha! Skąd to się wzięło tutaj w stodole, przecież nikt z nas tego tu nie schował? Zmroziła mnie nagle myśl, że ktoś tu napewno jest albo nocuje w naszej stodole, i tu właśnie zmagazynował swoje zapasy żywności i odzieży!?

Brat Mieczysław z pośpiechem wyskoczył za wrota stodoły od strony lasu; przez szparę zdążyłem zauważyć jakieś dwie unykające postacie w kachmanach kierujące się wprost do lasu! Kto to mógł być?

Jeżeli ci ludzie uciekli, to nie mogą być nam niebezpieczni. Ustaliśmy, że byli to napewno Żydzi, którzy uciekli z getta i wążają się po opuszczonych zagrodach, szukając tam schronienia. Mieliśmy bardzo dużo jeszcze pracy i nie zawracaliśmy sobie więcej głowy Żydami.

Przy szczytowej ścianie domu były zadołowane drzewka owocowe, które razem z ojcem przywieźliśmy z Szubkowa nad Horyniem ubiegłej jesieni, i trzeba było je w szybkim tempie posadzić, aby przed wieczorem zdążyć z powrotem do Kostopola.

Ojciec wyznaczył pole od południowej strony zagrody. Było tam około półtora hektara powierzchni bielcowatej gleby, użyźnionej trochę przyorywanym w ubiegłych latach łubinem. Zabraliśmy się energicznie do sadzenia. Ojciec wyznaczał równe rzędy i roznosił sadzonki, a ja z Mieczysławem machaliśmy szpadlami kopiąc dołki, zasypując i udeptując następnie nogami wokół zasypanych korzeni. Jeszcze nigdy nie pracowaliśmy tak szybko; pot spływał z nas strumieniami, ręce i nogi mdlały z wysiłku, ale nie przerywaliśmy ani na chwilę. Było tego przecież około 150 sztuk drzewek, i przy każdym operacja zakopywania, deptania musiała być stale powtarzana. Pracowaliśmy tak wspólnie przez kilka godzin jak automaty, aż wreszcie przed wieczorem wszystko było zrobione. Wyglądało to imponująco! Puste przed kilkoma godzinami pole zamieniliśmy na młody sad. Nie zastanawialiśmy się w tym czasie nad tym, czy w ogóle drzewka się przyjmą, i komu miały by później służyć, - chodziło nam jedynie wtedy o to, aby drzewka nie zmarniały w naszych oczach, i że wykonaliśmy z drzewkami to, co do nas należało zrobić.

Pracując do miasteczka jeszcze długo odwracałem głowę w stronę naszej

zagrody, naszego domu bielonego białym wapnem, starego sadu wznoszącego swoje korony szeroko rozgałęzionych drzew na tle **ciemnej** ściany lasu, południowego skrawka pola, zamienionego w nowy sad, - i nie mogłem się wyzwolić od myśli, że oglądam ten drogi mi widok po raz ostatni w życiu, i że nigdy więcej już tu nie wrócę, do tego miejsca, gdzie się urodziłem, wychowałem, i gdzie zostawiłem część mojej duszy.

Ojciec poganiał konie, a ja z bratem ponownie zaczęliśmy oglądać zniszczoną wieś, wymieniając między sobą uwagi, szacując stopień zniszczeń poszczególnych zagród. Żałowałem najbardziej spalony ~~dom~~ wujka Słowińskiego; wzniesiony z wielkim trudem nowy dom tuż w pobliżu traktu, pysznił się długi czas jaśnym dachem z cynkowej blachy, bielą tynkowanych zewnętrznych ścian, oszklonymi bokami ganku, szerokimi weneckimi oknami. A teraz to wszystko przedstawiało jedynie kupę gruzów nakrytych czapą stopionej blachy, ze sterzącym kominem pośrodku tego okropnego zwaliska.

Obok domu zamienionego w kupę gruzów sterzczały w górę osmalone kikuty drzew, ze rdzawego koloru wierzchołkami i młodymi pędami ubiegłorocznych gałązek, wysuszone i popalone przez płomień palącego się domu. Widać było jeszcze ślady rozrzuconej słomy, którą podpalacze używali do wzniesienia ognia z wewnątrz i zewnątrz: ślady te prowadziły ~~na~~ podwórze gospodarskie.

Nad stawkiem, w pobliżu ~~spalonego~~ domku Łukomskich, obok pamiątkowego krzyża na podmurówce kamiennej, dopiero teraz, wracając do miasteczka zauważyłem nagle wspólną mogiłę pomordowanych mieszkańców Hipolitówki: dość obszernych rozmiarów kopiec, świeżo usypany, równo uklepany z boków, z małym drewnianym krzyżem na wierzchołku żółcił się w zapadającej ciemności. Napisu nie zdołałem już odszyfrować. Widocznie pozostali przy życiu, po spaleniu wioski zdążyli jeszcze **zwieźć** ciała i pogrzebać we wspólnym dole, tuż przy pamiątkowym krzyżu dziesięciolecia odzyskania niepodległości Polski.

Ten drugi, w pośpiechu wykonany krzyż, i ta wspólna mogiła, obok ustawione, tuż przy drodze nad stawkiem ~~były~~ <sup>były</sup> przejmującym świadectwem tego, co tu się działo: świętowania narodzin niepodległości Polski przez mieszkańców tej wsi, i straszliwego końca tejże idei i jej mieszkańców!

Po **szczęśliwym** powrocie do miasteczka uderzyła nas jak piorun, niobowa wieść o spaleniu Lipnik i wymordowaniu części mieszkańców tej wsi. Pierwsi uciekinierzy zjawili się już następnego rana w miasteczku. Powtórzyła się historia mordów, mająca miejsce w mojej rodzinnej Hipolitówce. Napad banderowców na Lipniki miał miejsce w nocy z 25 ~~na~~ <sup>25</sup> marca 1943 roku. Lipniki były kilkakrotnie liczniejsze i większe od Hipolitówki, dlatego też ofiar mordów było **więcej**/jak to zdołałem obecnie ustalić, ponad 20 razy więcej!!!/. Krwawą łunę, jak to opowiadali później naoczni świadkowie widać było w promieniu ponad 40 km /Kostopol był odległy od Lipnik o ponad 22 km, Sarny - blisko 38 km, Ludwipol - 25 km, Równe - ok. 45 km w linii prostej od tej wsi.

Równocześnie, jak doszły nas wieści, została spalona i wymordowana górnicza osada - Janowa Dolina. Masy uciekinierów zalały ulice Kostopola, dworzec kolejowy, perony Koszarki /przystanku kolejowego w pobliżu tartaku/ oraz podwórza domów. Z opowiadań uciekinierów dowiedziałem się później, że mieszkańcy Janowej Doliny po jej spaleniu, musieli poprostu stoczyć walkę o szynę kolejową. W nocy, wiele kilometrów toru kolejowego wiodącego do Kostopola rozbierali banderowcy i spędzana przez nich pod przymusem ludność ukraińska, a w dzień, transporty kolejowe, wiozące uciekinierów i ich zdekompletowane i rozbite napadem rodziny, musiały przystawać przed rozebranymi odcinkami, a mężczyźni, kobiety, a nawet starsze dzieci, pod kierunkiem osłonowych oddziałów Wehrmachtu i ochrony kolei - brały się do składania i montowania torów. Odcinek liczący około 18 km, który normalnie można było przebyć pociągiem w ciągu godziny, wówczas na to trzeba było poświęcić kilka dni, koczując w wagonach, przy stałym zagrożeniu atakujących grup banderowskich.

W Janowej Dolinie zginęło w czasie starć ludności polskiej z banderowcami ponad dwa tysiące Polaków różnego wieku i płci. Oddziały banderowców, które odważyły się przy okazji atakować umocnione pozycje niemieckiej załogi stacjonującej w Janowej Dolinie, zostały srodze przetrzebione, szczególnie przed stanowiskami ciężkich karabinów maszynowych, ryglujących podejścia do umocnionego kwadratu, którego ośrodkiem było kasyno, kinoteatr, szkoła i zarząd kamieniołomów. Utrzymały się one niezdobyte przez cały okres trwania masakry ludności/około dwóch dni/. Część mieszkańców i zdesperowanych mężczyzn, przebiła się przez pierścieni atakujących banderowców, udając w kierunku na zachód poprzez Derażne. Tam zaatakowali oni zniemacka oddział skoszarowanych banderowców zdobywając przy okazji trochę broni palnej, a następnie w odwecie za masakrę w Janowej Dolinie - rozstrzelali wziętych banderowców, a część miasteczka spalili. Prawdopodobnie większość tych zdesperowanych i zdecydowanych na wszystko, przebijających się na zachód grup, zdołała dotrzeć do obozu w Przebrażu, a część do Kiwerc i Łucka.

Młodzi chłopcy, pałający zemstą za morderstwa swych najbliższych w Janowej Dolinie zasilili szeregi oddziałów, organizowanych w tym okresie przez Niemców do walki z UPA, banderowcami i partyzantami rosyjskimi, dezorganizującymi transport i komunikację na głównych szlakach drogowych i kolejowych prowadzących z Włodzimierza, Kowla poprzez Łuck i Równe na wschodni odcinek frontu, który w tym czasie nieustannie zbliżał się do wschodniego i środkowego Wołynia.

Do naszej grupki uciekinierów z Hipolitówki dołączyła wkrótce matka Tomka Słowińskiego, a także wraz z nią przybył Romek Krzysztofiak z ojcem. Zamieszkali razem z nami w domku Dziekońskich. Było już dosyć ciasno, ale nikt nie narzekał na gwałtownie pogarszające się warunki mieszkaniowe.

Ojciec Romka posiadał konia z wozem, którym kilkakrotnie udawał się wraz z wujenką Słowińską do swoich opuszczonych zagród po karmę dla zwierząt i siebie, a także potrzebne ubranie i inne drobiazgi. W jednej z takich wypraw do domów, wracając już do Kostopola zostali napadnięci przed wieczorem przez grupkę banderowców, którzy uprowadzili do lasu ojca Romka, Mariana Krzysztofiaka i tam go zamordowali wystrzałami z karabinów. Wujenka Słowińska zdołała jakoś szczęśliwie ująć z życiem. Famiętam, że po powrocie była okropnie roztrzęsiona i blada, zanosząc się płaczem.

Wkrótce dotarły do nas równie ponure i wstrząsające wieści z Tynnego, gdzie pozostała na gospodarstwie przy spalonym młynie, moja stryjenka, Stanisława Kurjatowa z domu Słowińska, żona Stanisława Kurjaty. Nie chciała ona za nic opuścić swojej zagrody, gdzie przeżyła prawie **czterdzieści** lat. Będąc na zjeździe rodzinnym wiosną 1984 roku / była to chyba Wielkanoc/, w Drzonkowie pod Zieloną Górą, rozmawiałem dłuższy czas z moją siostrą stryjeczną, Izabelą Cybulską, z domu Kurjatówną / córką Zygmunta Kurjaty, zamieszkałą obecnie w Łodzi / właśnie na temat okropnej śmierci naszej wspólnej stryjenki, i od niej usłyszałem bardziej szczegółowe informacje dotyczące męczeńskiej śmierci starej, chyba już ponad 65-letniej kobiety.

Zagroda stryjostwa, zagubiona w gęstym sosnowym borze w pobliżu ukraińskiej wioski Tynne, rozciągającej się na lewym brzegu Słuczy, usytuowana była tuż obok motorowego młyna. Dom był nowy, drewniany z przestronnymi pokojami, kuchnią, pomieszczeniami gospodarczymi i strychem.

Po pożarze młyna w ostatnim roku przed napaścią Niemiec hitlerowskich na Polskę, ocalałe resztki urządzeń i sam silnik zostały przewiezione do nowej siedziby stryja Zygmunta Kurjaty, do Niemowicz. Obaj stryjowie: Zygmunt i Stanisław skupili swe środki materialne i siły a także niesłychanie żywą pomysłowość w celu rekonstrukcji nowego młyna w nowej siedzibie, a także budowy tam domu mieszkalnego. Według pierwotnych planów, w Niemowiczach miały osiąść obie rodziny stryjów we wspólnej gospodarce, ponieważ lata biegly i nie stać było najstarszego ze stryjów, Stanisława ~~od~~ ~~z~~ ~~zaczynania~~ budowy zagrody i młyna od podstaw. Był już zbyt sterany życiem, walką o byt i trudami związanymi z prowadzeniem młyna we własnym zakresie.

Jednakże natrafił w tym momencie na niespodziewany opór własnej żony. Oświadczyła mu, że nie opuści starej zagrody i nowego domu, który wspólnie wybudowali, a także nie opuści dobrego sąsiedztwa i miejsca w którym przeżyła szczęśliwie kilkadziesiąt lat. Nie odstraszyły ją nawet rozpoczynające się napady i rabunki miejscowych ukraińskich opryszków w 1942 roku - których kilka przeżyła przebywając samotnie w leśnej zagrodzie.

Nie pomogły żadne namowy i przestrogi obu moich stryjów, a także córki i zięcia. Zacięła się w dziwnym uporze, i to ją zgubiło. Najmądra wiara we własną uczciwość i dobre stosunki z miejscowymi Ukraińcami, z którymi



przeżyła tam na miejscu w Tynnem kilkadziesiąt lat w zgodzie i spokoju, utwierdziła ją w tym na dobre.

Pewnego zimowego wieczora została ostrzeżona przez którąś z miejscowych zaprzyjaźnionych Ukrainek, o planowanym następnej nocy napadzie na dom. Stryjenka poczyniła natychmiast pewne przygotowania; poukrywała co cenniejsze przedmioty, rodzinne dokumenty, trochę żywności i osobistej odzieży. Na strychu domu urządziła zamaskowaną kryjówkę, gdzie zamierzała przecze-kać napad, a w ostateczności postanowiła nawet bronić się.

W Tynnem, jak już wspominałem, za czasów polskich w końcu lat trzydziestych, stacjonowała wojskowa jednostka budowlana, jej miejscowe dowództwo złożone z żołnierzy i oficerów oraz baza materiałowa, połączona wąskotorówką ze stacją kolei normalnotorowej w Niemowiczach, a także ze Sarnami.

Po wybuchu wojny w 1939 roku, baza została zlikwidowana, roboty fortyfikacyjne wstrzymane, a oficerowie wraz z żołnierzami i robotnikami zatrudnionymi na budowach, zostali albo wzięci do niewoli przez oddziały sowieckie, albo po rozwiązaniu budowy, wycofali się na zachód z niektórymi jednostkami armii polskiej, przebijając się wraz z armią generała Franciszka Kleeberga za rzekę Bug w kierunku Włodawy. Część broni została zabrana przez żołnierzy, a część zakopana w ziemi, z myślą o dalszym prowadzeniu walk obronnych kiedy nadejdzie odpowiednia chwila.

W domu stryjostwa jakimś cudem przechowała się oficerska szabla wraz z pochwą i wiązaniem, używana przez jakiegoś kawalerzystę. Szablę stryjenka ukryła w jakimś schowku, i tak przeleżała ona kilka lat razem z innymi rzeczami i rodzowymi dokumentami zabezpieczonymi przed wilgocią i zniszczeniem.

Stryjenka, uprzedzona o mającym nastąpić napadzie, narazie postanowiła pozostawać w domu tak długo, ile się tylko dało, a dopiero w krytycznym momencie miała zamiar ukryć się w przygotowanej uprzednio kryjówce, gdzie na wszelki wypadek przeniosła również ową oficerską szablę.

W zagrodzie przebywała zupełnie sama. Hodowała tam trochę kur, miała mały zapas ziarna na karmę dla nich, trochę mąki i zapas tłuszczu. Mogła więc przeżyć najgorszy okres okupacji, gdyby nie nagły napad banderowców, który nastąpił nieco później, niż to się wcześniej spodziewała. Uspiko to jej czujność, kiedy pewnej zimowej nocy zagroda została otoczona przez bandytów

Kiedy się obudziła ze snu, napastnicy zdążyli już wyłamać pierwsze drzwi wiodące do sieni domu, skąd prowadziły schody na strych do przygotowanej kryjówki. Zdążyła jedynie narzucić na siebie jakąś spódnicę, i wyrwijąc się z łap bandziorów, cudem udało się jej wskoczyć po schodach na strych i zawrzeć ciężkie drzwi odgradzające poddasze od sieni; dopadła oficerskiej szabli postanawiając drogo sprzedać swoje życie.

Wiadomość o śmierci stryjenki-samotnicy, dotarła do moich stryjów dość

późno. Znalaziono ją na strychu ~~skłuta~~ widłami, z rozbitą kolbami głową, dzierżącą w ręku ową sławetną oficerską szablę, którą zapewne z niejednego napastnika utoczyła obficie krew. Pomieszczenia wokół kryjówki na strychu były całkowicie zbryzgane krwią, zakrzepłą na podłodze, krokwiach i drzwiach wiodących ~~wadół~~ do sieni ze strychu.

Ciało stryjenki zostało następnie przewiezione przez stryjów na cmentarz do Sarn i tam pochowane, pomiędzy innymi ofiarami banderowskich mordów

-----

Po rzezi w Janowej Dolinie oraz okolicznych polskich wsiach i osiedlach masa uciekinierów stłoczyła się w Kostopolu. Administracja niemiecka, wespół z ukraińską, zarządziły wśród tego mrowia rozbitków łapankę i segregację ujętego ludzkiego materiału w celach wywozu do Niemiec na roboty.

Któregoś dnia, w końcu marca 1943 roku, a było to chyba w godzinach porannych, siedząc z innymi w domku przy ulicy Kopernika 55, usłyszałem nagle jakiś rwetes i gardłowe pokrzykiwania Niemców na ulicy. Rozlegały się tam jakieś krzyki, bieganina, słychać było wyraźnie nawet odległe strzały, warkot silników samochodowych, szybki tupot podkutych żołnierskich butów.

Dłuższy czas przebywając w tym swoistym, spokojnym ustroniu, jakim wydawał mi się domek Dziekońskich, nie sądziłem, że może w pobliżu czyhać jakieś nieokreślonego typu niebezpieczeństwo w stosunku do mojej osoby.

Napływające straszliwe wiadomości o nowych masowych rzeziach w Janowej Dolinie i okolicy, gehenna Polaków, skazanych przez banderowców na zagładę zamieszkałych na terenie kostopolszczyzny, - wszystko to spowodowało, że chodziłem jak obłądny, mając pełne uszy nabite ociekającymi krwią informacjami o nowych mordach, ucieczkach, tułaczce i wolaż nowych ofiarach, żądnych krwi polskiej banderowskich ~~krwawych~~ oprawcach.

Zaintrygowany tym, co zaczęło się właśnie dziać niespodzianie, na spokojnej dotychczas uliczce, nieopatrznie wyszedłem za bramę, chcąc zbadać przyczyny nagłego niepokoju i ... w tym momencie zostałem z nagłą otoczony oddziałkiem żandarmerii niemieckiej i ukraińskich policjantów, wysypujących się z sąsiedniej bramy i blokujących ulicę i chodniki.

Z podwórek i kilku sąsiednich domków żandarmi zaczęli wypędzać na ulicę wyłapanych podobnie jak ja, młodych mężczyzn, dzieciąt, a nawet starsze dzieci i ustawiać w grupki. Starszych legitymowano z miejsca, część z nich puszczano wolno, a innych zapędzano do grupy zatrzymywanych osób otoczonych kilkunastoma żandarmami z automatami w rękach. Wszystko to przebiegało niesłychanie szybko i sprawnie: wypędzani ludzie sypali się ~~strumie-~~ niem z domów i podwórek popędzani przez pokrzykujących Niemców, ustawiali się w grupach, które w pewnym momencie ogarniano żandarmami naokoło i pędzono w jakimś kierunku.

Zostałem brutalnie popchnięty za łańcuch żandarmów otaczających wyłapaną grupę mężczyzn. Wkrótce popędzono nas wzdłuż toru kolejowego do bia-

tego domku, otoczonego drewnianym parkanem, usytuowanym pod ścianą lasu w pobliżu brzegu rzeczki przepływającej przez Kostopol. Był to, jak się później dowiedziałem - "Arbeitsamt" - Urząd Pracy, gdzie koncentrowały się wszystkie sprawy związane z wysyłką wyłapanych ludzi do pracy w Niemczech. Na obszernym dziedzińcu roiło się od żandarmów, ukraińskich policajów, a także od spędzonych przez nich ludzi, którzy ściśnięci w grupach, oczekiwali na dalsze dyspozycje urzędników w mundurach niemieckich, koło których kręcili się polscy tłumacze, szybko przekazujący polecenia Niemców.

Wkrótce ustawiono nas w rzędy. Co kilka minut przepędzano ludzi do środka, gdzie urzędujące przy stołach sekretarki szybko rejestrowały pojmanych ludzi, a obok pracował zdaje się jakiś lekarz niemiecki, bystrym wzrokiem taksujący fachowo i z pośpiechem przydatność złapanych ludzi do pracy w Reichu. Później, a trwało to kilkanaście zaledwie sekund, musiałem położyć odcisk wskazującego palca prawej ręki na jakiejś kartotece... i tu lekarz sekundę jakby się zawahał, dostrzegłszy u mnie brak palców u prawej ręki... W tym momencie zauważyłem stojącego kilka metrów ode mnie brata Mieczysława. Spostrzegł krótkie zawahanie się Niemca, i szybko podszedł do niego.

Jednakże nic nie pomogło. Tłumaczenia i prośby Mieczysława, aby zostawili mnie i puścili wolno do domu z powodu tego ujawnionego w tej chwili kalectwa, nie przydały się na nic! Przez tłumacza oznajmiono nam krótko, że będę mógł pracować lewą ręką, a to drobne kalectwo nie ma w tym wypadku żadnego znaczenia: żołnierze niemieccy, inwalidzi nawet mocno okaleczeni na wojnie muszą pracować w Reichu dla zwycięstwa, a tym bardziej cywile, którzy znajdują się przecież w lepszej sytuacji, bo na tyłach frontu i powinni także pracować dla zwycięstwa, aby inni żołnierze, którzy zastąpili poległych, mogli bić wrogów Rzeszy niemieckiej, i zwyciężać - "für den deutsche Volk und Führer".

Tak mniej więcej wyglądały krótkie wyjaśnienia udzielone nam obu przez urzędników kostopolskiego "Arbeitsamtu" w czasie, kiedy na stacji w Kostopolu podstawiano codziennie długie zestawy wagonów, do transportu niewolników na roboty do Niemiec.

A tymczasem każdej nocy krwawe łuny pożarów polskich wiosek i osiedli oznajmiały wszystkim, że faszyci ukraińscy niesłychanie intensywnie pracują dla swoich panów, napędzając do "Arbeitsamtu" nowe zastępy polskich, ukraińskich i rosyjskich niewolników, którzy mieli zastąpić poległych żołnierzy hitlerowskich i ich rodziny, w pracy i walce "für den Sieg, dem deutsche Volk und Führer"!

-----

W ten sposób zostałem zakwalifikowany do pracy w Niemczech, jako "Ostarbeiter". Zdażyłem jeszcze pożegnać się z rodzicami, którzy przyszli na dworzec kolejowy, a ojciec, na prośbę płaczącej matki, zdjął z siebie jesionkę i dając do ręki, prosił abym się chociaż ubrał ciepłej, onie-

waż miałem na sobie tylko zwykłe codzienne ubranie i watowaną kurtkę z zielonego sukna, a był to przecież miesiąc marzec 1943 roku.

Tak potraktowany przez niemieckich żandarmów i urzędników "Arbeitsamtu", pędzony w grupie pod konwojem do wagonów na dworcu kolejowym, nie miałem nawet żadnej możliwości pożegnać się z moją wybranką serca - Jadwigą.

Od tego czasu nie zobaczyłem jej już więcej ani nie wiem co się z nią dalej stało. W ten sposób zakończyła się moja pierwsza miłość!

Ale postać Jadwigi, jej wyidealizowany obraz i poruszone głęboko myśli, tej ledwie rozkwitającej miłości zapadły mi głęboko w mojej psychice; nabrzmiałe uczuciem serce i podniecana młodą, gorącą krwią wyobraźnia wytwarzała wciąż nowe i nowe obrazy, niesłychanie miłe, przyjemne, coraz to doskonalsze, wypieszczane niemal że do perfekcji, a wszystkie one były związane jedynie z postacią Jadwigi, jej głosu, kolorem oczu, jedwabistym połyskiem kasztanowatych, prześlicznych włosów, zaplecionych w gruby warkocz.

Oderwany ~~w~~ gwałtowny sposób, wbrew mojej woli od tego ideału o dziewczęcych kształtach i delikatnej, wrażliwej duszy, obraz ten unosiłem ze sobą, wsiadając do bydlęcego wagonu na stacji w Kostopolu, kierując się w "nieznane" mające jednakże dla mnie posmak nowej przygody, i zupełnie nowego etapu na drodze mojego życia. Kończyłem wówczas osiemnasty rok, życie zaczęło dyktować swoje twarde prawa, a moja osobowość dziecięco-młodzieńcza zaczęła od tego czasu, niepostrzeżenie nawet dla mnie samego, przekształcać się, chociaż z trudem i wielkimi oporami, w osobowość młodzieńczo-męską, bardziej dojrzałą i zdecydowaną!

Podświadomie odczuwałem potrzebę notowania, chociaż bardzo pobieżnie i lakonicznie, kłębiących się we mnie od pewnego czasu odczuć i doznań. Napór tych doznań, fale nieskoordynowanych planów, myśli domagały się jakiegos ujęcia. Gorączkowe i rozpaczliwie drażące moją psychikę uczucia, których najważniejszym celem i obiektem była postać Jadzi, z każdą godziną oddalająca się na zawsze w trakcie jadącego coraz szybciej pociągu w kierunku Równego - przyprawiały mnie o drętwotę myśli i bezwład fizyczny!

Siedziałem nieruchomy i oślepiały na kupie ogromnych tobołów, tuż przy otwartych szeroko drzwiach wagonu, bezmyślnie obserwując przesuwający się przed moimi oczami krajobraz przedwiośnia 1943 roku. Kilkanaście kilometrów drogi przebiegała przez gęsty sosnowy bór, jakby w leśnym, zielonym wąwozie, cichym, nieruchomym, obojętnym na wszystkie moje rozpacz i ponure myśli. Na gęstym poszyciu leśnym, niby na ekranie kinowym, moja gorączkowa wyobraźnia i ostatnie doznane przeżycia, ukazywały jakies dziwaczne obrazy, na czole których rysowały się ostro postacie ojca na dworcu i płaczącej matki ... a obok nich, ~~nie~~ nieco już zamglona, postać Jadzi patrząca na mnie swymi ogromnymi niebieskimi oczami z niemym wyrzutem, że oto zostawiam ją samą, nic nie robiąc aby ją odzyskać z powrotem i zabrać razem ze sobą.

Myśl ta, zapiekła mnie żywym ogniem tak, że w pewnej chwili odwróciłem

głową od przesuwającej się do tyłu ściany lasu ..., widzenie znikło natychmiast, ale po małej chwili pojawiło się znowu na wewnętrznej ścianie wagonu tam, gdzie padło przypadkowo moje spojrzenie!

Odtąd obraz ten będzie mnie długo prześladować. Po prostu nie mogłem się od niego uwolnić, aż w końcu zacząłem się do niego powoli przyzwyczajać. Po pewnym czasie ze zdziwieniem stwierdziłem, że przynosi mi mi niejaką ulgę i uspokojenie, po tych okropnych przeżyciach na terenach, które opuszczałem, gdzie pozostały moje wspomnienia i przeżycia z okresu mego dzieciństwa i lat młodzieńczych.

Zdażyłem ze sobą zabrać ołówek i gruby notes. Postanowiłem więc odtąd spisywać swoje najważniejsze przeżycia, fakty i daty ważniejszych wydarzeń zachodzących w moim życiu. W każdej wolnej chwili rozkładałem na kolanach - z braku lepszego miejsca - swój notatnik, i notowałem.

Były to zapewne moje pierwsze próby przelania na papier moich myśli, które w tym ponurym okresie z nadmiaru przeżytych wrażeń po prostu rozsadały mi głowę. Na skroniach miałem już siwe włosy!!

-----

W transporcie jadącym do Równego znajdowało się kilka rodzin z mojej rodzinnej wioski, z Hipolitówki. Były one uszczuplone o tych, co pozostali na zawsze we wspólnej mogile nad stawem, pochowani tam po tej pamiętnej nocy 23 marca 1943 roku.

Obok mnie, przy szeroko otwartych drzwiach wagonu towarowego siedział Tomek, a w głębi, na rozłożonych pakunkach i tobołach siedziała jego matka, Czesława Słowińska z domu Cybulska, rodzina Rutów: ~~Franciszek Rut jako głowa rodu, jego żona Zofia z domu Barówna, dwie córki około trzynastoletnia ładna brunetka - Augustyna, oraz młodsza Zdzisława, dwóch synów: starszy Zbigniew - około 9 lat i najmłodszy Otto, zwany potocznie przez rodzeństwo "Tolaskiem".~~

W jednym końcu pakownego wagonu usadowiła się rodzina mego wujka: Aleksandra Lisieckiego, jego żona Katarzyna z domu Słowińska, siostra mej matki; synowie: Edmund, Teofil, Antoni. W drugim końcu miejsce zajmowali Fulikowscy: Cezary, jako głowa rodu, jego żona Ewelina, z domu Lisiecka / o ile się nie mylę!/, córki: starsza Janina i młodsza, o blond włosach krótko przyciętych ale bardzo mocno pokręconych w króciutkie lóczyki - Jadwiga. Była z nami jeszcze jedna szczupła brunetka: jak się później dowiedziałem, nazywała się Genowefa Buraczyńska i pochodziła z Kostopola.

Zegnając się na dworcu kolejowym z rodzicami, słyszałem, jak ojciec rozmawiał krótko z moją wujenką, polecając jej opiece moją osobę, gdyż akurat tak się złożyło, że spotkaliśmy się wszyscy w jednym wagonie w tym czasie, i odtąd dzieliliśmy na długi czas wspólnie swoje losy wygnańców-niewolników, wywożonych w tym transporcie do Równego, a później do Niemiec.

Transport składał się z kilkudziesięciu wagonów załadowanych do granic możliwości wykłapanymi ludźmi na ulicach Kostopola, a pochodzących ze spalonej Janowej Doliny, Hipolitówki, częściowo z Lipnik, Ludwipola, Bereznego, Karaczuna, Krzeszowa, ze spalonych osad i futorów w pobliżu Kostopola, a także z samego miasteczka. Wszystko to siedziało stłoczone na zabranych w pośpiechu podręcznych walizkach, torbach, tobołach z pościelą, naczyniami, żywnością.

Kiedy pociąg ruszył, a koła wagonów zaczęły wystukiwać swoją monotonną rytmiczną usypiającą melodię, ktoś zaintonował pobożną pieśń, znaną mi od lat dziecięcych, często śpiewaną przez matkę w domu i na nabożeństwach w Kazimircu, słyszaną często przeze mnie również w kościele kostopolskim - "Serdeczna matko" -; niektórzy, a szczególnie kobiety zaczęły ocierać łzy nabiegające niepowstrzymanie do oczu. Uczułem nagle, że moje powieki stały się jakieś cięższe i podejrzanie wilgotne. Szybko pochyliłem się nad notesem.

W Kostopolu pozostali moi rodzice, brat Mieczysław, siostry: najstarsza Antonina, średnia Zofia z mężem i dwojgiem dzieci: starszą Danusią i młodszym Zenkiem - mieszkająca razem ze szwagrem Kazimierzem Żukomskim na peryferyjnej ulicy Polnej; pozostał również Marian, świeżo ożeniony z Bielawską Aleksandrą, zamieszkały u cioci Heleny, pozostali Dziekońscy: Antonina i Edward. Natomiast, jak dowiedziałem się później z listów ojca pisanych do mnie do Niemiec, najmłodsza siostra Genowefa wkrótce także wyjechała do Reichu na roboty, razem z grupką swoich koleżanek z Hipolitówki: Janką Kurjatówną, Anią /Nusia/ Juckiewiczówną i innymi, których obecnie nazwisk już nie pamiętam. Po pewnym czasie otrzymywałem zacząłem od Cieni kartki pocztowe z Westfalii: była to jakaś mała miejscina o nazwie Telgte, w pobliżu Münsteru na zachód od Hannoveru.

A tymczasem, po przybyciu do Równego, wyładowano nas z wagonów i popędzono do ogromnego obozu, mieszczącego się w dawnych, budowanych jeszcze za czasów carskich, koszarach polskich, gdzie wówczas stacjonowała 13 Dywizja Piechoty i całe jej dowództwo wraz ze sztabem. Pod patronatem tej tzw. 13-ki i kierownictwem wydziału budowlanego tejże dywizji, budowano fortyfikacje od 1937 do 1939 roku na terenach od Sarn do Janowej Doliny.

Budynek, do którego nas wszystkich stłoczono, był dokładnie otoczony kolczastym drutem rozpiętym na wysokich drewnianych słupach. W bramach ze szlabanem stały uzbrojone po zęby posterunki wojskowe w szerokich hełmach niemieckich, w czasie deszczu chroniące się w stojących obok budach wartowniczych.

Ogromny zespół koszarowy, który miał nam służyć za czasowe miejsce pobytu w Równem, był położony w zachodniej części miasta, wzdłuż głównej ulicy po obu jej stronach. Ulica ta za miastem przechodziła w asfaltowany szlak prowadzący w kierunku Łucka. Kilka kilometrów dalej od tej głównej trasy, na rozgałęzieniu dróg, biegła nowa "asfaltówka" w kierunku na Dubno,

Radziwiłków, Brody, Złoczów do Lwowa, częściowo równoległe do dwutorowej linii kolejowej, biegnące na południowy zachód w tym samym kierunku.

Równe znałem dość dobrze, jeszcze z czasów mej nauki w gimnazjum Związku Osadników. Poznałem także nowe koszary, które w tym okresie oglądałem, ale z drugiej strony muru. Nie było tam wtedy drutów kolczastych.

Obecnie Równe wyglądało, jak jeden ogromny, warowny obóz, pełen hitlerowskich żołnierzy, ciągnących w różnych kierunkach kolumn ciężarowych samochodów, wojskowych pojazdów konnych, żandarmerii niemieckiej jeżdżącej w odkrytych terenowych "łazikach", małych oddziałków ukraińskiej policji zapełniającej chodniki i boczne uliczki, ciągnące się pod górę w tym pagórkowatym terenie. Czasami przechodziły grupy aresztantów pod silnym konwojem, pędzone z miejsca na miejsce. Bardzo często można było zaobserwować transporty pociągów, jadące na wschód ze sprzętem wojennym, czołgami, działami, artylerią przeciwlotniczą, żołnierzami w pełnym uzbrojeniu.

W przeciwnym kierunku jechało bardzo dużo rannych wehrmachtowców, zestawów pociągów sanitarnych i transporty ludności cywilnej, przewożonej na roboty do Niemiec, wyłapanej widocznie we wschodniej części Ukrainy.

Kilka dni przebywałem w zamkniętych koszarach wraz z setką innych ludzi, pomieszanych ze sobą, kobiety z małymi dziećmi, starcy, młodzi mężczyźni, dziewczęta i podlotki. Wszystko to koczowało pomiędzy piętrowymi pryzkami na podłodze, w ogromnych koszarowych izbach pełnych tobołów, pakunków, waliz i przeróżnych osobistych tłumoków, tłumoczków, teczek, toreb i węzełków.

Rodziny zajmowały dogodniejsze kąty z kilkoma piętrowymi pryzkami, broniąc zaciekle tego z trudem wywalzonego skrawka "własnego" kąta w tej masie ludzkiej, stłamszonej i sponiewieranej w najwyższym stopniu.

Jak pamiętam, otrzymywaliśmy ~~zxcó~~ ~~dz~~ ~~ł~~ ~~enn~~ie czarną zbożową kawę na śniadanie, kawałek pytłowego chleba. Na obiad była jakaś warzywna zupa, bardzo rzadka, wodnista, i chyba kasza na sucho, jęczmienna czy gryczana. Na kolację była znów czarna kawa, kromki chleba z marmeladą lub margaryną. Jeżeli ktoś był głodny, mógł sięgać do własnych zapasów, o ile je miał.

Trzeba przyznać, że niemiecka obsługa bardzo regularnie i punktualnie wzywała dyżurnych do kuchni, skąd taszczyliśmy wiadra z kawą, chleb pokrajany na kromki, margarynę pokrajaną w malutkie kosteczki, lub marmeladę rozdzieloną na aluminiowych męnażkach, skąd trzeba było później dzielić ją na mniejsze porcje. Na środku koszarowych izb stały długie, drewniane stoły, a po bokach ławy; można było sobie zająć w czasie posiłku miejsce lub, jak kto wolał, prznosić się z tym do swojego kąta, gdzie zjadał pożywienie na kolanach, siedząc na dolnej części pryczy, lub na walizce.

Próżnować ludziom Niemcy nie dawali. Dyżurni wachmani i niemieccy podoficerowie każdego rana wkraczali do izb koszarowych, i bystrym spojrzeniem wyławiali, zawsze bardzo precyzyjnie, i głosem nie znoszącym sprzeciwu, wypędzali na podwórzec obozowy ludzi zdatnych do fizycznej roboty, szczegól-

nie młodych chłopców i mężczyzn. Ustawiano wszystkich szybko w grupy, i pędzono do miasta do jakiejś roboty na żądanie służb wojskowych.

Wkrótce wyłowiono i mnie do takich robót w mieście. Rano, po wypiciu kawy ustawiono nas w grupę roboczą, otoczono wartownikami uzbrojonymi w automaty, i poprowadzono główną ulicą miasta w kierunku na wschód. Przekroczyliśmy tory kolejowe, minęliśmy kościół z czerwonej cegły i dochodząc do jakiejś bocznej ulicy, skręciliśmy pod ogromną, kutą z prętów żelaznych bramę, za którą widać było jakiś piękny, biały pałac na końcu ogromnego dziedzińca. Z boku wyrastały parterowe domki oficjalistów i służby pałacowej. Widać było rusztowania przy ścianach pałacu; malarze i tynkarze pośpiesznie wykonywali prace, poganiiani przez wartowników i żołnierzy. Wśród nich uwijało się wielu oficerów w czarnych mundurach i ogromnych czapach z ogrąglym denkiem, z pistoletami przy pasie.

Przy bramie stały wzmocnione posterunki w hełmach i paskami zapiętymi pod brodą, z automatami w rąku gotowymi do strzału. Dalej, w pobliżu bramy, była wartownia, przy której kręciło się również kilkunastu żołnierzy z bronią. Kilku z nich trzymało na smyczy wilczury, które poderwały się na nogi na widok naszej, wkraczającej na dziedziniec grupy roboczej, prowadzonej przez kilku wachmanów. Zameldowali się oni na wartowni, i po chwili przepuszczono nas w głąb dziedzińca.

Na dziedzińcu rosły jakieś wysokie, stare drzewa ozdobne, - zauważyłem tam kasztany, klony, stare bardzo świerki, krzewy iglaste, żywopłoty, przycinane właśnie przez ogrodników. Całe otoczenie sprawiało wrażenie, że do pałacu sprowadza się jakiś nowy, wielki pan, nowy właściciel tego pięknego pałacu, ponieważ wszędzie panował ożywiony ruch budowlany: poprawiano mur otaczający cały dziedziniec, tynkowano ściany wewnątrz i zewnątrz budynków, malowano okna, drzwi, wewnętrzne ogrodzenia, grabiono i czyszczono alejki i drogi dojazdowe, po których jeździły jakieś wspaniałe, czarne samochody osobowe, pełne oficerów i hitlerowskich urzędników w cywilu.

Nasza grupa dostała przydział roboty - mnie kazano początkowo okopywać jakieś drzewa, a później wręczono mi grabie; musiałem wygrabić ze starych liści i gałązek ogromny trawnik, usytuowany na środku dziedzińca.

Zabrałem się szparko do pracy, tym bardziej, że zostałem specjalnego wartownika, który miał mnie pilnować. Trzymał on w rąku długi, kilkustrzałowy karabin, który później powiesił sobie na ramieniu, przechadzając się obok i udzielając mi krótkich wskazówek łamanym niemieckim językiem. Ubrany był w mundur zielonego koloru: bluza i spodnie "galifee", obuty w gumowe buty z cholewami.

Różnica w ubiorze odrazu uderzyła mnie w oczy: żołnierze niemieccy, których wszędzie było pełno, chodzili przecieź w niebiesko-szarych mundurach, szytych z grubego sukna: marynarki z ogromnymi kieszeniami, proste prtki i buty skórzane, podkute, z krótkimi cholewkami, rozszerzającymi się



ku górze, a na głowach nosili przeważnie hełmy. Ten natomiast żołnierz, który udzielał mi wskazówek, był ubrany zupełnie inaczej, a na głowie miał zwy- czajną, letnią furażerkę.

Okazało się, że był Holendrem, zmuszony do wartowniczej służby przy waż- niejszych budynkach, gdzie prowadzono remonty i urządzano kwietniki i parki. Z zawodu był ogrodnikiem. Zdążyłem w czasie pracy zamienić z nim kilka zdań. Moja szkolna niemczyzna akurat mi się przydała w tym czasie, ale "mój" Ho- leder, ku mojemu zdumieniu, mówił łamanym polskim językiem, rozumiejąc pra- wie wszystko, co do niego mówiłem po polsku!

Pracując tam razem z nim w ciągu dwóch dni, zdołałem dowiedzieć się od niego różnych, niesłychanie interesujących mnie wiadomości! Przede wszystkim opowiedział mi krótko, w jaki sposób znalazł się na służbie niemieckiej / oczywiście przymusowo!/. Był bardzo rozmowny i chętnie udzielał odpowie- dzi na interesujące mnie sprawy.

-----

Za czasów panowania książąt Radziwiłłów i Lubomirskich skoligaconych ze sobą poprzez różne małżeństwa i zapisy majątkowe, **wybudowano** bardzo dużo obronnych zamków i pałaców na środkowym i zachodnim Wołyniu. Niektóre z tych budowli w zupełnie dobrym stanie dotrwały do czasów odzyskania niepodleg- łości Polski w zupełnie dobrym stanie np. zamek w Ołyce, Klewaniu, Radziwiłko- wie koło Brodów, a także w Równem. Właśnie podniszczony nieco pałac obronny w Równem upatrzył sobie na swoją siedzibę "Gauleiter" Ukrainy, dawniejszy wielkorządca Prus Wschodnich - Erich Koch.

Do odbudowy i odnowy tego właśnie pałacu, zostały w początkach 1943 roku spędzone tłumy specjalistów, rzemieślników, murarzy, tynkarzy, malarzy i zwyk- łych robotników do urządzania nowej siedziby dla nowego pana i władcy zachodniej Ukrainy - Ericha Kocha.

W ślad za "nowym panem" w miasteczkach i wsiach Zachodniego Wołynia, a także z konieczności utrwalania "nowego ładu" na tych terenach, zaczęło się tu pojawiać coraz więcej Niemców. Byli to świeżo upieczeni dziedzice i nowi właściciele zdobytych ziem, którzy przybywali tu z Niemiec central- nych obejmować **wschodnie** terytoria, przywożąc ze sobą i usiłując wprowa- dzać ponure, pańszczyźniane formy społeczne i obyczaje.

Do prac mieli być zatrudniani rugowani z tych ziem polscy i ukraińscy chłopcy, zamieszkali tu od wieków.

Mój "rozmówca" i strażnik w jednej osobie pochodził z Holandii. Miał tam starych rodziców i rodzeństwo. Pracowali na wspólnym gospodarstwie, hodowa- li rasowe krowy, kury i świnie, ale przede wszystkim trudnili się hodowaniem wspaniałych kwiatów: tulipanów i róż, z których mieli wielkie zyski, sprze- dając je nawet do sąsiedniej Belgii, Francji i Anglii. W czasie wojny obron- nej w 1940 roku, na początku maja został powołany do armii holenderskiej, skąd w czasie jakiejś potyczki, został wraz z innymi wzięty do niewoli przez

niemieckie jednostki powietrzno-desantowe w środkowej Holandii nad kanałami, broniąc jakiegoś ważnego mostu.

Większość Holendrów dobrze znała język niemiecki. Jeńcy holenderscy zostali wyjątkowo dobrze potraktowani przez zwycięzców. Po kilku miesiącach pobytu w jenieckim obozie, część jeńców zatrudniono w niemieckich gospodarstwach i folwarkach. Dotyczyło to przede wszystkim tych, którzy pochodzili z terenów wiejskich. Po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej, dużo jeńców holenderskich zmuszono do prac i służb wartowniczych, w jednostkach tyłowych Wehrmachtu, ponieważ rodowici Niemcy obowiązani byli służyć w jednostkach frontowych, jako najbardziej oddani w służbie dla "zwycięstwa"!

"Mój" Holender przebywał również dłuższy czas na terenach Generalnej Gubernii, gdzie wyuczył się trochę języka polskiego, a reszty edukacji dopełnił służąc w jednostkach wartowniczych na terenie zachodniego Wołynia, a szczególnie w Równem, gdzie przebywał około ośmiu miesięcy, stykając się z miejscowymi Polakami.

On właśnie, w największym "sekrecie" wyjaśnił mi, dla kogo ma służyć remontowany i przysposobiany na przyjęcie nowego pana, ów pałac, gdzie pracowicie okopywałem drzewa i, grabikiem alejki i trawniki w końcu marca 1943 r.

Od niego też usłyszałem kilka informacji, o grasującym po Równem w tym okresie radzieckim partyzancie w przebraniu niemieckiego oficera -  
- / "Paul Siebert" - Nikołaj Kuzniecowa /.

-----  
Po skończonej "pracy" na dziedzińcu pałacu gauleitera Ericha Kocha, uzbrojeni żołnierze zaprowadzili naszą grupkę do żołnierskiej "garkuchni" znajdującej się, jak pamiętam, w pobliżu pałacu; tam podano nam posiłek. Sami żołnierze roznosili dania naszej grupie, starając się nawiązać z nami rozmowę po rosyjsku. Byłem tym niesłychanie zaskoczony: żołnierska uprzejmość dziwnie wyglądała w zestawieniu z warunkami, w jakich się znajdowaliśmy. Byłem tak zaskoczony tym od dwóch dni zmienionym stosunkiem popędzających nas wehrmachtowców, że w pierwszej chwili, po zajęciu miejsc za normalnymi stolikami, jak w restauracji, nie wiedziałem w ogóle co mam tutaj robić, i w roztargnieniu zagadnąłem o to, niosącego koło mnie akurat żołnierskie naczynia z jedzeniem, postawnego "feldfebla". Bardzo uprzejmie i natychmiast poinformował mnie po rosyjsku: "Tiepiel budiem kuszat; abied oczeń wkusnyj, żełazu prijatnogo appetita", i poszedł dalej, balansując niosącymi w obu rękach menażkami, niczym dobry kelner...!

Długi czas nie mogłem się połapać w tej groteskowej uprzejmości tych frontowych żołnierzy obsługujących naszą grupę, machinalnie siorbiąc zupę z menażki, a później zajadając się końskimi kiełbasami na gorąco z musztardą i z czymś tam jeszcze. Dopiero później, zupełnie przypadkowo usłyszałem gdzieś słowo "Stalingrad"... i tu, w tym momencie zacząłem coś niecoś rozumieć i pojmować, co mogło spowodować tę odmianę w zachowaniu się tych żołnierzy wycofanych widocznie chwilowo z frontu, do Równego, najpra-

wdopodobniej do dyspozycji gauleitera Ericha Kocha w celu zupełnego ogołocenia środkowego i zachodniego Wołynia a także centralnej Ukrainy - z ludzi i wszelkiego dobra, które w tym okresie zaczęły się powoli wymykać z rąk hitlerowców.

Kilka dni później odprowadzono nas już na stałe do odrutowanych koszar, gdzie urządzono nam ordynarnię "żałnię" - oraz odwszawienie ubrań i tobołów. Trwało to bardzo krótko; w przyspieszonym tempie przeganiano nas z miejsca na miejsce, a toboły i ubrania były szybko i brutalnie wyrzucane za nami, na korytarze. Trzeba to wszystko było z miejsca zabierać i pchać do swoich kątów, w obawie przed jakąś kradzieżą, czy zniszczeniem w tym okropnym rozgardiaszu, jaki tam panował. Obsługa żaźni i odwszalni była rosyjska, pracowali tam jeńcy sowieccy.

W Równem Niemcy urządzili "stolicę" okupowanych środkowych i zachodnich terenów Ukrainy i Wołynia. W tym okresie, kiedy przebywałem w rówieńskim obozie przyszłych "Ostarbeiterów", w "stolicy" przebywał wraz ze swoim partyjnym sztabem, tzw. "Reichskommissariat Ukraine", namiestnik Hitlera dla tych terenów reichskomisarz z ramienia NSDAP - Erich Koch.

Tu zbiegają się wszystkie nici hitlerowskiej administracji okupowanych terenów Wołynia i Ukrainy od 1942 roku. Wówczas Równe było oddalone od frontu o około 1.200-1.400 km. Było więc tu względnie spokojnie w tym czasie dla wielkorządców Hitlera. Ponadto na tych terenach mieszkało jeszcze dużo Ukraińców, zajadłych nacjonalistów, petlurowców, banderowców, bulbowców, melnykowców i innego ukraińskiego draństwa. Ludzie ci, wierni swojej naturze podłych zdrajców, służyli wtedy nowym panom, hitlerowcom.

Dlatego też gauleiter Erich Koch wolał zainstalować się w "stolicy", która miała lepsze i bezpieczniejsze zaplecze polityczne, gospodarcze i wojskowe, niż w niepewnym Kijowie, narażonym na wielkie prawdopodobieństwo rychłego zbliżenia się wschodniego frontu. Tak też było w istocie.

W mieście odczuwało się wojenną atmosferę. Cywilna ludność została zepchnięta w cień, a na ulicach królowało wojsko, żandarmeria, służby tyłowe. Czynne były wojskowe restauracje, kawiarnie wypełnione oficerami i żołnierzami przejeżdżającymi przez Równe. Dworzec kolejowy, który tak dobrze znałem, był częściowo zrujnowany przez naloty bombowe jeszcze w czasie działań wojennych w 1941 roku.

Napisy były dwujęzyczne: u góry niemieckie, a ~~na~~ dole tablice w języku ukraińskim ale o połowę mniejsze, umieszczane z reguły tylko na budynkach o użyteczności publicznej, administracji, przedsiębiorstwach.

Czynne były niektóre zakłady pracy i fabryczki, pracujące przeważnie tylko dla celów wojskowych, a wszędzie widziało się bramy solidnie zabezpieczone przez wartownię, małe okrągłe bunkry betonowe ze szczelinami obserwacyjnymi i strzelniczymi, niby jakieś małe forteczki czy twierdze. Najruchliwsza ulica to główny ciąg ze wschodu na zachód - tzw. "Ludolf

Hitler Strasse, stale zatłoczona kolumnami wojskowych pojazdów różnego rodzaju. Ciężki sprzęt wojenny transportowano pociągami, które ciężko obciążone huczały po szynach, mijając Równe w odstępach kilkudziesięciu minutowych. Eskortowane one były przez oddziały wojskowe, jadące w krytych wagonach towarowych.

Po kilku pracowitych dla mnie dniach, kiedy to ganiano nas w specjalnych grupach do roboty w pałacu "gauleitera" Kocha, mogliśmy trochę odpocząć i oczyścić się z brudu i ulicznego kurzu. Zdeptałem już swoje buciory po kocich łbach rówieńskich ulic, odmierzyłem kilkadziesiąt kilometrów swoimi nogami, jak dobry sportowiec, napatrzyłem się na maszerujące kolumny hitlerowskich żołnierzy, wdychałem trujące spaliny samochodowe, nasłuchiwałem się niemieckich rozkazów i poleceń ... i dopiero po tym wszystkim pozwolono naszej grupie powrócić do koszar. Tego samego losu doświadczyli później inni, którzy zostali w następnej kolejności rugowani ze swoich rodzinnych zagród, wdeptani w tryby wojennej maszyny III Rzeszy.

W przeddzień wyjazdu w dalszą drogę na zachód, kiedy przebywałem jeszcze w koszarowej izbie, podszedł do mnie jeden ze spacerujących pomiędzy przyczepami mężczyzn, ... i wpatrując się uważnie w moją twarz, przedstawił się jako mój dawny znajomy, a także, że doskonale zna moich rodziców i rodzeństwo, a na imię ma ... Filip!

Długo grzebałem w pamięci, poszukując znajomej twarzy o tym imieniu - / nazwiska już nie pamiętam/, i ... wreszcie odkryłem w pamięci jego postać i poznałem ~~XX~~. Był on w latach mojego dzieciństwa pomocnikiem ojca, pracując w gospodarstwie przy koniach oraz wykonując inne roboty zlecane przez ojca. Był on narodowości ukraińskiej, ale pracując dłuższy czas u nas wyuczył się dobrze języka polskiego w mowie i nawet częściowo w piśmie. Czytywał również polskie książki i gazety, nabierając swoistej ogłady i kultury towarzyskiej. Pamiętam, że potrafił niesłychanie zajmująco opowiadać po polsku różne bajki, baśnie i opowiadania.

Pochodził gdzieś z północnych terenów Wołynia, a do nas trafił chodząc po prośbie jeszcze z innym Ukraińcem. Filip, namówiony przez ojca pozostał przy nas, a drugi powędrował dalej w świat.

Podobnie jak setki i tysiące innych ludzi, został on przymusowo zakwalifikowany do pracy jako "Ostarbeiter", i ... właśnie oczekiwał, jak i ja, na transport do Niemiec. Wkrótce straciłem go z oczu, kiedy wyprowadzano wszystkich do wagonów na stacji w Równem.

Koniec marca zastał mnie jadącego w transporcie "Ostarbeiterów" na zachód - Z Równego, skrajem puszczy ordynacji ołyckiej, stanowiącej dawniej własność książąt Radziwiłłów mających swoją siedzibę na zamku w Olyce, - w kierunku na Kwerce - Kowel.

Jechaliśmy w nocy bardzo wolno; początkowo nie zdawałem sobie zupełni sprawy dlaczego posuwamy się noga za nogą - zdawało mi się, że można było iść obok piechotą tuż obok wagonu, ale nazajutrz rano wszystko się wyjaśniło!...

Na całej długości, jak tylko można było sięgnąć wzrokiem z wagonu, w kierunku jazdy i w tył, leżały zwalone z nasypu ogromne ilości towarowych i osobowych wagonów, leżące do góry kołami!!! Po prostu całe kilometry torów wraz z drewnianymi podkładami razem z całymi składami pociągów były wykolejone, przesunięte na bok, lub zepchnięte z wysokiego nasypu, a wzdłuż torów pracowały dosłownie tysiące robotników i żołnierzy niemieckich, usuwając straszliwe skutki partyzanckich ataków!!!!

Leśna ściana po obu stronach dwutorowego szlaku kolejowego była wycięta na szerokości około stu metrów, tworząc rozległe pasmo wolnej przestrzeni odsuniętej od toru. Co kilkaset metrów, a szczególnie przy przejazdach kolejowych, leśnych przesiekach i stacjach ustawione były prefabrykowane bunkry strzeleckie ze szczelinami obserwacyjnymi, stalowymi drzwiami i kopułami umieszczonymi na wierzchołku okrągłego bunkra. Były i większe bunkry, wieloosobowe, rozmieszczone na większych, mijanych przez nasz transport stacjach i osiedlach, położonych wzdłuż szlaku kolejowego.

Widać było, że ~~atakowana~~ linia była bardzo ważną magistralą, łączącą centralne Niemcy z frontem wschodnim. Była ona ubezpieczana widocznie na całej długości wiodącej przez obszary leśne Wołynia, a pomimo tego, oddziały partyzanckie nieustannie ją atakowały, podkładając miny i rozbiatając tory na dość długich odcinkach, czego dowodem były właśnie oglądane przez nas rozbite transporty wiążące zaopatrzenie na front wschodni.

Minęliśmy stację Klewań, Ożykę i dojechaliśmy do Kiwerc. Tu był dłuższy postój. Wykorzystaliśmy go na ranne mycie się, prymitywne śniadanie z ciepłą czarną kawą roznoszoną w wiadrach do wagonów przez młodych chłopców. Każdy miał przy sobie wydany wcześniej chleb i coś do chleba.

W czasie tej podróży nie miałem zbyt dobrego apetytu. Stale miałem przed oczami rzędy wywróconych do góry kołami wagonów, leżących wzdłuż toru. Siedziałem milcząc przy otwartych drzwiach, było ciepło, śniegu już nie było, zbliżała się szybkimi krokami wojenna wiosna w 1943 roku, a po krótkim postoju transport ruszył dalej na zachód.

Przed Rożyszczami przejechaliśmy zbudowany przez saperów drewniany most na Styrze; obok sterczały kikuty rozbitego żelaznego mostu - przęsła pogięte i poszarpane leżały częściowo w szeroko rozlanej rzece. Fale przelewały się po belkowaniach szeleszcząc i pluszcząc rozgłośnie, tworząc szeroki niski wodospad grający barwami tęczy w porannym słońcu. Powietrze było rześwe i czyste. Puszcza ordynacji ożyckiej Radziwiłłów pozostała za nami, rozciągały się rozległe bagienne obszary zachodniego Wołynia.

Jechaliśmy dalej w kierunku Kowla. Towarzyszył nam stale obraz wykołojonych wojskowych transportów raz z jednej, raz z drugiej strony toru. W miarę oddalania się od rodzinnych stron, myśl że pozostali tam rodzice, brat i siostry, a także wszyscy krewni i znajomi, stawała się bardziej paląca, i dręczyła mnie w dzień i noc. Postać Jadzi, którą coraz ostrzej i dłużej widywałem w czasie krótkich, nerwowych snów, poczęła przesłaniać mi wszystko, co oglądałem w czasie tej przymusowej podróży.

Najgorsze były noce. Sen przychodził z trudem. Nie byłem zupełnie przyzwyczajony do spędzania czasu w tak prymitywnych warunkach: w czasie jazdy trzeba było w nocy stale wyszukiwać dogodnej pozycji do spania. Na pościeląc czy leżąc na spiętrzonych tobołach, w bardzo niewygodnej pozycji, trzeba było stale pamiętać o ~~nie~~, aby nie szturchnąć piętą współtowarzyszy niedoli, rozłożonych tuż obok, w równie dziwacznych pozycjach, śpiących nerwowym, ciężkim snem.

Wagon, w którym jechaliśmy s~~ł~~oczeni, jak przysłowiove śledzie w beczce, służył nam wtedy za dom mieszkalny, sypialnię, jadalnię, miejsce odpoczynku w czasie postoju i w czasie dziennej jazdy. Powoli, z każdym kilometrem oddalaliśmy się od ponurych, strasznych nocy, rozświetlonych ~~lunami~~ pożarów banderowskiego terroru, nocnej śmierci z rąk rozbestwionych, a zupełnie bezkarnych rezunów, wyruszających każdej nocy na mord i rabunek.

Należało się obecnie jedynie obawiać niespodziewanego wybuchu miny pod którymś z wagonów: pod lokomotywą z przodu, w środku czy na końcu wolno posuwającego się składu pociągu. Powoli jednakże zaczęliśmy się przyzwyczajać do widoku rozbitych pociągów, groźnych bunkrów sterczących przy torach, oddziałów wehrmachtowców i setek robotników zatrudnionych przy wymianie poszarpanych i wygiętych fantastycznie stalowych szyn kolejowych.

Do Kowla dojechaliśmy późnym wieczorem i stanęliśmy tam na dłuższy postój, który trwał całą noc, i cały następny dzień. Był to bardzo ruchliwy węzeł kolejowy. W centrum miasta zbiegało się sześć linii kolejowych, rozchodzących się promieniście we wszystkich kierunkach od piętrowego, bardzo dużego i obszernego dworca kolejowego. Obok dworca, nieco na uboczu, znajdowała się ogromna parowozownia i warsztaty kolejowe, pełne hałasu, gwizdu manewrujących lokomotyw, trzasku spinanych w szybkim tempie wagonów, nawoływania drużyn kolejowych obsługujących parowozy i wagony.

Nasz transport został odstawiony na boczny tor, skąd można było udać się do stacyjnych toalet, umyć się zimną wodą przy pompach, pospacerować po długich peronach, zaglądnąć do sal dworcowych. Wszędzie jednakże było pełno żandarmów, uzbrojonych strażników kolejowych z niemieckimi napisami na opaskach tzw. "Schutzbahn Abteilung", konwojentów ukraińskich i policjantów, natarczywie legitymujących każdego, kto pozwolił sobie odejść trochę dalej od transportu z którym był związany. Pamiętam, że wszędzie spotykało się dużo Polaków, pracujących na kolei, przy torach, na dworcu kolejowym, warsztatach, w drużynach manewrowych, w obsłudze lokomotyw.

Wszędzie można było rozmówić się po polsku, chociaż językiem urzędowym był niemiecki i ukraiński; na całej, przebytej przez nasz transport długości podróży, od Kostopola aż do Kowla większość spotkanych przeze mnie kolejarzy mówiła po polsku, a nawet kilka razy usłyszałem polskie przekleństwa, wygłaszane jędrnym, warszawskim akcentem, co niezmiernie podniosło mnie na duchu, słuchając wcześniej żargonu niemieckiego czy zdeformowanego języka ukraińskiego; całe szczęście, że jechałem razem ze swojakami w jednym transporcie, z Tomkiem i wujenką, ze znanymi mi dobrze sąsiadami, młodzieżą z którą chodziłem do szkoły. Osładzało to znakomicie moją samotność, i depresję psychiczną, która gniotła mnie i przytłaczała od chwili, kiedy grupa żandarmów wyrwała mnie z mojego surrealistycznego świata, zbudowanego w ciągu kilku zaledwie tygodni, wypieszczonego w młodzieńczej kruchej fantazji, a który pękł natychmiast w zderzeniu z brutalną rzeczywistością.

Rogata dusza buntowała się i usiłowała wydostać się z tego materialnego zniewolenia, ale ciało, raz pochwycone w żelazne cęgi przemocy i chamskiej siły, wzięło razem i duszę, i ambicję, i stłamszony zarodek miłości, rosnący i potężniejący tym bardziej, im rosła odległość od niego: od rodziców, rodzeństwa i... młodego dziewczęcia, którego trwały obraz nosiłem w sobie od kilku tygodni.

Osiodłana przez oddziały partyzanckich mincerów magistrala kolejowa z Równego do Kowla, Brześcia n/Bugiem i Warszawy nie mogła podobać zwiększonym zadaniom transportowym dla celów Wehrmachtu. Większość trasy przebiegała przez tereny puszczańskie i bagniste doliny rzek spływających na północ w kierunku Prypeci. Tereny te, to wymarzone miejsca działania oddziałów partyzanckich, atakujących zaciekle ten bardzo ważny dla okupanta, szlak kolejowy.

Byłem pewny, że transport nasz został skierowany do Warszawy i dalej, przez Brześć; tymczasem czekała nas niespodzianka: w nocy zażyłem z jadącego wagonu odczytać nazwę większej stacji, był to Luboml. Jechaliśmy więc prosto na zachód od Kowla, w kierunku Chełma i Lublina.

W pierwszych dniach kwietnia przekraczaliśmy więc historyczną rzekę Bug i sztuczną granicę, utworzoną tam przez dwa okupacyjne mocarstwa: Niemcy hitlerowskie i Rosję stalinowską. Nie zdawałem sobie zupełnie sprawy z tego że opuszczam te tereny już na zawsze, chociaż pozostali tam wszyscy moi najbliżsi: ojciec i matka oraz rodzeństwo, a także krewni rozsiani na terenie powiatu kostopolskiego, sarnieńskiego i częściowo rówieńskiego.

Nie udało mi się doczekać ponownego "wyzwolenia" przez oddziały radzieckie, nieustannie atakujące pozycje hitlerowskie na wschodnim froncie. Jadąc na zachód, pozostawiałem na Wołyniu sytuację polityczno-wojenną nieskrychanie zagmatwaną: nikt tam nie był pewny swego życia i mienia.

Większość ludności polskiej na wsi, sterroryzowana i ograbiona przez banderowców, zmuszona była przenosić się do miast lub wyjeżdżać pod przy-

musiem na roboty do Niemiec. Wsktórzy, posiadający krewnych w centralnej Polsce, likwidowali pośpiesznie swoje sprawy na Wołyniu, udając się na zachód kombinowanymi sposobami, przepłacając obsługę kolejową, a przede wszystkim administrację niemiecką.

Wszystkie te sprawy wymagają szerszego naświetlenia, spróbuję więc okres ~~okres~~ hitlerowskiej okupacji na Wołyniu zbilansować, podając w skrócie najważniejsze wydarzenia i fakty dotyczące rodzinnej wsi, a także innych miejscowości związanych z obronnym ruchem żywiołu polskiego, przeciwko masowej eksterminacji przez okupantów hitlerowskich, oraz zrodzonego w tym okresie bandyckiego działania ukraińskich nacjonalistów, zgrupowanych w Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów /OUN/.

Sztuczna granica ustanowiona na Bugu przez ówczesnych zaborców: Prusy, Austrię, a przede wszystkim Rosję carską po trzecim i ostatnim rozbiórce Polski w 1795 roku, na długie lata stanie się kontrowersyjną granicą, oddzielającą trwale Wołyń od reszty centralnej Polski.

Wojny napoleońskie, które po 1806 roku przeniosły się również na wschód od rzeki Łaby, przynosząc częściową wolność Polakom, zmieniły nieco układ graniczny biegnący wzdłuż rzeki Bug. Kampania wojenna wojsk księcia Józefa Poniatowskiego w 1809 roku wyparła całkowicie Austriaków z terenów lubelszczyzny, przesuując granicę na Bugu aż za Uściług i Włodzimierz Wołyński. Odtąd granica na Bugu będzie trwała do czasu upadku Księstwa Warszawskiego, następnie po Kongresie Wiedeńskim odrodzić się w podobnej formie w roku 1815, kiedy to zwycięska koalicja antynapoleońska z Rosją carską na czele, utworzy Królestwo Kongresowe, czyli Królestwo Polskie, pod berkiem rosyjskich carów, ze stolicą w Warszawie. Rządził tam wówczas namiestnik carski.

Królestwo Polskie wraz z granicą na Bugu dotrwa do wybuchu I wojny światowej w 1914 roku. Po upadku reżimu carskiego granica na rzece Bug, dzieląca sztucznie Wołyń od Królestwa Polskiego, została na kilkadziesiąt lat obalona / po przejściu frontów austriacko-rosyjskiego i niemiecko-rosyjskiego, a później po zjednoczeniu ziem wołyńskich z macierzą - miało to miejsce od 1916 roku do 1939, czyli do chwili upadku II Rzeczypospolitej / Po wybuchu nowej wojny światowej w 1939 roku i ponownym rozbiórce ziem polskich przez oba agresywne państwa: Niemcy hitlerowskie i Rosję stalinowską, - koncepcja granicy na Bugu natychmiast, ożyła. Granica ta dzieliła prawie dokładnie na połowę II Rzeczpospolitą, oddzielając od siebie w ten sposób dwóch agresorów.

Po utworzeniu przez Niemców skrawka okupacyjnych ziem pod nazwą "General Gouvernment" - Generalna Gubernia, granica na Bugu od Treblinki /miejscowość słynna z obozu zagłady Żydów, znajdująca się pośrodku odległości pomiędzy Warszawą a Białymstokiem/ aż do Włodzimierza Wołyńskiego



była odtąd granicą pilnie strzeżoną przez obu zaborców. Nie przeszkadzało to jednak, że przez tę granicę przechodziły ogromne transporty surowców wojennych z ZSRR do Niemiec, a w odwrotnym kierunku gotowe maszyny i urządzenia również służące produkcji wojennej.

Jeszcze 10 lipca 1920 roku, po zwycięskim pochodzie armii Czerwonej w głąb odrodzonej Polski, kiedy zdawało się nieuchronnie, że Polska przestanie znowu istnieć, a Europa środkowa zostanie zalana przez wojska bolszewickie, przed dowództwem polskim stanął problem ewentualnego zawieszenia broni, ówczesny minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, Lord Curzon /Kerzon/ zaproponował linię Bugu jako linię rozejmową. Odtąd linię tę, przedłużoną na północy do Suwałk, a na południu do rzeki San /orientacyjnie/, dyplomaci i historycy zaczęli nazywać "linią Curzona".

Szczególnie dyplomacja radziecka upodobała sobie używanie w rozmowach z mocarstwami zachodnimi właśnie zwrotu "linia Curzona", kiedy po zwycięskim zakończeniu II wojny światowej w 1945 roku, a także wcześniej, stało się jasne, że Kresy Wschodnie przypadną ZSRR jako łup wojenny.

Wróćmy jednakże do skróconej analizy okupacji hitlerowskiej terenów Wołynia w okresie od czerwca 1941 roku do końca marca 1943 roku, czyli do okresu szczytowego nasilenia się banderowskich akcji przeciwko ludności polskiej zamieszkałej na Wołyniu.

-----  
Chcąc lepiej poznać źródła tak wyraźnie i boleśnie odczutej przez masy Polaków, zamieszkałych na terenach Wołynia i Podola, wręcz zwierzęcej nienawiści ukraińskich nacjonalistów do ludności polskiej w latach hitlerowskiej okupacji 1942-1943, nie od rzeczy będzie cofnąć się do wydarzeń historycznych, które miały miejsce w połowie i końcu wieku XVII w lewobrzeżnym, a także prawobrzeżnym dorzeczu Dniepru, oraz w okresie późniejszym kiedy nastąpiły rozbiory Polski poczynając od 1795 roku.

W roku 1569 Rzeczpospolita Polska scalona unią lubelską z Litwą, stała się jednym z najważniejszych ówczesnie mocarstw europejskich. Wtedy też Polska została w silniejszym stopniu zaangażowana do spraw Litwy, której terytorium rozciągało się na olbrzymich obszarach, prawie pustych, w dorzeczu rzeki Dniepru po obu stronach. Od wschodu Polska zaczęła bezpośrednio graniczyć z niebezpiecznym sąsiadem - Rosją carską rodu Romanowów, natomiast od południa i południowego wschodu zetknęła się z równie drapieżnym państwem - z imperium Osmańskim wielkiego sułtana tureckiego, oraz jeszcze bardziej dzikimi ludami tatarskimi, należącymi do Chanatu Krymskiego. W tym czasie chanat ten był zależny od imperium tureckiego.

Dzikie Pola - nazwa ta wiernie odzwierciedlała tereny położone w dolnym biegu dwu rzek: Dniepru i Bohu - były to olbrzymie pustacie porośnięte bujną, wysoką trawą, burzanami, małymi krzakami, pełne wądołów, zapadlisk, jarów biegnących prostopadle do biegu rzek, strumieni i potoków. Wzdłuż

rzek i większych strumieni, z rzadka rozsiane były futory i prymitywne osiedla miejscowej ludności zwanej "Kozakami"; nazwa ta jest pochodzenia turecko-tatarskiego. Z biegiem czasu na terenach, które stanowią będą przedmiot naszych zainteresowań, nazwa "Kozak" przylgnęła do ludzi uchodzących w stepy, którzy przeważnie byli w kolizji z ówczesnym prawem rządzących, i żyjących w tych stepach na własną rękę jako ludzie wolni i niezależni. Życie to prowadzili w różny sposób, nierzadko jednak równoznaczny ze zwykłym rozbojem.

Duża część Kozaków-rozbójników rekrutowała się z terenów centralnej, a przede wszystkim wschodniej Polski, a także z Bałkanów: Mołdawii, Węgier, z terenów opanowanych przez Turcję, oraz z przyległych księstw ruskich, gdzie szczególnie niewola i sposób traktowania ich przez władców tych krain dawała się poddanym we znaki.

Słowo "Kozak" zawiera w swym znaczeniu również elementy junactwa, pełnej niezależności, a zarazem bandytyzmu. Powstanie i historia Kozaczyzny wiążą się nierozdzielnie z takimi pojęciami geograficznymi, jak Dniepr, Niż, Zaporozże i Ukraina.

Ukrainą, / okraina, coś na skraju terenu / ukrainami określano w wiekach XIV-XV i w Polsce, i w sąsiadującym z nią Wielkim Księstwie Litewskim krąje i regiony pograniczne, leżące na obrzeżu tych państw. W ciągu XVI stulecia Ukrainą zaczęto nazywać powszechnie kraj położony nad Dnieprem, obejmujący dwa województwa Rzeczypospolitej: kijowskie i brackławskie położone na terenach na południe od Kijowszczyzny. W pierwszej połowie XVII wieku doszło tu jeszcze województwo czernihowskie, rozciągające się na północ i północny wschód od Kijowa.

Były to tereny zamieszkałe przez ludność "ruską" pochodzenia słowiańskiego, nie wszystkie jednak ziemie etnicznie "ruskie" wchodziły w dawnych czasach w skład terytorium objętego wspólną nazwą Ukrainy. Poza nim pozostawały np. Wołyń i Podole.

W XIX wieku pojęcie terytorium Ukrainy rozszerzało się coraz bardziej, obejmując wszystkie ziemie etnicznie ukraińskie; jednocześnie nazwy Ruś, Rusini, język ruski itp. zaczynają powoli wychodzić z użycia. Na ich miejsce pojawiają się nowe terminy: Ukraina, Ukraińcy, język ukraiński. W tym czasie decydujące wpływy w tej dziedzinie zaczyna mieć ośrodek dyspozycyjny carskiego reżimu moskiewskiego.

Nacjonałisci rosyjscy / a częściowo także i polscy / nie chcieli uznać nowych nazw wydając im zaciętą walkę. Równocześnie wielkoruski szowinizm trwał z uporem przy wygodnych dla niego nazwach: Małorosja, małoruski itd. W carskiej Rosji w ogóle zabraniano używać nazwy Ukraina i nie uznawano narodowej odrębności mieszkańców tych ziem, czyli Ukraińców.

I tu właśnie dochodzimy do sedna sprawy, do narodzin nienawiści rdzennych Ukraińców do wszelkiego rodzaju zniewolenia oraz wszystkiego i wszystkich, co to zniewolenie narzucają i wprowadzają w czyn.

Jeżeli na mapie Ukrainy będziemy śledzić bieg Dniepru ku Morzu Czarnemu, zobaczymy, że w pewnym miejscu, w niewielkiej odległości od ujścia Samary, Dniepr raptownie, niemal o  $90^{\circ}$  zmienia kierunek i płynie odtąd na południe. W miejscu tym bowiem rzeka natrafia na ogromne, skaliste podłoże, rozciągające się daleko na wschód, a w głębi ziemi na zachód docierając aż do rzek: Skuczny i Horynia. Fale Dniepru z hukiem rozbijają się o te skały, występujące tutaj na powierzchni. Przypomina to potężne, aczkolwiek niezbyt wysokie wodospady.

To skaliste podłoże, ciągnące się na południe około 80 km, tworzy specjalne podwodne progi, w języku ruskim/dzisiejszym ukraińskim/ zwane "porohami". Porohy ogromnie utrudniały, a często nawet uniemożliwiały żeglugę po tej największej rzece Ukrainy.

Wyżenne tereny z "porohami" dzieliły nie tylko Dniepr, ale również i cały ten kraj na dwie części geograficzne. W XV wieku, na północ od nich, po obu stronach środkowego biegu rzeki rozpościerała się lesista, wyżyna i stosunkowo ludna ziemia, gdy tymczasem na południe ciągnęły się wielkie, nizinne, pustynne obszary stepowe, zwane *Н і ж е м* albo *З а п о р о ж е м*, to znaczy krajem za "porohami".

Na północ od Zaporozża leżało Wielkie Księstwo Litewskie, na południe - Chanat Krymski, natomiast dalej na wschód, za terenem Chanatu Krymskiego ciągnęły się bezkresne terytoria carstwa rosyjskiego.

W ciągu XIV i XV wieku Wielkie Księstwo Litewskie, potężne wówczas państwo, rozciągnęło swe granicę w drodze walk z Tatarami daleko na południowy wschód, niemal do wybrzeży Morza Czarnego, obejmując również i Zaporozże.

Tak więc nominalnie Zaporozże należało aż do roku 1569 do Litwy, faktycznie jednak był to typowy "kraj niczyj". Ten kraj właśnie stał się kolebką Kozaczyzny ukraińskiej. W XV stuleciu i później Zaporozże było krajem dzikim. Wśród stepów napotkać można było jedynie Tatarów, awanturników, łowców przygód, czy też zwykłych rozbójników i "dobyczników". Nic dziwnego, że do terenów tych przyłgnęła nazwa Dzikich Pól, znana dobrze w Polsce chociażby z lektury "Ogniem i Mieczem" H. Sienkiewicza.

Z biegiem czasu Tatarzy, czując się w tym okresie panami Dzikich Pól zaczęli napotykać coraz bardziej wzmożony opór Kozaków intensywnie zasiedlających lewo i prawobrzeżne tereny naddnieprzańskie. W czasie napa-  
dów Tatarzy uwozili ze sobą na Krym w tzw. "jassy" tysiące ludzi.

Dzikie Pola stają się wówczas terenem krwawych bitew, podchodów, utarczek obustronnych. Rozpoczyna się proces jednoczenia się Kozaczyzny na-  
przód w małe grupy, a potem w duże oddziały i watahy w celach obronno-za-  
czepnych. Wkrótce Kozacy zasmakowali w tym obronno-rozbójniczym rzemiośle, i sami zaczynają atakować swych napastników, urządzając bardziej śmiałe i dalekie wyprawy konne, a potem na łodziach tzw. "czajkach" w głąb tery-

torium Chanatu Krymskiego. Wyprawy te, często zwycięskie, będą odtąd cierniem w boku ogromnego, drapieżnego państwa tatarskiego położonego nad brzegami Morza Czarnego z centralnym ośrodkiem na Krymie, w Bachczysaraju.

W dalszym rozwoju Kozaczyzny na przestrzeni XVI wieku możemy zaobserwować stały jej wzrost. Coraz więcej amatorów awanturniczego, niebezpiecznego, ale zarazem zupełnie wolnego, nieskrępowanego żadnymi przepisami życia i bytowania ściągają na Niż i Dzikie Pola: z północnej, zaludnionej Kijowszczyzny, z Czerkas, Kaniowa, Braclawszczyzny, Wołynia, Podola, a także z centralnej Polski: z Lubelszczyzny, Mazowsza, Wielkopolski, jak również z Mołdawii i Wołoszczyzny, Krymu, Wielkiego Księstwa Moskiewskiego, Niemiec, nawet z Litwy czy Moraw.

Z biegiem czasu na Zaporozżu zaczynają przybywać ludzie wywodzący się nie tylko z nizin społecznych. M.in. na Dzikie Pola uciekł ścigany polskim prawem Samuel Zborowski, polski magnat, a także mieszkający na terenach rdzennie polskich, ruski szlachcic... Bohdan Chmielnicki i tp.

Kozaczyzna musiała w późniejszym okresie przyjąć formy zorganizowane, założyć swoją stałą siedzibę, którą była tzw. "Sicz", utworzyć stałe oddziały wojskowe. Sicz, to ogromny obóz obronny, położony na niedostępnych, skalistych wyspach na Dnieprze. Tam to właśnie planowano i uradzano wyprawy przeciwko Tatarom, a później polskim wojskom i miastom, w których mieszczanie rekrutowali się przeważnie z polskich rodzin spowinowaconych z miejscowymi ukraińskimi rodami.

W wieku XVI-XVII urzędową władzą była władza polskiego króla, na którą początkowo powoływał się nawet późniejszy hetman kozacki, Bohdan Chmielnicki. W gródkach i miastach rządzą starostowie, którzy bardzo często wpadają w przeróżne konflikty z Kozakami i Niżowcami, którzy żyją przeważnie w terenie wiejskim i futorach stepowych. Zaczyna rodzić się klasowa i ekonomiczno-społeczna bariera, powodująca powstawanie nienawiści pomiędzy rządzącymi i rządzonymi.

Polscy hetmani i królowie werbują do wojsk koronnych bitne oddziały kozackie, które odznaczają się w wielu bitwach i potyczkach, które Rzeczpospolita prowadzi tymczasem z Tatarami, Turkami, a przede wszystkim z Rosją Moskiewską w XVI i XVII wieku. Jednym z głośniejszych ukraińskich hetmanów, współpracujących ściśle z wojskami koronnymi był Piotr Konaszewicz Sahajdaczny. Inni, jak Łoboda czy Malewajko, w powstaniu przeciwko Rzeczypospolitej przeprowadzili masowe rzezie szlachty i ludu polskiego, osiadłego po obu stronach Dniepru, a także na całym Wołyniu i Podolu. Było to w latach 1594 - 1596.

Długi czas Rzeczpospolita na początku XVII wieku prowadziła wojny ze Szwecją o Inflanty, tereny leżące na wschodnim wybrzeżu Morza Bałtyckiego, wokół Zatoki Ryskiej oraz na północy obejmujące dorzecze Dźwiny. Ziemie te, należące do Polski, były przeszkodą dla ówczesnej Rosji carskiej w jej dą-

zeniu do opanowania Bałtyku i wyrąbania sobie "okna na świat i do Europy", oraz uchwycenia w swoje ręce całego handlu z zachodem poprzez własne porty na wybrzeżu, dokąd spływały większe rzeki spławne, mające swe źródła w głębokich centrach rosyjskich. Natomiast Szwecja traktowała Morze Bałtyckie jako swoje terytorium wewnętrzne, służące przede wszystkim do taniego i bardzo wygodnego transportu wewnątrz państwa.

Ten spór trzech państw: Szwecji, Polski i Rosji o panowanie nad Morzem Bałtyckim spowodował trwanie długoletnich wojen pomiędzy tymi państwami w wieku XVI, XVII i nawet XVIII. Były to bardzo wyczerpujące i ciężkie wojny, szczególnie dla Polski, która musiała jednocześnie prowadzić inne walki, na terenie południowym: z Tatarami, Turkami i wreszcie z potężniejącymi ruchami społecznymi na Ukrainie, którymi przewodził w ich największym nasileniu hetman Ukrainy Bohdan Chmielnicki.

Wysiłek zbrojny Rzeczypospolitej w latach panowania Zygmunta III wystarczał jeszcze, by obronić granice. Wojska polskie w kolejnych wojnach oprócz porażek odnosiły też efektowne zwycięstwa. Bitwy pod Kircholmem w pobliżu Rygi, pod Kluszyńem na zachód od Moskwy i pod Chocimiem nad Dniestrem należą zapewne do wielkich triumfów oręża polskiego. Nie wsparte jednakże dalekowzroczą polityką wojskową i społeczno-ekonomiczną, sukcesy te nie gwarantowały Polsce trwałego bezpieczeństwa ani rozwoju.

Istniały nadal przesłanki do nowego konfliktu zarówno ze Szwecją, jak z Rosją i Turcją. Na granicach Rzeczypospolitej nie można było się spodziewać długiego pokoju. W interesie szczególnie Rosji było, aby niepokój ten podsycić i rozszerzać, ponieważ odśrodkowe dążenia wojenne i przemożna chęć opanowania terenów leżących nad Morzem Bałtyckim i Czarnym, dyktowały Rosji takie działania skierowane przede wszystkim przeciwko ówczesnej Polsce.

Do tego celu należało wykorzystać społeczno-rewolucyjne ruchy, które zaczęły się potęgować na rdzennej Ukrainie oraz na Dzikich Polach. Trzeba przyznać, że Rosja wykorzystwała to w sposób iście szatański, wysyłając na te tereny swoich tajnych emisariuszy i podżegaczy, których celem było skierować naturalne ruchy wolnościowe ludu ukraińskiego przeciwko Polsce.

-----

Antagonizm klasowy pomiędzy magnatami i ich szlachecką służbą: oficjalistami, urzędnikami nadwornymi, żołnierzami z jednej strony, a ludnością chłopską i nielicznym mieszczaństwem - z drugiej, podsycaly dodatkowo różnice narodowościowe i religijne między obydwoma stronami. Masy chłopskie były tu ruskie, magnaci zaś i znaczna część szlachty, kleru i warstwy oświeconej, choć byli tego samego pochodzenia, ulegli p o l o n i z a c j i. Poczuli się do solidarności ze szlachtą całej Rzeczypospolitej, a nie z masami chłopskimi. Większość z nich porzuciła także prawosławie, przechodząc na katolicyzm, podczas gdy większość mieszkańców tych ziem trwała przy Kościele wschodnim, którego patriarcha naczelny rezydował w Konstantynopolu. Ze sprzeciwem ludności spotkała się także próba podporządkowania

Kościół wschodniego papieżstwa przez tzw. u n i ę b r z e s k ą. Gdy na synodzie w Brześciu / 1596 r/ dostojnicy prawosławni z terenu Rzeczypospolitej podporządkowali się Rzymowi tworząc tzw K o ś c i ó ł g r e c k o - k a t o l i c k i albo u n i c k i, utracili na Ukrainie poparcie wiernego ludu. Po kilkudziesięciu latach Rzeczpospolita musiała znów uznać istnienie na swych kresach wschodnich Kościoła prawosławnego - / 1633, 1635/.

Narażeni na napady tatarskie, Kozacy pozostawali stale pod bronią, powiązani w dziesiątki, setki i pułki z wybieranymi dowódcami. Sami także wyprawiali się po łup na ziemie podległe Turcji. Na łodziach zwanych czajkami docierali aż pod ówczesną stolicę Turcji, do Stambułu.

Liczba Kozaków stale rosła, powiększając się o licznych zbiegów różnej narodowości i stanu, którzy szukali tam bezpieczeństwa, wolności lub zwykłych przygód czy rozboju. Doceniając wartość bojową Kozaczyzny, Rzeczpospolita usiłowała ją sobie podporządkować. Już za króla Zygmunta Augusta pewną liczbę Kozaków wzięto na żołd; zwano ich K o z a k a m i r e g e s t r o w y m i. Do końca XVI wieku objęto jednakże rejestrem jedynie ponad tysiąc Kozaków.

Ale już w połowie XVII wieku ilość Kozaków noszących oręż oceniano na około 40 tysięcy. Była to poważna siła zbrojna, która mogła się stać niebezpieczna dla ewentualnych wrogów.

Należy tu podać, że najlepszy opis życia Kozaczyzny z okresu połowy XVII wieku dał nam francuski podróżnik, inżynier-kartograf Guillaume Le Vasseur de Beauplan / Żilam le wase de boplą/. Podróżnik ten, w swoich odkrywczych podróżach po Europie i Polsce związał się służbowo z wielkim hetmanem koronnym Stanisławem Koniecpolskim, który w późniejszym okresie zlecił mu podróż na Dzikie Pola, gdzie jako specjalista fortyfikuje słynną twierdzę polską K u d a k , a potem Nowy Korzecpol i Krzemieńczuk. Wykonał również całą pracę rysując dokładną mapę dolnego dorzecza Dniepru, następnie opisując kraj, warunki życia ludności, podaje szczegółowy opis ważniejszych miast, a szczególnie Kijowa. Bierze udział w różnych bitwach i walkach podjazdowych z Kozakami i Niżowcami przy boku Koniecpolskiego, a także walcząc z nim wspólnie przeciwko Tatarom. Przy okazji opisał siedzibę Chanatu Krymskiego. Zasługi Beauplana na tym polu są olbrzymie. Pozostawił następnym pokoleniom dwie mapy Ukrainy, mapę ówczesnej Polski, a przede wszystkim dokładny "Opis Ukrainy". Pierwsze wydanie swej pracy Beauplan ofiarował królowi polskiemu Janowi Kazimierzowi.

Na Ukrainie w tym okresie, jak zresztą w całej Rzeczypospolitej, i w ogóle w Europie, podstawą życia gospodarczego, jak również politycznego, była własność ziemską. W owej epoce, zwanej f e u d a l n ą , panującą klasą społeczną była warstwa posiadaczy ziemi - szlachta i magnateria. Od ilości posia-

danej ziemi zależała potęga ekonomiczna, wojskowa i polityczna zarówno całej warstwy, jak poszczególnych jej przedstawicieli. Problem ten wyraziście zarysował się właśnie tu, w tym dzikim kraju nad Dnieprem, gdzie majątki magnackie osiągnęły rozmiary nie spotykane chyba nigdzie indziej w Europie!

-----

Do czasów wybuchu powstania na Ukrainie, do którego dał hasło były pisarz wojska zaporoskiego w służbie Rzeczypospolitej Bohdan Chmielnicki, - w roku 1648, miały miejsce szereg przeróżnych mniejszych powstań i utarczek Kozaków i Niżowców z wojskami króla polskiego. Wszystkie one kończyły się przeważnie przegraną powstańców, pojmaniem przywódców rebelii i ich śmiercią. Część Kozaków szukała więc ratunku poza granicami Polski - w Rosji. Kraj ten zyskiwał w ich oczach coraz większą sympatię i budził nadzieję na pomoc w dziele uzyskania pełnej niezawisłości kraju przed panowaniem polskim, tatarskim czy tureckim.

Jątrzeni przez moskiewskich emisariuszy, Kozacy i Niżowcy czując bezpośredni ucisk polskich panów na swoich plecach, bardziej chętnym okiem zaczęli patrzeć na bratni, zdawałoby się kraj mówiący podobnym językiem, wyznający wiarę prawosławną, i co ważniejsze, przy każdej przegranej walce z wojskami królewskimi, oferujący nieustannie pomoc polityczną, wojskową i gospodarczą, a także udzielający schronienia Kozakom, narażonym na szykany i śmierć ze strony polskich starostów, ścigających ich za udział w powstaniach skierowanych przeciwko polskiemu królowi.

Nadszedł wreszcie czas wyboru właściwego partnera dla Kozaczyzny i Niżowców w ich nieustannej walce o swój twardy byt i niezawisłość. Rzeczpospolita nie mogła już być tym partnerem, ponieważ w tym okresie była niesłychanie osłabiona ciągłymi wojnami z Rosją i przede wszystkim ze Szwecją o prawa sukcesyjne do tronu szwedzkiego, który z racji powiązań spadkowych należał się Zygmuntovi III Wazie i jego potomstwu. W związku z tym, sprawy Kozaczyzny i losy Ukrainy były spychane na dalszy plan.

Na widowni pojawił się znowu Bohdan Chmielnicki. Postanowił on nieodwołalnie ująć w swe ręce ster przygotowań do walki o niezależność Kozaczyzny z wrogami, którym w pierwszym rzędzie stała się Rzeczpospolita. Krzywdy Kozaków i ukraińskich chłopów wyrządzone przez polską magnaterię i część szlachty, zaczął umiejętnie podsycać i naginać do swoich dalekosiężnych planów. Krzywdy ludu ukraińskiego sprzęgły się w tym okresie z jego osobistymi ambicjami i krzywdami.

Bohdan Chmielnicki po śmierci pierwszej żony, Polki Hanny Somkówny, związał się nieopatrznie z inną kobietą, o której względy zabiegał również drugi konkurent, urzędnik chorążego koronnego Aleksandra Koniecpolskiego, podstarości Daniel Czapliński. Odebrano Chmielnickiemu kochankę, skatowano syna z pierwszej żony, zabrano posiadłości w Subotowie koło Czehrynia. Twierdzono przy tym, że Chmielnicki nie ma dokumentów stwierdzających jego prawo do

do własności chutoru. Byłoby jednak naiwnością sądzić, że tylko osobista krzywda legła u podstaw olbrzymiej wojny na Ukrainie, która tymczasem miała się narodzić. Nie o kochankę, czy o chutor Chmielnickiego ruszyła lawina wypadków, nosząca miano w niektórych historiografiach walkę o wolność Ukrainy. Osobista krzywda naszego bohatera, wyrządzona przez rywala suhacego z amorami do jednej kobiety wzmocniła i ugruntowała bezbrzeżną nienawiść do polskiej szlachty, magnaterii i wszyskiego co polskie! Szukał on co prawda sprawiedliwości u króla polskiego Władysława IV, który podobno przyjął go na tajnej audiencji, przyznał mu rację, ale nic konkretnego nie obiecał poza skierowaniem sprawy na drogę sądową.

Miał też król zachęcać Chmielnickiego, by jako żołnierz bronił słusznej sprawy, do Aleksandra Koniecpolskiego zaś wysłał ogólne napomnienie, aby nie czynił krzywd Kozakom. Wróciwszy z Warszawy Chmielnicki przestał się wahać. 1 grudnia 1647 roku wy dobył podstępem cenne dokumenty od pułkownika chorągwi w Czehrynie Barabasza. Miały to być listy królewskie powiadamiające Kozaków o zamierzonej wojnie tureckiej i o ich udziale. Opublikowanie listów królewskich na siczy kozackiej miało spotęgować rozgoryczenie i nienawiść do Polski. Okazanie ich Tatarom, w których Chmielnicki chciał zyskać sprzymierzeńców w ewentualnych rozgrywkach przeciwko Polsce, miało z kolei podjudzić ich przeciw Polsce. Jak widać z tego, Bohdan Chmielnicki w swej zdradzie polskich interesów, dla których służył całe młode życie, **począł staować szeregiem krokiem**, chwytając się przy tym przerażających podstępów i chwyków. Jak twierdzą historycy, dużo w tym jest jeszcze spraw nie wyjaśnionych i spornych.

Tymczasem sprzysiężenie na Ukrainie zaczęło się rozszerzać i część jego uczestników poczęła występować jawnie przeciwko władzy króla polskiego. Okazało się przy tym, że wszystkie nici prowadziły do Chmielnickiego, jako przywódcy mającego nastąpić wybuchu rebelii. Począł mu się palić grunt pod nogami. W grudniu 1647 roku uciekł na Niż, a pod koniec roku zjawił się na Siczy, w siedzibie rady zaporoskiej.

Akcja jego, swym ostrzem była skierowana przede wszystkim przeciwko panowaniu polskiemu, w myśl zasady, że najgorszym wrogiem jest wróg najbliższy, który jest w zasięgu ręki. Trafił na podatną glebę na Zaporozżu. Chmielnicki, jak się okazało wkrótce, był węzłem w lisiej skórze! Miał wybitne zdolności dyplomatyczne oraz wojskowe. Szybko zrozumiał, że powstanie na Ukrainie nie ma tylko szanse powodzenia w wypadku zabezpieczenia się od ataków z tyłu, czyli od Tatarów krymskich, a także od Turków. W walce więc z chrześcijańską Polską nie zawahał się sprzymierzyć z poganami, chociaż, jak twierdził, był praktykującym chrześcijaninem.

-----

Aby zrozumieć późniejszą działalność Chmielnickiego skierowaną przeciwko Polsce, należy przed tym zapoznać się z krótkim życiorysem jednego z najskłaniejszych wodzów politycznych i wojskowych Ukrainy. Urodził się prawdo-



podobnie w Czehryniu w 1595 lub 1596 roku. Jeżeli chodzi o jego pochodzenie społeczne, to wielu historyków wyraża na ten temat różne poglądy. Jedni uważali go za magnata kresowego, inni za bogatego szlachcica czy mieszczanina. Wydaje się jednak, że przyszedł hetman ukraiński, syn Michała Chmielnickiego, był pochodzenia szlacheckiego. Ojciec zginął w bitwie pod Cecorą, gdzie głowę swoją położył również polski hetman Stanisław Żółkiewski, walcząc z Turkami w obronie Rzeczypospolitej.

Sam Bohdan również brał udział w tej bitwie i dostał się do niewoli tureckiej spędzając tam dwa lata. Prawdopodobnie nauczył się tam dość dobrze języka tureckiego, co przydało się mu później w czasie pertraktacji z posłem tureckim w okresie swych rządów na Ukrainie. Był dość starannie wykształcony jak na owe czasy: ukończył mianowicie kolegium jezuickie we Lwowie, gdzie ojciec oddał go zapewne za namową hetmana Żółkiewskiego, u którego wówczas służył. Poznał doskonale język polski, łacinę, co szczególnie było ważne, ponieważ język ten w tych czasach był językiem międzynarodowym.

Dalekosiężne plany polskiego króla, Władysława IV, panującego od 1632 - 1648 roku w Polsce, wiązały się ściśle z osobą Chmielnickiego. Osiągnięcie wybrzeży Morza Czarnego, umocnienie stanu posiadania obszarów na Ukrainie będących we władaniu polskiej szlachty i magnaterii, umożliwić mogła tylko zwycięska wojna z Tatarami, a przede wszystkim z imperium tureckim.

Zwycięska wojna z Krymem i Turcją otwierała Rzeczypospolitej korzystne perspektywy likwidacji dokuczliwych i rujnujących kresy południowo-wschodnie najazdów czambułów tatarskich oraz stopniowego przekształcania się zbrojnej i groźnej Kozaczyzny w element osiadły, niegroźny dla polskiego panowania na tych terenach. Trzeba tu również wspomnieć, że plany wojny z islamem miały także swoje oparcie na arenie międzynarodowej, szczególnie kurii rzymskiej, z czym wiązały się zamierzenia Austrii i Wenecji jako odrębnego państwa, będącego ówczasie potęgą morską na akwenie Morza Śródziemnego. Oba te państwa były stale w konfliktach zbrojnych z Turcją.

W ten sposób ambitne plany polskiego monarchy, wyrosłe z konkretnej sytuacji i układu sił, wydawały się bardzo realne. Z początku wszystko sprzyjało królowi.

W styczniu 1644 roku hetman koronny Stanisław Koniecpolski odniósł kolejne wielkie zwycięstwo pod Ochmatowem odpierając najazd ordy tatarskiej na ziemie Rzeczypospolitej. Z kolei wiosną 1645 roku nowa wojna między Polską a Turcją. W porozumieniu z Królem Chmielnicki rozpoczął werbunek Kozaków na usługi wojsk polskich w wojnie z potęgą turecką.

Jednakże opozycja królewska nie zasypiała gruszek w popiele. Chodziło tu o zatwierdzenie różnych przywilejów i ulg dla Kozaczyzny, którym król sprzyjał i zamierzał realizować. Wiązało się to z ponoszeniem ciężarów przez magnatów i szlachtę jak ekonomicznych, tak i wojskowych, na które właściciele ogromnych obszarów na Ukrainie absolutnie nie chcieli się zgodzić.

Prowadzone w tajemnicy przez króla przygotowania wojenne, po ich ujawnieniu, wywołały nieoczekiwany skutek. Szlachta i magnateria, poza nielicznymi właścicielami obszarów, nadanych im przez króla, a którym wojna była na rękę, obawiała się dwóch rzeczy: fatalnych skutków ewentualnej klęski, i nie mniej fatalnych dla niej skutków zwycięstwa!

Bano się jak ognia ruchów Kozaczyzny, wspomaganej przez ewentualnych wrogów Rzeczypospolitej, ale bano się również absolutystycznej władzy króla, który mógł zaszkodzić w ten sposób szlachcie i magnatom. Na sejmie w Warszawie w 1646 roku plany wojny tureckiej upadły, a zwolennicy króla Władysława IV i on sam ponieśli klęskę.

Krach polityki królewskiej odnośnie zamierzeń wschodnich wywołał piorunujące wrażenie na całej Ukrainie, a szczególnie na Zaporozżu, które żyło tymi przygotowaniami do wymarzonej wojny, mającej w perspektywie z bogacenie się starszyny kozackiej ogromnymi łupami na Turkach. Nienawiść do polskich rządów wybuchła jak pochodnia! Trzeba było już tylko człowieka, który by dał natychmiastowe hasło do bezpardonowej walki z "Lachami" i stanął na jej czele. Człowiekiem tym stał się właśnie Bohdan Chmielnicki...

-----

J dnio 29 kwietnia 1648 roku rozpoczęła się pierwsza bitwa wojsk Chmielnickiego pod Żółtymi Wodami nad rzeczką Żółtą, dopływem Ingulca, który z kolei wpada do Dniepru w pobliżu Morza Czarnego. Wojska koronne zostały pokonane w dwuczęściowej bitwie: nad bagnami rzeki Żółtej i w pobliżu miejscowości Kniazi Bajraki. Boje te trwały do 16 maja i zakończyły się zupełną klęską awangardowej armii polskiej pod ogólnym dowództwem młodego magnata Stefana Potockiego. Zmarł on od ran odniesionych w tej walce, a do niewoli popadł, oprócz wielu dowódców i zwykłych żołnierzy, przyszły bohater wojny narodowej ze Szwedami Stefan Czarniecki oraz ruski szlachcic w służbie hetmanów polskich Iwan Wyhowski, którego Chmielnicki później podniósł do rangi generalnego pisarza wojsk zaporoskich. Po śmierci Chmielnickiego był dłuższy czas ukraińskim działaczem, a nawet hetmanem wojsk zaporoskich, prowadzącym ugodową politykę z Rzeczpospolitą.

Po tym pierwszym, jakże ważnym psychologicznie zwycięstwie nad rozdzielonymi polskimi wojskami, Chmielnicki postanowił działać natychmiast dalej, wykorzystując to kompletne zaskoczenie. Zaczął wykazywać własną, niezależną inicjatywę od tatarskich sprzymierzeńców, i będąc głównym wodzem ogólnego powstania i wyprawy przeciwko Polsce, ruszył swym pochodem dalej na północ, dochodząc do Dniepru w okolicach Kremieńczga, Kryłowa i Czehrynia.

W tym czasie główne siły polskie pod wodzą koronnych hetmanów: wielkiego Potockiego, ojca młodego Stefana, i polnego-Kalinowskiego, dążyły na południe, w celu połączenia się z awangardową armią przednią, o której zniszczeniu jeszcze nie wiedziały, dotarły w okolice Korsunia i tam nastąpiło spot-

kanie głównych wojsk polskich i zaporoskich... dniu 26 maja 1648 roku Kozacy wspólnie ze sprzymierzonymi oddziałami tatarskimi odniosły nowe błyskawiczne zwycięstwo. Przon wojsk polskich, armia koronna licząca ponad 5 tysięcy żołnierzy przestała istnieć. Była ona podporą panowania polskiego na Ukrainie. Obaj hetmani, Mikołaj Potocki i Stanisław Kalinowski, dostali się do niewoli.

-----

W tymczasem na lewobrzeżnej Ukrainie zaszły bardzo ważne wydarzenia, które barwnie opisał Henryk Sienkiewicz w I tomie "Ogniem i mieczem". Chodzi tu o kontrofensywę księcia Jeremiego Wiśniowieckiego skierowaną z lewego brzegu Dniepru przeciwko zwycięskiej armii Chmielnickiego.

Wybuch powstania zastał księcia Jeremiego Wiśniowieckiego w 1648 roku w jego olbrzymim księstwie na Zadnieprzu ze stolicą w miasteczku Lubnie, położonym na południowy wschód od Kijowa nad rzeką Sułą. Posiadał on do swojej dyspozycji ponad sześć tysięcy doborowego, dobrze wyćwiczonego żołnierza, oraz kilka tysięcy łżej zbrojnych, rekrutujących się z miejscowych Kozaków będących na służbie księcia.

Na wieść o klęsce pod Korsuniem, w dniu 28 maja 1648 roku, w dwa dni po przegranej bitwie przez koronne wojska, Wiśniowiecki ruszył w kierunku na zachód do Dniepru zajmując po drodze szereg mniejszych miejscowości, oraz Perejasław i Trechtymirów, gdzie częściowo zniszczył załogi sprzyjające powstańcom, a częściowo wziął je do niewoli, szykując przy tym do forsowania Dniepru. Jednakże wobec silnego przeciwdziałania dużych podjazdów nieprzyjacielskich, które uniemożliwiły przekroczenie rzeki ~~całej~~ armii wraz z cywilną ludnością, która udawała się w pochód razem z wojskiem w obawie przed rzezią i rabunkiem - po naradzie z dowódcami wojskowymi, książę postanowił zastosować manewr taktyczny i obejść główne siły Chmielnickiego od strony północnej.

Rozpoczął się słynny pochód armii księcia Jeremiego Wiśniowieckiego z Zadnieprza, który przyniósł mu ogromny rozgłos i sławę wśród współczesnych i nawet potomnych, dając jeden z niewielu ówczesnie przykładów sztuki wojennej zastosowanych z powodzeniem w walkach przeciwko zwycięskiemu, jak dotychczas, armiom hetmana Bohdana Chmielnickiego.

Wojenny szlak armii "Jaremy", jak nazywali go Ukraińcy i Kozacy, wiódł od Perejasławia na wschód od Kijowa w kierunku na Basań, Niżyn do Czernihowa nad rzeką Desną. Tam przekroczył tę rzekę kierując się na zachód poprzez ogromne mokradła i bagna a także gęste lasy, które pokrywały północne obszary graniczące z jego księstwem. Po Lubeczem przekroczył największą rzekę - Dniepr. Armia ta musiała pokonywać po drodze ogromne trudności komunikacyjne dla swojego taboru konnego, który ciągnął nieprzerwanie za głównymi oddziałami idącymi z przodu i przecierającymi wciąż drogę w bagnistym i lesistym terenie, gdzie dotychczas nie przejechał konny zaprzęg. Należało ułożyć dziesiątki kilometrów zwalonych pni drzewnych na usypanych groblach, budowano

mosty drewniane, przeprawy łodzowe, tratwy. Na południowy wschód od Hozyra armia Wiśniowieckiego przebyła drugą większą rzekę, Frypeć, gdzie książe postanowił, skrajem księstwa ruskiego starym szlakiem prowadzącym przez Owrucz, Horoszki, w pobliżu Olewska do Korca i Zviahla na Wołyniu, skierować się w stronę Żytomierza. Tu zamierzał niespodziewanie stanąć naprzeciwko czołowym formacjom Chmielnickiego i rozpocząć z nimi walkę.

Oprócz kilkutyśięcznej armii w pochodzie brali udział tysięczne rzesze szlachty polskiej, ich rodziny a także masy Żydów, którym w razie dostania się w ręce wojsk Chmielnickiego lub zbuntowanego chłopstwa groziła straszna śmierć wśród wyrafinowanych męczarni. Ten wielki exodus/ucieczka, odwrót/ Żydów z Ukrainy znalazł doskonałego narratora w osobie Natana Hannowera, który barwnie i tragicznie opisał wydarzenia z roku 1648 i kilku jeszcze następnych lat. Kronika Hannowera, napisana po hebrajsku, szybko rozpowszechniła się wśród polskich Żydów, a przełożona w ciągu wieków na wiele europejskich języków i język polski, jest niezastąpionym źródłem opisu całej wyprawy wojennej księcia Jeremiego Wiśniowieckiego na obszarze Środkowego i Wschodniego Wołynia.

W lipcu 1648 roku doszło do wielkiej bitwy pomiędzy wojskami Wiśniowieckiego i pułkownika kozackiego Maksyma Krzywonosa pod Konstantynowem, Machnówką i Berdyczowem. Armia kozacka została częściowo pobita i zatrzymana na jej głównym kierunku na zachód. Następne walki pod Pohrebyszczami, Wachnówką, Ostropolem, Połonnem, częściowo pod Ostrogiem i Korcem udowodniły, że bitna mała armia książecka, jest bardzo niebezpieczna dla głównych sił kozackich, wiedzionych przez Chmielnickiego w kierunku od Korsunia przez Białą Cerkiew, Piławce, Stary Konstantynów do Zbaraża, potężnej twierdzy polskiej, dokąd zdążył również Wiśniowiecki.

-----

Po nieudanej wyprawie Chmielnickiego w głąb Rzeczypospolitej w 1648 roku, gdzie doszedł jedynie pod Zamość i Lwów, których nie udało mu się opanować, po śmierci króla Władysława IV wrócił ze swoją armią i wspomagającymi Tatarami do centralnej Ukrainy. Rozpoczęły się przygotowania do nowej wojny na początku 1649 roku. Chwilowy rozejm nie był dotrzymywany przez obie strony. W maju tego roku Kozacy wpadli sporym oddziałem niespodziewanie do Ostroga nad Horyniem, mordując ponad czterysta osób cywilnych, przeważnie Żydów i polskich mieszczan. W odwet oddziały kasztelana kamienieckiego Lanckorońskiego zaatakowały niespodziewanie dla strony kozackiej miasto i twierdzę Bar, leżące na północny wschód od Kamieńca Podolskiego, wypierając stamtąd oddziały powstańców kozackich i zajmując miasto i twierdzę.

Na początku lata 1649 roku rozpoczęły się normalne działania wojenne na Podolu i południowych obszarach Wołynia skierowane przeciwko nowej, potężnej armii Chmielnickiego, wspomagananej ponownie przez oddziały tatarskie chana Islama Gireja. W lipcu pojawiły się one pod Zbarażem.

Siły polskie wynosiły około 9 tysięcy żołnierzy i dalszych 15 tysięcy czeladzi i ochotników, a także około tysiąca ludzi pochodzących ze stałej załogi twierdzy w Zbarażu. Razem ponad 15 tysięcy ludzi. Natomiast źródła historyczne co do liczebności wojsk tatarsko-kozackich są sprzeczne.

Liczba ta waha się w granicach 7-8 razy większej od polskich wojsk. Na korzyść Polaków należy niewątpliwie zapisać potężne mury twierdzy z XVII wieku, dobrze opatrzone i przygotowane przez regimentarzy i Jeremiego Wiśniowieckiego do obrony.

Wspaniały opis obrony twierdzy zbaraskiej możemy znaleźć w II tomie powieści Henryka Sienkiewicza "Ogniem i mieczem", gdzie przy okazji śledzenia losów głównych bohaterów, mamy piękne opisy poszczególnych walk i bitew obronnych polskiej armii, dowodzonej w ostatniej fazie zmagania przez księcia Jeremiego Wiśniowieckiego, pogromcy przednich wojsk kozackich z roku 1648 na przedpolu Zbaraża.

Kiedy rozgrywała się owa tragiczna, bohaterska epopeja Zbaraża w lecie 1649 roku, stanowiąca wspaniałą kartę w dziejach polskiego oręża z tych czasów, od północnego zachodu ciągnęła na pole bitwy pod Zbaraż kilkunastotysięczna armia pod wodzą samego, nowoobranego króla polskiego Jana Kazimierza. Dążyła ona ze stolicy Warszawy przez Lublin, Zamość, Sokal i Złoczów, prawie nic nie wiedząc o losach obrońców Zbaraża, zamkniętych szczelnie w twierdzy przez połączone armie kozackie i tatarskie.

Dopiero 7 sierpnia 1649 roku, kiedy król ze sztabem armii zatrzymał się chwilowo w Toporowie na wschód od Złoczowa, dotarła wiadomość z oblężonej twierdzy o sytuacji, jaka tam panowała. Przyniósł ją towarzysz pancerny z chorągwi Wiśniowieckiego, Skrzetuski, któremu dzięki podstępowi i nadludzkemu wysiłkowi udało się przedrzeć przez pierścień wojsk kozacko-tatarskich do armii królewskiej.

-----

Ugoda zborowska podpisana w podolskim miasteczku Zborowie, położonym pomiędzy Złoczowem a Tarnopolem była krótkotrwała. Dla Rzeczypospolitej oznaczała ona przejście na ustępstwa w stosunku do Kozaczyzny równoznaczne z utratą kontroli i wpływów na obszarach zadnieprzańskich i częściowo położonych po prawej stronie Dniepru. Realnie rzecz biorąc powrót do stanu sprzed wojny w 1648 roku i następnej, był możliwy tylko na drodze zwycięskiej rozprawy z Kozakami i ich zerwania z przymierzem z Tatarami, a także przepędzenia z terenów Ukrainy rosyjskich emisariuszy i podżegaczy.

Dla Chmielnickiego ugoda zborowska była również niewystarczająca. Dążył on do całkowitego uniezależnienia się od władzy polskiej, którą uważał za główną przeszkodę w odzyskaniu samodzielności Ukrainy. Ugoda przewidywała powrót Kozaków do poddaństwa królowi polskiemu, co musiano potraktować jako żądanie bez pokrycia, ponieważ nie było poparcia odpowiedniej zbrojnej siły,

ale groziła powrotem polskiej szlachty i magnaterii do jej dóbr i majątków opuszczonych na czas wojny na Ukrainie. A to oznaczało oczywiście zaprzepaszczenie wszystkich tych zdobyczy, które przyniósł pierwszy rok wojny pomiędzy Rzeczpospolitą a Kozaczyzną pod dowództwem Bohdana Chmielnickiego.

Nienawiść pomiędzy Kozaczyzną a Polakami rosła, podsycana obficie krwią cywilnej ludności mordowanej bez litości przez wojska kozackiego hetmana na drodze swego pochodu. Stronnictwo pokojowego rozwiązania nabrzmiałego problemu Kozaczyzny, którego ze strony polskiej wybitnym przedstawicielem był kanclerz Ossoliński, snuło dalej plany rozbicia **złubnego** dla Polski przymierza ukraińsko-tatarskiego. Ossoliński powracał wciąż z uporem, do koncepcji zmarłego króla Władysława IV: rozkładowania napięcia w dorzeczu Dniepru i w ogóle rozwiązania problemu kozackiego w drodze wojny z islamem. W układy zborowskie Ossoliński, jako ich twórca, zupełnie nie wierzył i uważał za swistek papieru. W tym okresie zaczynały się zarysowywać perspektywy utworzenia koalicji antytureckiej, szczególnie na Bałkanach, w której Polska miała zająć naczelne miejsce. Przewidywano wciągnięcie Kozaczyzny do tego układu antyislamskiego. Po cichu nawet chan krymski, wasal imperium tureckiego, proponował Rzeczypospolitej swój udział.

Republika Wenecka, zainteresowana w osłabieniu tego imperium ze względu na utrudnianie przez Turków handlu Republiki ze Wschodem, w pewnym okresie wysyłała nawet poselstwo do Chmielnickiego aby pozyskać go do tych planów.

Ale hetman zaporoski miał się na baczności: jeden niezręczny krok w tak delikatnej grze dyplomatycznej mógł go kosztować bardzo wiele - zemstę Turcji, a zapewne i Tatarów, którzy mimo swych dążeń do wyłamania się z pod dominacji tureckiej musieliby w końcu iść razem ze swoimi mocodawcami.

Jednakże Chmielnicki najbardziej obawiał się tego, że w wypadku powstania koalicji antytureckiej, Rzeczpospolita uzyskałaby znowu poważny wpływ na Kozaczyznę i przejęcie dowództwa wojsk zaporoskich przez Polaków. Wkrótce jednak, po śmierci kanclerza Ossolińskiego, poniosła klęskę idea rozwiązania problemu kozackiego w Rzeczypospolitej przez skierowanie sił wojskowych Kozaków na wojnę z **połksiężycem**. Był to poważny cios dla planów antytureckich nie tylko w Polsce, ale i w Europie.

-----

Tymczasem, co jest bardzo ważne w naszych rozważaniach na temat stosunku Ukraińców do Polaków, sytuacja przywódcy ukraińskiego w tym okresie zaczęła się niesłychanie komplikować. Ukraina była już prawie niezależna z własną ogromną armią, bitnymi Kozakami i zręcznym hetmanem, który jak tylko mógł lawirował pomiędzy przymierzem z Tatarami, wojną z Polską, a zarysowującą się zupełną uległością wobec cara moskiewskiego. Niebezpieczni sprzymierzeńcy tatarscy, szukający przede wszystkim rozboju i dobrych łupów wojennych, oraz prowokatorzy i wysłannicy cara rosyjskiego, naglili Chmielnickiego do nowej wyprawy wojennej przeciwko Polsce. Tatarzy nosili się rów-

nież w tajemnicy przed Turkami, z zamiarem ograbienia i złupienia sąsiednich ziem należących do cara moskiewskiego, do czego skłaniali ich także niektórzy dyplomaci polscy, tym bardziej, że Polska była przez dłuższy okres w stanie wojny z Moskwą.

Ale Chmielnicki za żadną cenę nie chciał wystąpić przeciwko temu krajowi. Stał na stanowisku, że Moskwy nie tylko nie może sobie zrażać, lecz wręcz przeciwnie: musi stale zabiegać o jej pozyskanie dla swoich celów, zapominając o tym, że i Moskwa miała już gotowe, zupełnie odrębne, dalekosiężne plany i cele dotyczące losów Ukrainy lewo i prawobrzeżnej! Wkrótce też miał się o tym przekonać, jeszcze za czasów swego życia.

Kozacki przywódca umiał, jak narazie zręcznie lawirować między otaczającymi Kozaczyznę potęgami. Zarówno nowe konszachty z Turcją, jak i inne poczynania hetmana w tym okresie obliczone były przede wszystkim na kontynuowanie wojny z Polską i doczekania zwycięskiego końca, którego jak dotychczas wcale nie było widać. Zabezpieczał sobie coraz wyraźniej pomoc tatarską do walnej rozprawy z Polską, która zaczęła się już zarysowywać.

Zaczął na wstępie wysyłać swoich emisariuszy do rdzennej Polski, którzy wykorzystując rozdzwinki pomiędzy chłopami i szlachtą, podburzali chłopów do krwawego rozprawienia się ze swoimi panami i przejścia na stronę ukraińskiego przywódcy. Trzeba jednakże zaznaczyć, że Chmielnicki bynajmniej nie dążył do zniesienia ustroju feudalnego w swym kraju, ani gdzie indziej. Życzył on sobie polepszenia doli chłopów ukraińskich jedynie po to, aby związać ich całkowicie z walką o swoje dalekosiężne plany wyrwania się z pod panowania Polski i ugruntowania swej władzy nad nimi i obszarami ogarniętymi powstaniem Kozaczyzny. Ustrój feudalny pozostał nad Dnieprem ugruntowany na dobre jeszcze bardzo długo, chociaż cel został osiągnięty: masy Kozaków na Ukrainie były główną i decydującą siłą powstania.

Tymczasem walna rozprawa wojsk Chmielnickiego z wojskami Rzeczypospolitej zbliżała się szybkimi krokami:

-----

Wiosną 1651 roku obie strony, polska i Ukraińska, czyniły ostatnie przygotowania do wojny. Król Jan Kazimierz na czele poważnych sił wojskowych ruszył na spotkanie armii kozacko-tatarskiej, która w tym okresie zdążyła wyruszyć z wiosennych stanic w głąbi ukraińskich stepów i dotrzeć na środkowy Wołyń, a następnie posunąć się jeszcze dalej, na spotkanie armii polskiej. W końcu czerwca 1651 roku armia polska zagrodziła drogę hordom tatarsko-kozackim na szlaku prowadzącym wprost do centrum Polski: przez Zamość do Warszawy.

W dniu 27 czerwca 1651 roku przednie straże wojsk polskich doniosły królowi Janowi Kazimierzowi, że nieprzyjaciel znajduje się już w okolicach wołyńskiego miasteczka leżącego nad błotnistą rzeką Styrem, Beresteczkiem. W tej okolicy do Styru wpadało kilka małych rzeczulek, tworząc rozległą błotnistą dolinę. Tu właśnie miała się rozegrać długotrwała, krwawa bitwa.

Armia polska, której wodzem naczelnym był sam król Jan Kazimierz liczyła około 60-70 tysięcy żołnierzy, przeważnie jazdy, natomiast armia kozacko-tatarska ciągnąca pod Beresteczko nie liczyła więcej niż około 100 tysięcy jazdy i chłopstwa uzbrojonego dość prymitywnie, ale palającego chęcią zdobycia łupów i skosztowania "lackiej" krwi!

W tym momencie należałoby znowu mojego czytelnika odesłać do opisu tej gigantycznej bitwy w zakończeniu powieści H. Sienkiewicza w II tomie "Ogniem i mieczem", gdzie szczególnie barwnie opisał on wspaniałą walkę oddziałów husarii, na czele której stał doświadczony wojownik i pogromca części wojsk Chmielnickiego, księżę Jeremi Wiśniowiecki, którego syn dojdzie wkrótce do godności najwyższej w Rzeczypospolitej, jako król Michał Korybut Wiśniowiecki.

Gigantyczna bitwa pod Beresteczkiem trwała trzy pełne dni: od dnia 28 czerwca do 30 czerwca 1651 roku i zakończyła się całkowitym zwycięstwem armii polskiej. Potężnym taborem kozackim, w którym resztki oddziałów wojsk Chmielnickiego postanowiły się bronić, dowodził znany z powieści rywal Skrzetuskiego, ubiegający się o rękę pięknej Heleny Kurcewiczówny - Iwan Bohun. Kierował on ogólnym odwrotem Kozaków z pod Beresteczka, ale wkrótce musiał ratować swe życie uciekając wraz z oddziałem wiernych żołnierzy z pola bitwy.

Cios zadany siłom militarnym ukraińskiego powstania kierowanego przez Bogdana Zenobiego Chmielnickiego pod Beresteczkiem całkowicie zmienił jego poglądy na sprawę niepodległości Ukrainy. Przekonał się ostatecznie, że polityka siły, grabieży, zemsty i gwałtu, którą prowadził od początku powstania i ugruntowania swej władzy nad Kozaczyzną na terenach opanowanych w trakcie zacieklej i bezpardonowych walk, nie daje pożądanego efektów, a jedynie niesłychanie wyniszcza siłę ludzką oraz sprowadza ruinę gospodarczą jak w Rzeczypospolitej, tak i na Ukrainie.

Jako mąż stanu i dyplomata, Chmielnicki zrozumiał w końcu, że Ukraina rzucona pomiędzy sąsiadujące z nią mocarstwa, nie może sobie pozwolić na dłuższą metę na luksus prowadzenia zupełnie niezależnej polityki i gospodarki. Sojusz z Tatarami, a pośrednio i z Turcją zaczął powoli ciążyć Ukrainie i samodzielnej polityce jej przywódcy. Krym i Stambuł coraz bardziej dawały odczuć, że dążą jedynie do całkowitego opanowania żyznych ziem położonych w dorzeczu Dniepru i zniewolenia jej mieszkańców. Sąsiednie kraje jak Mołdawia i Wołoszczyzna już dawno jęczały pod butem tureckim i to samo rysowały się w najbliższych latach jako przerażająca wizja przyszłości Ukrainy.

Zachwianie się potęgi Rzeczypospolitej po ciężkich wojnach z Kozaczyzną i innymi wrogami wywołało pewien niepokój na Krymie, który nie życzył sobie zbyt dużego wzrostu siły Kozaków. Było to zrozumiałe. Chodziło tu o równowagę sił pomiędzy Chanatem i Turcją, a z drugiej strony między Rosją i Polską,



do której nominalnie należała Ukraina. Zmiana układu sił na tym terenie prowadziła nieuchronnie do wybuchu konfliktu pomiędzy tymi potęgami, a w efekcie do nieznanego wyniku tych zmagania w tym okresie. Rzeczpospolita nie raz dawała odczuć agresorom siłę jej oręża i wartość swoich żołnierzy i dowódców. W dzikim zaślepieniu Chmielnicki skierował swe myśli i działania w kierunku sojuszu z Moskwą przeciwko najbliższemu wrogowi, czyli Rzeczypospolitej doprowadzając w 1654 roku do ugody perejasławskiej z carem rosyjskim.

Rosja prowadząc przez dłuższy okres wojny z Polską i później ze Szwecją nie traciła z oczu w swej zaborczej polityce spraw Ukrainy, a przede wszystkim obszaru Zadnieprza położonego po lewej stronie dorzecza Dniepru a sąsiadującego bezpośrednio z obszarami carstwa rosyjskiego. Na początku wojny Polski z Kozaczyzną kierowaną przez Chmielnickiego, Moskwa odnosiła się z pewną rezerwą do powstania, nie będąc pewna jeszcze wyników, sądząc, że Rzeczpospolita poradzi sobie z tym buntem, jak i z wieloma innymi, które zostały ugaszone i przywrócony stan poprzedni. Ten pozorny brak zainteresowania był tym większy, że od 1634 roku panował między Rosją a Polską tzw. "wieczny pokój", niekorzystny wprawdzie dla Rosji, mimo to przestrzegany przez nią.

Taństwo cara przeżywało wówczas bardzo poważne wstrząsy wewnętrzne: powstania w większych miastach np. w Nowogrodzie i Pskowie. W tych warunkach Rosja nie mogła jeszcze sobie pozwolić na otwartą agresję w sprawie Ukrainy i Polski.

Nie mogąc pokonać militarnie Polskę w sojuszu z Tatarami, którzy zdradzili go przy łada okazji dla celów grabieżczych, Chmielnicki zwrócił swoją uwagę na Mołdawię. Ze względu na odmowę oddania ręki swej córki przez gospodarza mołdawskiego Bazylego Lupula. Rozandy synowi Chmielnickiego - Tymofiejewowi, rozpoczął hetman Ukrainy wojnę z Mołdawią, mając na względzie wzmocnienie swej pozycji na Bałkanach oraz ewentualnie podnieść autorytet swej rodziny, która przez to małżeństwo mogła stać się dynastią panującą i w Mołdawii i na Ukrainie.

Jednakże, po chwilowych sukcesach, w dalszych walkach Tymofiej został zabity, a hetman poniósł klęskę w Mołdawii; x Tatarzy w roku 1653 zawarli ugodę z Polakami, w której potwierdzono pokój zborowski. Wydarzenia te przecięły ostatecznie wahania Chmielnickiego, który postanowił od tego czasu poddać się całkowicie pod opiekę cara rosyjskiego.

-----

W dniu 18 stycznia 1654 roku doszło do podpisania ugody perejasławskiej w mieście Perejasławiu, leżącym na połowie drogi pomiędzy Kijowem a Łubniami, dawną stolicą księstwa Wiśniowieckich. Z ramienia cara umowę podpisał poseł cara Aleksieja - Buturlin, a z drugiej strony sam Chmielnicki w asyście starszyny kozackiej, ślepo wykonującej rozkazy i polecenia Chmielnickiego. W Rosji widziano obrońcą wiary prawosławnej, sojusznika w tamowaniu powrotu szlachty i magnaterii na Ukrainę, a także pomoc w obronie przeciw

agresji tureckiej i tatarskiej z południa. Położenie geopolityczne przemawiało za takim a nie innym rozwiązaniem problemu ukraińskiego przez Chmielnickiego.

Uгода perejasławska była też bezpośrednią przyczyną wybuchu nowej wojny polsko rosyjskiej o obszary leżące w dorzeczu górnego i dolnego Dniepru, czyli o Białoruś i Ukrainę. Na północy armie rosyjskie odnosiły szybkie i zdecydowane zwycięstwa zajmując nawet przejściowo Wilno i oblegając Dyneburg. Postępy wojsk rosyjskich zahamował wówczas najazd szwedzki na Polskę. Zaniepokojona najazdem, skierowanym również na Inflanty graniczące z Rosją, zawarła ona szybko z Polską rozejm w 1656 roku.

Współ z wojskami rosyjskimi na południowych obszarach wojny przeciw Polsce walczyły oddziały kozackie pod osobistym dowództwem hetmana Chmielnickiego. W czasie tej kampanii wojennej udało się Polakom osiągnąć pewien sukces, a mianowicie rozerwano dawne przymierze kozacko tatarskie i zawrzeć z Tatarami sojusz skierowany przeciw Rosji i podległym jej Kozakom.

Tymczasem w Kijowie, stolicy rdzennej Ukrainy a także w innych większych miastach i twierdzach pojawiły się silne załogi rosyjskiego wojska, które zaczęły wprowadzać w czyn postanowienia ugody perejasławskiej. Ponadto patriarcha moskiewski Nikon rozpoczął bezwzględną walkę o zniesienie odrębności metropolii kościelnej w Kijowie i całkowite podporządkowanie jej patriarchatowi w Moskwie. Wywołało to opór duchowieństwa prawosławnego na Ukrainie, zwłaszcza wyższego szczególnie w Kijowie i większych miastach na prawobrzeżnej Ukrainie, a także niezadowolenie znacznego odłamu wiernych.

Sytuację zaczęła zaożnaczać również bezwzględna polityka skarbowa carstwa moskiewskiego. Zaczęło wkrótce dochodzić do otwartych buntów i walk przeciwko Rosji i polityce Chmielnickiego, prowadzącą do całkowitego zniewolenia i poddania się Moskwie. "Wysoka carska ręka" coraz bardziej dawała się we znaki Ukrainie i jej mieszkańcom.

Wojna Szwecji z Polską przerodziła się szybko w wojnę z Rosją. W tych warunkach dotychczasowi wrogowie znaleźli się nagle w jednym antyszwedzkim obozie. Wymagało to natychmiastowego uregulowania ówczesnych stosunków pomiędzy Polską a Rosją. Zawarto po trudnych rokowaniach rozejm w dniu 3 listopada 1656 roku w Niemieży pod Wilnem połączony przymierzem wojskowym przeciwko Szwecji.

Rozejm ten był wielkim ciosem dla całej Kozaczyzny i osobiście dla Chmielnickiego. Wydarzenia z lat 1656 - 1657 osłabiły więzy perejasławskie i hetman zaporoski zaczął coraz bardziej oddalać się od Rosji, próbując sondować możliwości zbliżenia się z Polską w walce z którą poświęcił całe swoje siły i umiejętności. Rzeczpospolita tymczasem dźwigała się powoli z upadku i upokorzenia, jakie ten człowiek sprowadził na nią.

Polacy zaczęli wracać do koncepcji powrotu na Ukrainę i ponownego przejęcia utraconych tam obszarów a także zasiedlenia żywiołem polskim, który

w czasie powstania Chmielnickiego został całkowicie wymordowany, bądź zmuszony porzucić miejsca swego urodzenia i zamieszkania, uchodząc z życiem.

Pod koniec swego życia Bohdan Chmielnicki pojął wreszcie jak straszliwy błąd uczynił wiążąc się z carem rosyjskim i kładąc podwaliny pod srogą niewolę w pierwszym rządzie Zadnieprza, czyli lewobrzeżnej Ukrainy, a po jego śmierci również części prawobrzeżnej Ukrainy ze stolicą Kijowem włącznie. Na kilka miesięcy przed zgonem powierzył zastępstwo kierowania sprawami Kozaczyzny swemu pisarzowi generalnemu wojsk zaporoskich - Iwanowi Wyhowskiemu, zdecydowanemu przeciwnikowi unii z Rosją.

Chociaż hetmanem został obrany po śmierci Chmielnickiego jego syn Jerzy, jednakże do czasu pełnoletności buławę hetmana zaporoskiego powierzono Wyhowskiemu, zgodnie z życzeniem zmarłego. Iwan Wyhowski i związana z nim starszyna kozacka wkroczyli natychmiast na drogę zerwania ugody perejasławskiej i uwolnienia się od zaciskającej się coraz bardziej pętli niewoli rosyjskiej.

W dniu 16 września 1658 roku w mieście Hadziaczu na Ukrainie położonym na wschód od Kijowa i północny wschód od Łubniów, odbyła się Generalna Rada kozacka, na której w obecności polskich delegatów: Bieniewskiego i Jewłaszewskiego, ustalono nowy tekst ugody, która przeszła ostatecznie do historii jako **u n i a h a d z i a c k a**.

Najważniejsze jej postanowienia dotyczyły utworzenia z województw: kijowskiego, brackławskiego i czernihowskiego - Księstwa Ruskiego jako trzeciego obok **K o r o n y i L i t w y s a m o d z i e l n e g o c z ł o n u R z e c z y p o s p o l i t e j**, "jako wolni do wolnych, równi do równych". Szlachta ruska / ukraińska / zachowywała wszystkie swoje przywileje, a Kozacy rejestrowi w liczbie około 60 tysięcy podlegać mieli odtąd wyłącznie sądom hetmana i korzystać w pełni ze wszystkich swych dawnych przywilejów, przy czym zapewniono im szeroki dostęp do nobilitacji /awansu/.

Nowo powstałe Księstwo Ruskie łączyć będzie z Koroną i Litwą osoba monarchy, wspólna władza prawodawcza /sejm/ i wspólna polityka zagraniczna. Senatorami Rzeczypospolitej będą "hetman wojsk ruskich", czyli dawny hetman zaporoski, podlegający teraz tylko królowi, oraz prawosławny metropolita kijowski wraz z pięcioma biskupami prawosławnymi: Łuckim, lwowskim, przemyskim, chełmskim i mścisławskim. Oprócz tego do senatu wejdą biskupi katoliccy tych ziem. Religiją prawosławną, co jest bardzo ważne, zrównano w prawach z rzymskokatolicką. Kościół prawosławny otrzymał specjalne przywileje.

Fatalne dzieło unii brzeskiej miało być zlikwidowane i to nie tylko w Księstwie Ruskim, ale również na terytorium całej Rzeczypospolitej, tak "aby kto chce - do rzymskiego, kto chce - do greckiego, nie do unickiego nabożeństwa powracał". Szerokie perspektywy otwierały się także przed oświatą i nauką Ukrainy, gdyż król polski miał wydać przywilej otwarcia dwóch

akademii w tym kraju, przy czym jednej z nich w Kijowie. Akademie te miały być wzorowane na Akademii Krakowskiej. W zamian za te wszystkie przywileje Księstwo Ruskie wiązało się ściśle z Rzeczpospolitą a wojsko zaporoskie przysięga na wierność królowi i Rzeczypospolitej "na wieczne czasy".

Oprócz tego stanowi się, że trzy narody: Polacy, Rusini /Ukraińcy/ i Litwini mają się wspólnie starać o wywalczenie dla wszystkich trzech narodów prawa wolnej nawigacji na Morzu Czarnym.

Z biegiem czasu niektóre punkty umowy hadziackiej zmieniono lub wykreślono dodając mało znaczące poprawki i uściślenia. Chodziło tu szczególnie o stosunek nowego, trójnarodowego państwa do carstwa rosyjskiego. Część Kozaczyzny, judzona i jątrzona przez tajnych wysłanników Rosji zastrzegła sobie prawo nieuczestniczenia w wojnie zaczepnej przeciwko Rosji, a także domagała się powiększenia terytorium Księstwa Ruskiego kosztem Polski, Litwy i Mołdawii. W tajnych zamysłach cara rosyjskiego tereny te i tak miały być przy sprzyjającej okazji włączone na stałe siłą, pod przykrywką nowej ugody do carstwa rosyjskiego, co wkrótce też nastąpiło.

W rywalizacji Polski, Rosji i Turcji o ziemie na Ukrainie i Balkanach siły zaporoskie i tatarskie odgrywały niepoślednią rolę w rozwiązywaniu spraw i militarnym tworzeniu faktów dokonanych. Wkrótce wojna polsko rosyjska w roku 1660 obnażyła całkowicie wartość umów perejasławskich i hadziackich, które bez poparcia militarne, jak jednej tak i drugiej, strony miały znaczenie jedynie świstków papieru.

Młody syn Bohdana Chmielnickiego, Jerzy /Juraszko/ w niczym nie przypominał swego wielkiego ojca. Obrany czasowo hetmanem przez starszyznę kozacką, pomną zasług wielkiego Bohdana, przegrał wszystkie walki, które rozgorzały z nową siłą na Ukrainie pomiędzy Kozakami a armiami polskimi.

Kampania letnia 1660 roku również na Białorusi, prowadzona przeciwko wojskom carskim także zakończyła się zwycięsko dla Polaków. Wielki hetman litewski Paweł Sapieha oraz Stefan Czarniecki, wykupiony z niewoli tatarskiej, rozbili w dniu 28 czerwca 1660 roku armię rosyjską, dowodzoną przez kniazia Chowańskiego, w bitwie pod Połonką na Białorusi; na południu wielkie zwycięstwo odniosła armia koronna pod ogólnym dowództwem wielkiego hetmana koronnego Stanisława Rewery Potockiego i hetmana polnego Jerzego Lubomirskiego.

Armia rosyjska, dowodzona przez bojarzyna Wasyla Szeremietiewa nie zdołała połączyć się z siłami kozackimi hetmana ukraińskiego Jerzego Chmielnickiego, co natychmiast wykorzystał hetman Lubomirski. Osaczywszy Rosjan pod Cudnowem na południowy zachód od Żytomierza, rzucił on część swych sił przeciwko Kozakom i zadał im w dniu 7 października 1660 roku klęskę w bitwie pod Słobodyszczami, położonymi między Berdyczowem a Żytomierzem, bardziej na wschód od Cudnowa. Bitwa ta przesądziła o losie armii Szeremietiewa, która musiała kapitulować przed koronnym hetmanem polnym Lubomirskim, w czasie kiedy pertraktował on z pokonanym hetmanem zaporoskim i starszyzną kozacką.

Najważniejszym wynikiem tej kampanii wojsk polskich na Ukrainie była całkowita kapitulacja pułków kozackich stacjonujących na prawobrzeżnej Ukrainie i podpisanie w dniu 17 października 1660 roku nowej ugody polsko kozackiej w obozie pod Cudnowem.

Na mocy tej ugody wojsko zaporoskie odstąpiło wraz z hetmanem Jerzym Chmielnickim cara moskiewskiego i zobowiązało się służyć wiernie królowi polskiemu, wystąpić wspólnie z armią polską przeciwko wojskom rosyjskim, zaprzestać napadów na polską szlachtę i jej majątki, a także skończyć z partyzanckimi rajdami na Krym, będący siedliskiem chanatu tatarskiego, który w tym okresie sprzyjał Rzeczypospolitej.

Ugoda ta definitywnie przekreślała warunki ugody perejasławskiej, postulując zupełne zerwanie z carem moskiewskim, jako wspólnym wrogiem obu narodów: polskiego i ukraińskiego.

Na innych obszarach Ukrainy doszło tymczasem do zaburzeń reszty Kozaków nastawionych prorosyjsko, przy pomocy agentów i tajnych emisariuszy Moskwy. Pomimo wzrostu nastrojów antyrosyjskich nie udało się jednakże Polsce opierać całej Ukrainy w walkach z Rosją. Na tzw. "Zadnipriańszczyźnie" / Zadnieprzu / leżącej po lewej stronie Dniepru, wskutek namowy wysłanników cara, kilku dowódców kozackich odmówiło podporządkowania się zwyciężskiemu wojskom polskim i ugodzie podpisanej w obozie pod Cudnowem. Na czele wiernej carowi Ukrainy Zadnieprzańskiej stanęli dwaj pułkownicy: perejasławski Joachim Somko i niżyński Wasyl Zołotareńko. Na Prawobrzeżu, mimo kapitulacji, hetman Jeremi Chmielnicki rozpoczął ponownie zakulisową grę, mającą na celu ponowne związanie się z Rosją, przy usilnej agitacji tajnych doradców rosyjskich.

Wojska rosyjskie stacjonujące w Kijowie i na terenach lewobrzeżnych umacniały tymczasem swoje pozycje szykując się, zgodnie z opracowanym już wcześniej planem do całkowitej aneksji tych obszarów. W perspektywie plany moskiewskie zakładały dalsze podboje terenów ukraińskich, na których rozciągała się polska władza i sprzyjających Polsce ukraińskich elementów Kozaczyzny po prawej stronie dorzecza Dniepru. W sprzyjającym momencie Moskwa zamierzała również unicestwić przyjazne stosunki pomiędzy Polską a Chanatem Krymskim, kierując grabieżcze instynkty części oddziałów kozackich na pobrzeże Morza Czarnego, będące we władaniu Chanatu.

Rozpoczęły się zaciekle działania i przetargi zakulisowe o władanie Ukrainą; naprzód lewobrzeżną, która praktycznie była już ogarnięta żelaznym pierścieniem wojsk cara Aleksieja Michajłowicza, drugiego z rodu Romanowów, a także o prawobrzeżną część Ukrainy, która trwała jeszcze we władaniu króla polskiego. Rosja, Chanat Krymski i Rzeczpospolita postanowiły uciec się do bardziej skutecznych kroków.

Rozgrywki o Ukrainę toczyły się przede wszystkim pomiędzy Polską a Rosją, jako głównych potęg politycznych i militarnych zainteresowanych w stałym posiadaniu lądowych terenów położonych w dorzeczu Dniepru, bardzo ży-

nych z dobrymi szlakami lądowymi i wodnymi, a co najważniejsze położonymi w bezpośrednim sąsiedztwie Morza Czarnego, przysłowiowego "okna na świat", które dawało doskonałe perspektywy rozwoju handlu z Zachodem temu, kto dzierżył władzę na tych terenach.

-----

W toku energicznych i bezpardonowych zakulisowych działań obu państw: Polski i Rosji doszło do utworzenia odrębnych administracji na zajętych terenach, a także mianowania /wyboru !?/ nowych hetmanów wojska zaporoskich: na Lewobrzeżu Rosja preferowała wybór Iwana Martynowicza Brzuchowieckiego, natomiast na Prawobrzeżu Polacy akceptowali wyniesienie do godności hetmana ukraińskiego Pawła Tetery, który dłuższy czas przebywał w Polsce. Przybył on na Ukrainę w połowie września 1662 roku i od tej pory przez kilka lat miał pełnić misję zleconą mu przez władze Rzeczypospolitej.

Rosja, która w tym czasie w toku walk i zaborów nieustannie rozszerzała swoje terytorium na wschód, południe i zachód, narazie nie była w stanie opanować zupełnie sytuacji w Lewobrzeżnej Ukrainie. Przygotowywała się również do walnej rozprawy z Polską, wzniecając wszędzie gdzie się tylko dało powstania i rozruchy skierowane przeciwko polskiej władzy, na obszarach od Inflant po wybrzeża Morza Czarnego.

Do tego celu pomocne były także różne układy stosunków społecznych, klasowych i politycznych na Ukrainie, Białorusi i Litwie. W omawianej sytuacji na Ukrainie, a konkretnie na Zaporozżu zaczęły się burzyć masy kozackie i czerń przeciwko starszyźnie i bogatszemu odłomowi wyodrębnionej warstwy Kozaków, separującej się od pospólstwa. Powstawały przeróżne odłamy warstw społecznych mające swoich przywódców, którzy zaciekle zwalczali się między sobą, podsycani namowami, obietnicami a nawet groźbami swoich mocodawców zarówno w Moskwie, Warszawie czy w Bachczysaraju na Krymie.

Na Ukrainie zaczęło się przygotowywać nowe powstanie: na "Zadnipriańszczyźnie" promoskiewskie, skierowane swym ostrzem przeciwko władzy Polaków na Prawobrzeżu, a tam, gdzie rozciągała się władza kozackich pułkowników, sprzyjających Teterze, a tym samym i Rzeczypospolitej przeciw ciemnościom moskiewskim.

Brzuchowiecki zjawił się wkrótce w Hadziaczu, wchodząc w ścisłe kontakty z biskupem Methodym, człowiekiem zaprzędanym Moskwie, jak również i z dowódcą wojsk rosyjskich, okupujących Zadnieprze kniazem Romodanowskim. Na polecenie cara moskiewskiego zwołano tzw. Czarną Radę w dniu 15 czerwca 1663 roku w mieście Miżynie, gdzie skierowano pułki moskiewskie pod dowództwem kniazia Daniły Wieliko-Gagina, dla zademonstrowania siły oraz przeprowadzenia narady zgodnie z zaleceniami cara Aleksieja Michajłowicza.

Przeciwnicy rządów promoskiewskich, zgrupowani w tzw. "partii możnych" wraz z dowódcami pułków kozackich: Somką i Zołotareńką liczyli na przegraną Brzuchowieckiego i stronników cara, których w tym czasie przybyło wielu z Rosji, dołączyli uciekli po nadejściu wojsk polskich. Jednakże dzięki

przebiegłym machinacjom wysłanników carskich, którzy podburzywszy masy żołnierzy Zołotareńki i Somki spowodowali przejście oddziałów na stronę sympatyków rządów moskiewskich. Ponadto prowokatorzy i podlegacze carscy oraz płatni zdrajcy, wywołali w dniu narady w Niżynie wybuch krwawych rozruchów i nienawiści cywilnej ludności przeciwko sympatykom samodzielności Ukrainy i przyjaźni z Rzeczpospolitą. Polała się więc krew bratnia - przeciwników i sympatyków ustanowień Rady Niżyńskiej.

Brzuchowiecki i wojska carskie wyzyskały rozruchy i bratobójczą walkę jedynie dla własnych celów. Po ustabilizowaniu się władzy promoskiewskiej na terenach Zadnieprzańskich, wkrótce obu pułkowników: Zołotareńkę i Somkę pojmano i powieszono, jak również wielu atamanów i niższych rangą dowódców i zwykłych żołnierzy. Mord ten, którego główną sprężyną był carski wysłannik, rozwiązał sny o tzw. "samostijnej Ukrainie" szlacheckiej, powiązanej dyplomatycznymi kanałami w sferze politycznej i militarnej z Polską.

Następstwa Rady Niżyńskiej były bardzo poważne. Wysłannicy cara Aleksego diak Baszmałow i diak Frołow, rozpoczęli w następnej kolejności rozmowy z Brzuchowieckim i Kozakami w celu zawarcia nowego układu, opartego na traktatach perejasławskich z 1654 roku i następnie z 1659 roku, z tym, że dodano tam punkt bardzo istotny dla wojsk carskich okupujących Lewobrzeże: hetmana zaporoskiego zobowiązywano do żywienia i dostarczania stałego żywności i udzielania wszelkiej pomocy wojskom moskiewskim tam stacjonującym. W przededniu walnej rozprawy z Rzeczpospolitą Moskwa zdołała całkowicie opanować sytuację na Ukrainie lewobrzeżnej. Fakt ten miał bardzo doniosłe znaczenie dla zbliżającej się szybkimi krokami wojny polsko-rosyjskiej, do której doszło na przełomie 1663/1664 roku.

-----

Król Polski Jan Kazimierz na czele dużych armii polskich, a częściowo zasilonych posiłkami tatarskimi i kozackimi, stojącymi na żołdzie Rzeczypospolitej ruszył przeciwko armiom rosyjskim, które wtargnęły na Zadnieprze zagrażając bezpośrednio interesom polskim na Ukrainie prawobrzeżnej.

W toku walk sił podjazdowych, armia polska przeprowiła się częściami swych sił na lewy brzeg Dniepru, obchodząc Kijów od północy, kierując się następnie głównymi siłami w głąb zajętego przez Rosję terenu północnej Ukrainy. Sam król Jan Kazimierz wraz z koronnymi hetmanami: Fotockim, Czarnieckim i chorążym koronnym Janem Sobieskim /późniejszym królem/ zdążyli na czele polskiej armii zagarniając po drodze wsie, miasteczka, zdobywając mniejsze kozackie i rosyjskie twierdze i stacje.

Po koniec 1663 i na początku 1664 armia polska wbiła się głębokim klinem w terytorium lewobrzeżne Ukrainy, od północy dochodząc aż do Nowogrodu Siewierskiego-Czernihowa, Baturyna, Głuchowa i Putywła, powodując cofanie się armii rosyjskiej i współdziałających z nią oddziałów kozackich na całym froncie. Zdawało się, że wkrótce zwycięstwo Polaków będzie zupełne, lecz

z pomocą Rosjanom przyszyły olbrzymie, niespodziewane roztopy i odwilże, które spowodowały całkowite zahamowanie polskiej ofensywy. Oprócz tego wybuchły na tyłach, podsypane intensywnie przez Rosjan bunty czerni ukraińskiej i maruderów żołnierskich, którzy przeszli na stronę buntowników.

W kraju natomiast wybuchł tzw. rokosz Lubomirskiego, hetmana wojsk koronnych, który niezadowolony z posunięć dyplomatycznych i politycznych króla, pomijających jego osobę w nadawaniu godności w państwie, wypowiedział posuszeństwo władzy królewskiej, a szczególnie znienawidził królową, Marię Ludwikę, żonę Jana II Kazimierza. W ten sposób unicestwione zostały pierwsze osiągnięcia na froncie rosyjsko-polskim w pierwszym roku walk.

Stefan Czarniecki wraz z chorążym koronnym Janem Sobieskim w następnym roku /1664/ rozpoczęli zwycięskie walki na środkowym Prawobrzeżu Ukrainy, posuwając się na południowy wschód w kierunku Humania i Braclawia. Tereny te były zajęte przez siły kozackie wraz z oddziałami rosyjskimi, atakującymi z lewego brzegu Dniepru, zachodząc od południa polskie armie.

W czasie zdobywania miasta Stawiszcz leżącego na południe od Białej Cerkwi, podczas szturm ranny został w głowę Stefan Czarniecki. Po tym wypadku musiał wycofać się zupełnie z walk i został odesłany wraz z wiernymi swoimi żołnierzami na leczenie do Lwowa. Był to okres zimy 1664/65 roku.

W drodze do Lwowa zatrzymał się we wsi Sokołówka w wiejskiej chacie, gdzie zastała go wiadomość o nominacji przez króla na hetmana polnego koronnego. Buławę hetmańską otrzymywał po Jerzym Lubomirskim, który na sądzie królewskim został ogłoszony banitą i skazany na karę śmierci.

Niestety, buława hetmańska i nadanie województwa kijowskiego, po Jyhowskim przyszyły za późno. Zmarł on z ran w Sokołówce pod Lwowem w dniu 15 lutego 1665 roku. Stefan Czarniecki był pierwszym głośnym bohaterem zagrożonej i upadającej Polski.

Pogromca Szwedów był ten postrachem Rosjan i Kozaków. Polska utraciła w nim jednego z najlepszych swych obywateli jak również najdzielniejszego wodza i wojownika tych czasów, a z jego śmiercią zabrakło również żelaznego realizatora i zbrojnego ramienia Rzeczypospolitej, które mogłoby utrzymać wzburzoną Ukrainę przy Polsce. Czarniecki był zdecydowanym wrogiem wicherzycieli i odstępców od władzy prawowitego króla, szczerze przywiązany do tronu, w którym widział ręką jedności kraju i całości granic. Nienawidził jednakże magnatów, którzy obawiali się go, dla jego zdolności i możliwości odebrania przez niego ich zaszczytów i dostojności. To też broniąc się przed niesłusznymi zarzutami możliwych mawiał stale, powołując się na swoją ciężką pracę i walkę dla dobra jedności Rzeczypospolitej, że jego fortuna nie wyrosła ani z roli ani z soli, jedynie z tego co go boli. Uwagi te kierował szczególnie w stosunku do Lubomirskich i Potockich. Lubomirscy bogacili się bowiem na dzierżawach kopalni soli pod Wieliczką, a Potoccy posiadali



na Ukrainie olbrzymie obszary ziemi, jak również na Podolu i w okolicach Przemysła i Łańcuta. Te wydarzenia przede wszystkim zadecydowały o losie kampanii antyrosyjskiej, prowadzonej początkowo z wielkim rozmachem i chwilowymi zwycięstwami na terenie Ukrainy.

Nowe powstanie przeciwko Polsce na Ukrainie, na czele którego stanął pułkownik Iwan Popowicz i ogarnęło większość południowych ziem Prawobrzeża było inspirowane, tak jak i inne poprzednie powstania przez Rosję i jej zaszników, wiążących swe kariery ze zwycięstwem oręża rosyjskiego.

Rosja w tym powstaniu oparła się na masach kozackich, podsycając we własnym interesie walkę bratobójczą pomiędzy poszczególnymi ugrupowaniami wśród Kozaków i starszyny kozackiej. Znowu połała się krew ukraińska za przyczyną rosyjskich prowokatorów i agentów.

Po nieudanej kampanii 1663/1664 roku Rzeczpospolita, tak jak początkowo radził jej Hetman Tetera, rządzący Kozakami z ramienia Rzeczpospolitej, rozpoczęła długie i uciążliwe rokowania pokojowe z Rosją. Wyczerpanie obu wrogich partnerów, a zwłaszcza Rzeczypospolitej, którą ostatecznie podkopała wielka wojna domowa znana pod nazwą rokосу Lubomirskiego, coraz bardziej wskazywały na konieczność szybkiego zakończenia wojny. Ogromny wpływ na to miał także rozwój sytuacji na Ukrainie i stale rosnące nowe niebezpieczeństwo tatarskie oraz tureckie.

Drogi Polaków i Tatarów rozchodziły się coraz wyraziściej, Tatarzy bowiem nie chcieli się pogodzić z tym, że Rzeczpospolita prowadzi rokowania z Rosją bez udziału i porozumienia szczegółowego z Chanatem Krymskim. Zbliżenie obu partnerów przy obradach pokojowych było bardzo niebezpieczne nie tylko dla Tatarów ale i dla Turcji.

Uprzedzając więc rozejm polsko-rosyjski, zrzucili Turcy z tronu w Bachczysaraju przyjaznego Polsce chana Mehmeda IV Gireja, a osadzili w 1666 roku na jego miejscu bardziej wiernego sobie Adila Gireja. Jeszcze wcześniej, bo w 1665 roku antypolskie powstanie na prawobrzeżnej Ukrainie zmiotło ostatecznie wiernego Polsce Teterę, który musiał opuścić w tym okresie Ukrainę.

W związku z tymi wydarzeniami władza polska na Ukrainie praktycznie przestała istnieć na kilkadziesiąt lat, pozwalając tym samym na ugruntowanie się na tych terenach carskiego absolutyzmu rosyjskich carów.

W oparciu o Tatarów, na pierwsze miejsce w dziejach ówczesnej Ukrainy wysunął się Piotr Doroszenko, pułkownik czerkaski. Zapoczątkował on epokę turecko-tatarską w historii Ukrainy. Znaczna część Kozaczyzny zaczęła się orientować na Sтамбул/Konstantynopol/ oraz na Krym, dążąc do stworzenia Ukrainy wasalnej, na wzór państw bałkańskich: gospodarstw mołdawskiego i wołoskiego oraz księstwa siedmiogrodzkiego, związane z sułtanatem tureckim.

Nastroje te wzmogły się szczególnie, kiedy 30 stycznia 1667 roku został

podpisany w Andruszowie na Białorusi rozejm pomiędzy Rzeczpospolitą a Rosją na 13 i pół roku. Podział Ukrainy, tak wyraźnie zapoczątkowany w 1663 roku znalazł w tym rozejmie realne potwierdzenie. Lewobrzeże zostało ostatecznie na stałe przy Rosji, Prawobrzeże - przy Polsce, z tą jednakże różnicą, że praktycznie zarządzili tu już Tatarzy i ich zwolennicy, a przez nich pośrednio Turcy. Ziemia leżąca wokół zakola Dniepru, tzw Zaporozże zostało uznane za kondominium /wspólne władanie!!/ polsko-rosyjskie.

-----

W zamian za rozejm oraz obietnicę pomocy przeciwko Tatarom i Turkom, Rzeczpospolita odstępowała Moskwie - aż do czasu ostatecznego uregulowania tych spraw w tzw. wiecznym pokoju /!?!/ - Siewierszczyznę, Smoleńszczyznę, Czernihowszczyznę i parę ważniejszych miast na północy oraz całą lewobrzeżną Ukrainę łącznie z Kijowem i dużym obszarem terenu na zachód i południe od stolicy Ukrainy. Miał on powrócić do Polski po upływie ściśle określonego terminu / do 15 kwietnia 1669 roku / w rzeczywistości nie nastąpiło to nigdy.

Traktat andruszowski był odzwierciedleniem wielkich zmian, jakie zaszły w układzie sił w Europie Wschodniej w wyniku wojny polsko-rosyjskiej 1654 - 1667. Oznaczał on nie tylko klęskę Rzeczypospolitej w jej polityce wschodniej, stanowiącej od czasów unii jagiellońskiej najważniejszy element polskiego życia państwowego i politycznego, lecz także ostateczne załamanie się mocarstwowego stanowiska państwa polsko-litewskiego, i prób utworzenia trójpaństwa, sprzymierzonego ze sobą przeciwko agresji carstwa rosyjskiego na zachód: Korony, Litwy i Ukrainy.

Natomiast Rosja po raz pierwszy wychodziła zwycięsko z wieloletnich zmagani z swym głównym rywalem - Polską, zaczynając tym samym, na większą już skalę i z pełnym powodzeniem, realizację jednego ze swych dawnych, podstawowych zadań - "zbierania ziem ruskich" / ???!?!/.

Był to na drodze do potęgi carstwa rosyjskiego w czasach przed Piotrem I krok milowy. Tak więc, wszystkie ziemie i terytoria, które Rzeczpospolita poczynając od 1619 roku, czyli daty rozejmu w Dywilinie /inaczej Deulino/ zdobyła w wojnie z Rosją, poprzez następny rozejm w Polanowie z 1634 roku aż do ostatecznego pokoju w Andruszowie z 1667 roku zostały przez carstwo rosyjskie zabrane a następnie wcielone do Rosji.

Po zwycięstwie Turcji w wojnie z Polską, kiedy padła najważniejsza polska twierdza na południu - Kamieniec Podolski / patrz powieść H. Sienkiewicza - "Pan Wołodyjowski" / Turcja podyktowała Rzeczypospolitej haniebnny traktat pokojowy w Buczaczu w 1672 roku. Mocą tego traktatu resztę ziem ukraińskich, położoną na Prawobrzeżu <sup>Dniepru</sup> poczynając od Zaporozża na południowym wschodzie, od wschodu granicą na Dnieprze przechodząc następnie pod Żytomierz, który przostawał w granicach Polski. Dalej linia graniczna przebiegała na połud-  
**niowy**

niowy zachód dochodząc pod Buczacz, który pozostawał po stronie Polki. Tak więc od 1672 roku cała Ukraina była obecnie podzielona pomiędzy dwóch zacieklej agresorów: carską Rosję i ottomańską Turcję. Turcja w ten sposób odgradzała dostęp Rosji do wybrzeży Morza Czarnego. W przyszłości będzie to główną przyczyną do zaciętych i długotrwałych wojen pomiędzy Turcją a Rosją, ale to już zupełnie inna historia, ponieważ Ukraina zostanie zupełnie wymazana z kręgu państw niepodległych, przechodząc w ostatniej kolejności pod jarzmą cara rosyjskiego, a w roku 1918 i później w ręce bolszewików.

-----  
Z powyższej krótkiej analizy historycznej wynika, że nienawiść Ukraińców, szczególnie tych, którzy mieszkali dłuższy czas na terenach gdzie obowiązywało prawo i działała władza polska, do Polaków, miała swoje źródła od najwcześniejszych czasów, kiedy tworzyły się zręby świadomości o odrębności językowej, kulturowej i wreszcie państwowej narodu ukraińskiego.

Rdzenne ziemie ukraińskie opanowane w średnich wiekach przez Polaków na podstawie unii lubelskiej, a jeszcze wcześniej przez inne ugody zawierane pomiędzy Koroną a Litwą, która te ziemie zdobyła gromiąc Tatarów i Ruś Kijowską, z biegiem lat stały się widownią krwawych zmagani między Polską, Turcją a Rosją o posiadanie tych terenów wraz z osiadłym tam ludem, ponoszącym straszliwe ciężary długoletnich wojen.

W ciągu wieków przewaga Rosji stawała się coraz wyraźniejsza zarówno pod względem militarnym, jak i specyficznych środków stosowanych przy opanowywaniu i podporządkowywaniu sobie anektowanych siłą, ukraińskich obszarów w dorzeczu dolnego i środkowego Dniepru. Natomiast Rzeczpospolita pod koniec XVII i XVIII wieku została prawie całkowicie wyeliminowana w tych rozgrywkach przez Rosję, która w tym okresie nie zawahała się użyć do tych celów większość swych sił militarnych, a także nie przebiegając w środkach i posunięciach politycznych.

Bardzo ważnym elementem niweczącym porozumienie Polaków z Ukraińcami, ~~które miało miejsce w XVII wieku~~ stosowanym przez reżim carski oraz nieustannie podsycanym w ciągu wieków w celu szerzenia nienawiści pomiędzy obu narodami było utrwalanie różnic wyznaniowych i religijnych.

W roku 1596 dostojnicy prawosławni z terenu Rzeczypospolitej podporządkowali się na synodzie w Brześciu Litewskim zwierzchnictwu Rzymu. Był to akt polityczny i religijny, z którego wyrósł Kościół greckokatolicki w Europie środkowo-wschodniej.

Od czasu tego połączenia /unii/ kościół ten zaczęto nazywać kościołem unickim, a wyznawców tego kościoła - uniatami.  
... "Chrześcijaństwo dotarło niegdyś na Ruś Kijowską z Bizancjum /powstałe z rozpadu imperium rzymskiego, jego wschodnia część ze stolicą w Konstan-

tynopolu/ w postaci prawosławia. Ziemie ruskie, w swym południowo-zachodnim skrawku od czasów piastowskich kontrolowane politycznie przez Polskę, na północy zaś włączone etapami do Wielkiego Księstwa Litewskiego, - po unii Litwy z Koroną stały się integralną częścią Rzeczypospolitej.

Prawosławna chrystianizacja tych ogromnych i słabo zaludnionych terenów Europy wschodniej była powierzchowna i pasterzalnie /pastersko, kierowniczo/ uboga, ale zbliżona ludności cerkiewnosłowiańskim językiem liturgicznym, poprzez pokolenia wrastała w zbiorczą mentalność /umysłowość/, stając się osnową ruskiej/ukraińskiej/ kultury ludowej.

Kracząc w wiekach XIV i XV na ziemie ruskie, katolicyzm napotkał na nich prawosławną organizację diecezjalną i parafialną. Katolicyzacji tych rozległych przestrzeni sprzyjała przede wszystkim siła przyciągania polskiej kultury, wnoszącej idee zachodniego, łacińskiego państwa prawo-ustrojowego. I chociaż czasem Kazimierza Wielkiego, Jagiełły czy jego następców koncepcja państwa wielowyznaniowego wydawała się w pełni naturalna i zadawalająca, kulturowy magnes łacynizacji przyciągał możnowładztwo i bojarstwo ruskie/ukraińskie/ ku katolicyzmowi, traktowanemu jako *si g n u m* /cecha, znamię/ pełnego prawa polskiej szlachty. /.../

W końcu XVI wieku w świadomości zbiorowej nikła wcześniejsza koncepcja państwa wielowyznaniowego, ustępując idei Polski katolickiej. Znaczyło to postulat / konieczność / katolicyzacji ziem ruskich. Działał tu *p o t r y d e n c k i i m p e t m i s y j n y* rozwijającego się Kościoła, owocujący na wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej niezwykle gwałtownym rozwojem sieci domów zakonnych i związanej z nimi nagłej rozbudowy oświaty katolickiej, /w oparciu o uchwały soboru *t r y d e n c k i e g o* w mieście Trydent, położonym nad rzeką Adygą w Tyrolu w ówczesnej Republice Weneckiej /1545 - 1563/ katolicyzm zaczął powoli odzyskiwać część utraconych w pierwszych etapach reformacji pozycji/.

Z chwilą, gdy stolicą *p r a w o s ł a w i a* w tej części świata stała się rosnąca szybko w potęgę *M o s k w a*, pojawiły się dodatkowe *i s t o t n e n o t y w y* *p o l i t y c z n e* do eliminacji, a przynajmniej do ograniczenia prawosławia w obrębie Rzeczypospolitej.

Katolicyzm łaciński na ziemiach ruskich - przy całym swym rozwoju - był jednak wyznaniem jedynie szlacheckim i w jakimś stopniu nieszczańskim. Wieś pozostawała prawosławna. W tej sytuacji tkwiąc zawiłe korzenie zawartej w 1596 roku *U n i i B r z e s k i e j*, na której mocy większość diecezji prawosławnych w obrębie państwa polskiego porzucało związek z Cerkwią prawosławną, by uznając prymat papieski i całość doktryny/teorii naukowej/ katolickiej wiary przyłączyć się do Kościoła katolickiego w postaci odrębnego *o b r z ą d k u z c e r k i e w n o s ł o w i a ń s k i m* *j ę z y k i e m* *l i t u r g i c z n y m*, swobodą małżeństwa księ-

ty /popów/ i wiernością dla pradawnych w prawosławiu wyrosłych, miejscowych obyczajów religijnych. W koncepcji unii brzeskiej z 1596 roku spotkały się skierowane ku rosyjskiemu prawosławiu misyjne idee chrześcijańskie Rzymu - jedna z wersji polskiej polityki wschodniej, prokatolickie sympatie i dążenia niektórych hierarchów /przedstawicieli władzy kościelnej/ prawosławnych.

Rzym traktował unię jako pierwszy krok do <sup>cy</sup>katolizacji Rosji. Ze strony polskiej konstruowanie kościoła unickiego na kresach wschodnich Rzeczypospolitej miało być elementem ich interakcji /połączenia, scalenia/ z całym państwem. Kler prawosławny z pewnością był pod wrażeniem kultury, dynamiki misyjnej i nieporównanie większej skuteczności pastoralnej Kościoła katolickiego. Dla hierarchów prawosławnych skłonnych przystąpić do unii istotniejszym czynnikiem była nadzieja podniesienia swego statusu / stanowisko prawno-publiczne jednostki w stosunku do państwa/ do poziomu biskupów łacińskich, ex officio / z urzędu/ zasiadających przecież w senacie Rzeczypospolitej i otaczanych powszechnym szacunkiem w państwie.

Zrodzona w znacznej mierze z przyczyn pozareligijnych unia brzeska okazała się dziełem ulonnym. W momencie jej stanowienia najgłębiej schryścianizowane środowiska Rusi /Ukrainy/ opowiedziały się za wiernością prawosławiu. Do unii przystąpiły diecezje słabsze, mniej świadome rzeczy lub podległe hierarchom skłonniejszym do oportunistów /sprzeciwu/ politycznego. Nowo powstały kościół miał więc przed sobą drogę trudną, sytuacja wymagała bowiem odeń wyjątkowego dynamizmu i gorliwości pastoralnej i kulturowej. Kulturowo zaś okazał się słaby, gdyż wbrew nadziejom pozostał kościołem plebejskim / jedynie dla ludzi mających ograniczone prawa/.

Możnowładcza elita ruska /ukraińska / wyrzekając się prawosławia wolała wybierać nobiletujący kulturalnie /uszlachetniający/ katolicyzm łaciński, aniżeli pozostawać w pozbawionym tego prestiżu Kościele unickim. Plebejcy unicy nie zostali w Kościele polskim przyjęci przyjaźnie, nie szczone im upokorzeń, a nadzieje unickich hierarchów na znaczne podniesienie statusu socjalnego / położenia społecznego/ okazały się płonne.

Jednocześnie pojawienie się Kościoła unickiego nie spowodowało zaniku prawosławia na terenie Rzeczypospolitej - odwrotnie: obrona prawosławia stała się ważkim elementem ideologii kozackiej. Konflikty religijne na kresach trwały i wzmagaly się /!!!/, tak więc integracyjna rola unii /jednocząca/ okazała się bardzo wątpliwa. Wreszcie - religijny skutek całego przedsięwzięcia był zdecydowanie niejednolity. Niski poziom kulturalny kleru unickiego hamował szansę istotnego podniesienia poziomu pracy duszpasterskiej, i mimo wysiłków elity, zgrupowanej głównie w unickim zakonie bazylijanów, poprawa dokonywała się bardzo powoli.

W świadomości wciąż tylko powierzchownie ~~zrytualizowanych~~ chrystianizowanych wie-  
nych poczucie łączności z Kościołem katolickim było nad wyraz słabe. Przeci-  
działo mu istnienie wyraźnej, najeźdźonej konfliktami, bariery socjalno-kul-  
turowej wobec łacińskiego katolicyzmu "panów", przy jednoczesnej tożsamości  
etniczno-społecznej /językowo-społecznej/ ludowej/ wobec prawosławia, używa-  
jącego zresztą tego samego, co unia języka liturgicznego i mającego bliź-  
niaczo podobne obrządy.

-----

Rozwój Kościoła unickiego przebiegał odmiennie w różnych regionach. Sta-  
pność/zastój/ pastoralna i chwiejność wyznania charakteryzowały przede  
wszystkim terytoria położone dalej na wschód od centrum Polski i sąsiadu-  
jące z ośrodkami silnego prawosławia. Z kolei bezpośredni kontakt z katoli-  
cyzmem łacińskim i ośrodkami kultury polskiej działał dynamizująco także  
na kręgi unickie. Najwyższy poziom religijny reprezentowały jednak te die-  
cezje, które do unii przystąpiły najpóźniej - około 1700 roku. Były to die-  
cezje : lwowska, przemyska i Łucka na Wołyniu. Ich wejście do wspólnoty Koś-  
cioła greckokatolickiego stało się momentem jej zasadniczego wzmocnienia.

Efekt różnic w stopniu poczucia t o d s a m o ś c i k a t o l i c -  
k i e j okazały się w czasach rozbiorowych. Na terenach zajętych przez  
Rosję w ramach pierwszego rozbioru w 1772 roku Kościół unicki niezmiernie  
szybko uległ samolikwidacji. Ogromna większość kleru przeszła na prawosła-  
wie, zanim jeszcze caryca Katarzyna II zdażyła zagrozić represjami.

Gdy w 50 lat później Rosja przystąpiła do niszczenia unii na Niższczyź-  
nie, okazało się to znacznie trudniejsze i możliwe do osiągnięcia tylko  
dzięki biskupowi unickiemu Siemaszce, dla kariery popełniającemu apostazję  
/odstępstwo np. od wiary/ i ulegającemu terrorowi. Jeszcze późniejsza przy-  
musowa likwidacja Kościoła unickiego na Podlasiu i Chełmszczyźnie, mimo  
wyjątkowego nasilenia terroru dała rezultaty tylko pozorne. Kościół unicki,  
zniszczony na terenach przyłączonych trwale do Rosji, przetrwał i rozwinął  
się w Małopolsce Wschodniej, którą rozbiory Polski wpisały w monarchię  
Habsburgów/ tereny zajęte poprostu przez Austrię/.

Tam zaś na przestrzeni XIX stulecia Kościół unicki stał się podstawową  
siłą integrującą /jednoczącą/ z d o b r y m a j ę c y c h s w ą ś w i a -  
d o m o ś ć n a r o d o w ą U k r a i ń c ó w. Stąd Kościół ten nazy-  
wany był unickim, później greckokatolickim, a w końcu ukraińsko-katolickim  
lub wprost ukraińskim.

/.../ W wyniku rozbiorów Polski Galicja /Małocyna, tereny leżące nad środ-  
kowym dorzeczem Dniestru z óśrodkiem w Haliczu/ dostała się pod panowanie  
Austrii, a Ukraina Zachodnia /czyli według polskiego nazewnictwa - Małopolska  
Wschodnia/ razem z W o ł y n i e m przypadła Rosji. Na terenach zajętych

przez Rosję, przede wszystkim na Białorusi, unitów zmuszono do przechodzenia na prawosławie, natomiast w Galicji Pius VII wkrzesił w 1807 roku starą metropolię halicko-lwowską. Została jej podporządkowana diecezja/eparchia/ przemyśka, a następnie w 1835 roku, nowo utworzona diecezja stanisławowska.

Kościół prawosławny, jako państwowy w Rosji carskiej, w istotny sposób przyczyniał się do ochrony feudalnych interesów arystokracji carskiej. Kościół unicki zaś w całej swej historii był ściśle związany z drobniemiścianstwem i chłopsstwem, i ich poparciem zawdzięczał swą egzystencję. Umocnienie się Kościoła unickiego w Galicji w znacznym stopniu przyczyniło się do rozwoju poczucia narodowego Ukraińców w całej Ukrainie Zachodniej /Galicji/. Kler unicki stanowił tu nową warstwę przywódczą i rozbućzał świadomość narodową w szerokich kręgach ludności.

W związku z tym, że na terenie Ukrainy Wschodniej w XIX wieku zakazano używania języka ukraińskiego w szkołach i w życiu publicznym, w drugiej połowie tego stulecia głównym ośrodkiem kulturalno-politycznym Ukrainy stał się Lwów. Pozycję tę utrzymał aż do roku 1939, a więc także w okresie międzywojennym, kiedy Galicja należała do Polski.

W 1905 roku prawie zagwarantowano w Rosji wolność wyznania. Nie dotyczyło to jednak katolików obrządku bizantyjskiego, przeto ponad 130.000 unitów przyłączyło się do rzymskokatolickiego biskupstwa w Lublinie. W czasie I wojny światowej Rosjanie wtargnęli do Galicji; swą starą politykę "zbierania ziem ruskich" prowadzili tu nie tylko w charakterze rzekomych protektorów narodu ukraińskiego, ale także w imieniu Kościoła prawosławnego. W ten sposób, we współdziałaniu z moskiewskim Kościołem prawosławnym doszło do srogiego prześladowania unitów, którego punktem kulminacyjnym było anulowanie Unii Brzeskiej oraz aresztowanie i zesłanie na Syberię metropolity Andrzeja Szeptyckiego/Andrija Szeptyćkoho/. Po powrocie Szeptyckiego do Lwowa / 1917 rok/ jego najbliższym powiernikiem stał się ks. Józef Slipyj /Josif Slipyj/.

W 1918 roku, w brzeskim traktacie pokojowym, zawartym pomiędzy Rosją bolszewicką, a Niemcami kajzerowskimi, Rosja musiała uznać niepodległość Ukrainy. Jednakże już w trakcie rosyjskiej wojny domowej proklamowano Ukraińską Sowiecką Socjalistyczną Republikę; Wołyń i Galicja Wschodnia przypadły Polsce. W 1922 roku ZSRR weszła w skład nowo utworzonego Związku Sowieckich Socjalistycznych Republik /.../

W 1939 roku Kościół greckokatolicki na Ukrainie/ prawdopodobnie na obszarze Małopolski Wschodniej i terenach zajętych przez Rosję sowiecką/ liczył ok.: 4.370.000 wiernych w 3.040 parafiach z 4.440 kościołami; w pięciu diecez-

jach z dwiema administraturami apostołskimi urzędowało 11 biskupów, w tym jeden metropolita /arcybiskup/. Metropolita wspomagało 2.950 kapłanów świeckich, 520 kapłanów zakonnych i 1.090 zakonnic; oprócz akademii teologicznej istniało 5 seminariów duchownych z 540 seminarzystami i dwie szkoły seminaryjne dla chłopców; ukazywały się 3 tygodniki i 6 miesięczników uniickich.

Ukraina Zachodnia utraciła w 1939 roku na rzecz Węgier autonomię, uzyskaną w 1938 roku od Czechosłowacji; Galicja i Wołyń wpadły w ręce ZSRR na 22 miesiące. Dla Galicji oznaczało to restaurację /odnowę/ starej Rusi Kijowskiej, jednakże pod panowaniem sowieckim.

Od 1940 roku obowiązki po dotkniętym paraliżem metropolicie Szeptyckim przejął Józef Slipyj. Kościółowi uniickiemu znowu polecono przyłączyć się do Kościoła prawosławnego i ponownie spotkało się to z odmową wiernych.

Okupacja sowiecka w latach 1939 - 1941 spowodowała na zachodnich obszarach Ukrainy to, co na opanowanej przez Sowietów przed 1939 r. Ukrainie Wschodniej nastąpiło już w latach dwudziestych: wywłaszczenie, więzienie lub likwidowanie polityków, uczonych, duchownych i wiernych. Zarządzono likwidację wszystkich klasztorów oraz innych instytucji kościelnych a także konfiskatę dóbr należących do Kościoła. Próba ustanowienia kontrmetropolity sowieckiego została udaremniona przez wstąpienie wojsk niemieckich.

Wycofywaniu się wojsk sowieckich z Ukrainy towarzyszyły masowe deportacje ludności. Wśród wywiezionych znalazło się wielu duchownych; wielu innych poniosło śmierć wraz z tysiącami osób cywilnych. / ... /

Okres okupacji niemieckiej można uznać za sprzyjający odrodzeniu Kościoła unickiego w Galicji i częściowo na Wołyniu. Nie było to wprawdzie zgodne z ideologią nowych okupantów, wynikało jednak z dążenia władz do pozyskania sobie ludności ukraińskiej i wykorzystania jej do wiadomych celów / jako sprzymierzeńca w walce z bolszewizmem, a także z ludnością polską zamieszkujejącą licznie te tereny, a wrogo nastawionej do nowej okupacji /.

Już jednakże pod koniec 1943 roku Radio Moskwa rozpoczęło kampanię propagandową, w której "obiecywano" Ukraińcom powrót do "religii ojców" tj. do prawosławia. Bezpośrednio po powtórnym wstąpieniu do Galicji i na Wołyń w 1944 roku, Armia Czerwona postarała się "spełnić" tę obietnicę.

-----

W czasie II wojny światowej Stalin zastosował nową politykę wobec religii. W 1942 roku reaktywowano moskiewski patriarchat prawosławny i urząd oberprokuratora w postaci Komitetu do spraw Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego. Ukuto wtedy i puszczono w obieg propagandowe hasło "prawdziwego pokoju religijnego", przez co rozumiano podporządkowanie chrześcijan patriarchatowi moskiewskiemu.

W czerwcu 1944 roku Ukraina Zachodnia została po raz drugi zajęta przez



Armię Czerwoną. Dla uzyskania sympatii Ukraińców i "zamylenia im oczu" początkowo postępowano tak, by wyglądało, że rzeczywiście zastosowano nową politykę. W przeciwieństwie do pierwszej okupacji, tj. do lat 1939-1941, znacznie ograniczono propagandę ateistyczną, wydatnie obniżono podatki płacone przez Kościoły. Duchownym i kościelnym nie przeszkadzano w spełnianiu obowiązków, a nawet, podobnie jak studentów teologii, zwolniono od służby wojskowej. Oficerom i żołnierzom pozwolono uczestniczyć w nabożeństwach. Nie poróżniano też krzyży, które w czasie okupacji niemieckiej wróciły do szkół i szpitali.

Podczas gdy uprawianie kultu religijnego i obchodzenie świąt kościelnych było dozwolone, to - zgodnie ze Stalinowską konstytucją - zabronione było wszelkie upowszechnianie religii. Książki i publikacje o treści religijnej nie mogły się ukazywać. Pozamykano drukarnie diecezjalne. Na mocy nowej konstytucji zabroniono nauczania religii w szkołach; szkole narzucono ścisłą "neutralność". Kościoły były traktowane jako własność państwa, z tym, że można z nich było korzystać po opłaceniu niewielkiego czynszu.

Zezwolono na prowadzenie nauki w kościołach, jak również nie utrudniano pracy seminarium duchownym, ponownie otwartym w czasie okupacji niemieckiej. Studentów teologii zwolniono nie tylko z obowiązku odbywania służby wojskowej, lecz także z obowiązku pracy. Zakonnicy pozostali w klasztorach zwróconym im podczas okupacji niemieckiej.

Nadzieje na większe swobody religijne, jakie spodziewano się rozbudzić dzięki wprowadzeniu większości tych zarządzeń, miały w istocie ułatwić ponowne wprowadzenie "religii ojców" - prawosławia. Unitom nie wrótyło to nic dobrego. I rzeczywiście, wkrótce zażądano od Kościoła greckokatolickiego dobrowolnego włączenia się do rosyjskiego Kościoła prawosławnego.

Metropolita Andriej Szeptycki zdecydowanie odrzucił jednak to żądanie. Zarówno trwająca wojna, jak i dążenie do stworzenia podstaw pozycji mocarstwowej po wojnie, kazały rządowi sowieckiemu początkowo zrezygnować z podejmowania radykalnych kroków przeciwko unitom. Reakcja Sowietów na bezkompromisową odmowę metropolity Szeptyckiego uzewnętrzniła się początkowo w ujednotoliceniu podejścia do potrzeb religijnych mieszkańców Sowieckiej Ukrainy i Galicji.

-----

W dniu 17 września 1899 roku we Lwowie wyświęcony został na biskupa hrabia Andrzej Szeptycki. Od tego czasu aż do swej śmierci kierował on greckokatolickim Kościołem obrządku bizantyńskiego na Ukrainie jako następcą metropolity halicko-lwowskiego Juliana ze Stanisławowa. Do szczególnych jego zasług zaliczyć należy: harmonijne łączenie wpływów kulturowych Wschodu i Zachodu, zreformowanie seminarium duchownego i ustanowienie ks. Józefa Slipego jego rektorem oraz prowadzenie braterskiego dialogu między katolikami i prawos-

ławnymi na kongresach uniijnych w Walehradzie w Czechosłowacji na 40 lat przed II Soborem Natykańskim.

Metropolita Andrzej działał prawie 44 lata i stał się w tym czasie ojcem, tzn. "patriarchą" swego ludu - całego narodu ukraińskiego, zarówno wyznania katolickiego, jak i prawosławnego. Nawet radykałowie i socjaliści galicyjscy nie mogli odmówić mu uznania.

/.../ Dopóki żył, Sowieci nie okazywali wrogości wobec Kościoła; występowali nawet w roli "przyjaciół narodu". Sytuacja zmieniła się raptownie po śmierci długoletniego metropolity.

Metropolita Andrzej Szeptycki zmarł 1 listopada 1944 roku. Jego bratem był Stanisław Szeptycki, generał, minister spraw wojskowych i szef sztabu generalnego w II Rzeczypospolitej w latach dwudziestych. Po śmierci Andrzeja głową metropolii halickiej i arcybiskupem Lwowa został dotychczasowy sufragan i koadiutor /prałat dodany do pomocy arcybiskupa lub biskupa/, tytuł: arcybiskup Józef Slipej.

Metropolita Józef VII zarządził oficjalną żałobę do 11 listopada 1944 r. Uroczystości pogrzebowe odbyły się 5 listopada w katedrze św. Jura we Lwowie. Rząd sowiecki zezwolił na urządzenie wspaniałego pogrzebu z udziałem wielu wiernych, duchowieństwa i biskupów obrządku greckokatolickiego, ormiańskiego i łacińskiego. Pogrzeb odbył się na koszt państwa. Pozwolono by kondukt żałobny przeciągnął ulicami Lwowa, co wcześniej byłoby niemożliwe. W imieniu rządu sowieckiego w uroczystościach wziął udział I sekretarz Komunistycznej Partii Ukrainy, Nikita Siergiejewicz Chruszczow / późniejszy pogromca Stalina - po jego śmierci/. W pogrzebie towarzyszyli mu przedstawiciele administracji i partii oraz wysocy dostojnicy prawosławnego patriarchatu Moskwy.

Jednakże wkrótce po pogrzebie sterowana przez komunistów prasa sowiecka rozpoczęła znieszkawiającą i oszczerzącą kampanię przeciwko zmarłemu metropolicie, stanowiąca wyraz rzeczywistej polityki Stalina wobec religii.

-----

Wkrótce bolszewickie władze niedwuznacznie zażądały od metropolity Józefa Slipego, aby wypowiedział unię z Rzymem i podporządkował się rządowi sowieckiemu. Taktyka zdobywania możliwie wielu przyjaciół, jaką stosowano podczas ostatniej wojny, nabierała stopniowo wyrazistości ujawniając przy tym istotę komunistycznej polityki w stosunku do religii. W pełnej zgodzie z egzekutem galicyjskim i całym duchowieństwem metropolita odrzucił to żądanie, powołując się na zagwarantowanie w konstytucji stalinowskiej rozdziału Kościoła i państwa.

Aby zmusić unitów do przyłączenia się do rosyjskiego Kościoła prawosławnego władze sowieckie złamały swoje własne prawa i z a p r z e g ł y ń c

walki z unitami wszystkie dostępne siły: rozbudowany do monstrualnych rozmiarów aparat administracyjny i partyjny, policję, NKWD i inne tajne służby. Na przełomie lat 1944/45 władze zabroniły biskupom unickim ustnego i piśmennego komunikowania się z duchowieństwem i wiernymi.

Duchownych poczęto zwoływać na konferencje, które w zamysle komunistów służyć miały "duchowemu przekształceniu" kleru i przygotowaniu gruntu pod przyszłe poczynania. Księży zmuszano do uczestnictwa w tych "konferencjach"; ci, którzy nie chcieli wziąć udziału w "roboczych naradach" lub nie zgodzili się z komunistycznymi "misjonarzami", byli potem aresztowani i poddawani upokarzającym przesłuchaniom; znęcano się nad nimi fizycznie i moralnie.

Na tych "konferencjach" referenci partyjni "wyjaśniali" duchowieństwu historię Kościoła unickiego, niewybrednie atakując Unię Brzeską, papieżstwo i w ogóle Kościół katolicki. W szczególności oskarżano Kościół greckokatolicki o zdradę, współpracę z wrogiem, burżuazyjny nacjonalizm i wiele innych przestępstw politycznych. Od księży i ludzi świeckich żądano oczerniania biskupów, odrzucenia unii z Rzymem i powrotu do Kościoła prawosławnego.

W dniu 8 kwietnia 1945 roku agent NKWD opublikował w lwowskiej gazecie "Wilna Ukrajina" artykuł zatytułowany "Z krzyżem czy z mieczem", w którym w plugawy sposób znieważył zmarłego metropolitę Szeptyckiego. Zaatakowano właśnie jego, ponieważ cieszył się on sławą nie tylko obrońcy wiary, ale również bohatera narodu ukraińskiego. Po takim przygotowaniu psychologicznym uderzono w hierarchię unicką. Na początku kwietnia 45 roku II wojną światową można już było uznać za zwycięsko zakończoną - władze sowieckie nie potrzebowały więc dłużej ukrywać swej barbarzyńskiej polityki wobec religii.

-----

W dniu 11 kwietnia 1945 roku specjalny wydzielony oddział wojsk NKWD otoczył niespodziewanie katedrę unicką św. Jura we Lwowie. Po wkroczeniu do wnętrza i dokonaniu rewizji, zgodnie z praktyką służb tajnych zostali aresztowani:

metropolita Josyf Slipyj, biskupi Mykyta Budka i Mykoła Czarnecki, prałaci O. Nowalski i L. Kunicki, księża Gorczyński, Belej, Sampara, Trusz, Biłyk oraz dyrektor jednej ze szkół unickich i J. Hodunko. Studentów seminarium spędzono do gmachu NKWD, gdzie oświadczono im, że ukraiński Kościół katolicki przestał istnieć. Tego samego dnia funkcjonariusze NKWD/ Ministerstwa Spraw Wewnętrznych aresztowali w Stanisławowie biskupów Mykhorego Chamyszyna i Iwana Latyszewskiego.

W dniu 19 września 1945 roku aresztowani zostali biskupi Jozefat Kocyłowski i Myhoriij Lakota, którzy do tego momentu rezydowali w Przemyślu. Chociaż aresztowanie obu biskupów odbyło się na oczach polskiego rzymskokatolickiego biskupa polskiego Bardy, nie podniósł się głos protestu ani ze

strony episkopatu polskiego, ani też duchowieństwa czy ludności. W styczniu 1946 roku obaj biskupi zostali zwolnieni z aresztu. Pozwolono im wrócić do Przemyśla, ponieważ władze sowieckie planowały doprowadzić do zjednoczenia Kościoła greckokatolickiego z prawosławnym na specjalnym soborze, którego przewodnictwo chciały powierzyć biskupowi Kocyłowskiemu. Kiedy ten odmówił, obaj biskupi przemyscy zostali 25 i 26 czerwca 1946 roku ponownie aresztowani przez milicję sowiecką i przewiezieni do Lwowa. Stąd biskupa Kocyłowskiego przetransportowano do więzienia w Kijowie, gdzie zmarł 17 listopada 1947 roku.

W czerwcu 1945 roku agenci sowieccy pojmali w Berlinie wizytatora apostolskiego sprawującego pieczę nad unitami ukraińskimi znajdującymi się w Niemczech, prałata Petra Werhuna, chociaż nie miał on ani polskiego, ani sowieckiego obywatelstwa. Alumnów seminariów we Lwowie i Stanisławowie wcielono do Armii Czerwonej. Wyższe duchowieństwo wraz z urzędnikami kurii biskupich oraz profesorami teologii i filozofii na akademiach i w seminariach przesłano do obozów koncentracyjnych we wschodnich rejonach ZSRR. W sumie uwięziono około 1000 duchownych. / .../

Dopiero w rok po aresztowaniu hierarchii/wyższego duchowieństwa/ ukraińskiego Kościoła katolickiego przyszła pierwsza wiadomość o uwięzionych; wiadomym stało się, że żaden biskup nie wyrzekł się unii z Rzymem i nie przeszedł na prawosławie. Wielu biskupów jeszcze przed aresztowaniem złożyło deklarację lojalności i posłuszeństwa wobec Stolicy Apostolskiej.

-----

Proces przeciwko biskupom unickim odbył się przy drzwiach zamkniętych. W marcu 1946 roku ogłoszono akt oskarżenia: obwiniono w nim biskupów o wrogą działalność przeciwko wywiadowi NKWD, współpracę z niemieckimi faszystami i podobne przestępstwa. Metropolitę Josifa Slipego i jego sufragana, Mykyta Budkę, skazano na 8 lat, biskupa Mykołaja Czarneckiego na 5 lat, a osiemdziesięcioletniego biskupa Mykhorego Chamyszyna aż na 10 lat kagru.

Metropolitę Slipego skazano powtórnie w 1953 roku. Po zwolnieniu z obozu koncentracyjnego w Tiemnikowie i osiedleniu się pod Moskwą podjął on bowiem obowiązki związane ze swoją pracą i powołaniem. Odmawiał wszelkich propozycji przejścia na prawosławie lub wyjazdu ze Związku Sowieckiego. Tym razem wyrok brzmiał: 17 lat ciężkich robót przymusowych i bezterminowe zesłanie na Syberię. W jakiś czas po śmierci Stalina skierowano go do domu starców w południowej Syberii, gdzie wykonywał prace posługacza. W 1957 roku został skazany po raz trzeci z powodu utrzymywania kontaktów w Galicji i na Ukrainie, tym razem na 7 lat więzienia.

W 1962 r. skazano go po raz czwarty i trzymało w więzieniu w republice

nordwińskiej w głąbi Syberii. Po koniec stycznia 1965 roku wskutek nalegań papieża Jana XXIII, metropolita Słipyj został po prawie 16 latach więzienia i katongi ułaskawiony przez Radę Najwyższą. Dnia 4 lutego tego roku wyjechał w towarzystwie prałata Nillebrandisa do Rzymu, gdzie został przyjęty przez Jana XXIII, a następnie wziął udział w Soborze II Watykańskim. W dniu 25 lutego 1965 roku papież Paweł VI nadał mu godność kardynała Kościoła rzymskokatolickiego. /.../

Z grupy więzionych w 1945 r. wyższych duchownych unickich zmarł 24 grudnia 1945 r. w więzieniu w Kijowie biskup Stanisławowa Wryhoryj Chanyszyn. 17 listopada 1947 r. zmarł w obozie karnym koło Kijowa biskup przemyski Kocyłowski. Biskup sufragan Budka zmarł 1 października 1949 r. w Łagrze w Kieragandzie, a biskup przemyski Łajota - 12 listopada 1950 r. w Łagrze koło Norikuty za kołem polarnym. 7 lutego 1957 r. tuż po otrzymaniu zgody na wyjazd do wolnego świata, zmarł nad Angarą wizytator apostolski, prałat Werhun. Biskup sufragan stanisławowski Łatyszewski zmarł z wycieńczenia fizycznego 29 lutego 1957 r. wkrótce po powrocie z Łagru do Lwowa. Także na skutek całkowitego wyczerpania fizycznego zmarł 2 kwietnia 1959 r. po zwolnieniu z Łagru, wizytator apostolski Wołynia, biskup Mykoła Czarneski. Przy życiu pozostał jedynie w tym czasie metropolita Josif Słipyj. Zmarł on dopiero jesienią 1984 r. w Rzymie.

-----

W ten sposób władze sowieckie pozbawiły ukraiński Kościół katolicki prawowitej hierarchii. Z drugiej strony ludność wskutek czystek w szeregach duchowieństwa niższego rzędu, terroru, aresztowań i masowych zsyłek została wtrącona w stan zastraszenia i przygnębienia moralnego. Po uwięzieniu biskupów kurie usiłowały wybrać zgodnie z prawem wikariuszy kapitulnych, którzy zarządzaliby diecezjami w okresie wakansu. Władze uniemożliwiły jednak przeprowadzenie takich wyborów i zabroniły tym samym unitom posiadania własnej, prawowitej administracji.

W końcu wydano zarządzenie, że tylko ci księża będą mogli odprawiać nabożeństwa, którzy się zarejestrują w odpowiednim urzędzie państwowym. Jednocześnie w każdej parafii utworzono komitet, któremu przekazano zarząd nad wszelkimi dobrami kościelnymi. Komuniści zadbali o to, by w skład komitetów weszły osoby cieszące się ich zaufaniem. Już pod koniec 1945 roku rosyjski Kościół prawosławny zaczął sam obsadzać dawne biskupstwa unickie na Ukrainie.

W walce z nacjonalizmem ukraińskim i w dążeniu do zniszczenia Kościoła unickiego, do rozbicia jego zwolenników i narzucenia wiernym ducha sowieckiego patriotyzmu sowieci posługiwali się scentralizowanym i posłusznym sobie rosyjskim Kościołem prawosławnym. Zaledwie w kilka tygodni po areszt-

towaniu biskupów powstała z inspiracji sowietów grupa inicjatywna do spraw przygotowania grekokatolików do przejścia do Kościoła prawosławnego. Nierownictwo tej grupy powierzono unickiemu księdzu Gabrielowi Kostełnykowi.

Wcześniej jeszcze, gdy wzdregał się przyjąć tę funkcję KIMD aresztowało mu syna, by zmusić w ten sposób do przyjęcia tej "godności". Wkroczenie wojsk niemieckich uniemożliwiło początkowo realizację tego planu. Po ponownym przejściu władzy przez sowietów K. Kostełnyk został w 1944 r. aresztowany.

Jaki sposób zmuszono go tym razem do przyjęcia roli odstępcy nie wiadomo!

Grupa inicjatywna, występując w imieniu trzech diecezji unickich: przemyskiej, stanisławowskiej i lwowskiej, wydała odezwę, wzywając duchowieństwo unickie, aby - po terytorialnym zjednoczeniu Ukrainy z Rosją - współdziałało w zjednoczeniu religijnym na łonie rosyjskiego Kościoła prawosławnego.

-----

W rok po utworzeniu grupy inicjatywnej został uczyniony ostatni krok na drodze do unieważnienia trwającej ponad 350 lat unii z Rzymem. Na 9-10 marca 1946 r. zwołano "sobór" w katedrze św. Jura we Lwowie. Jego przewodnictwem objęli przywódcy grupy inicjatywnej bez objawienia w jakiegokolwiek formie, iż opuścili już ukraiński Kościół katolicki. Z 1270 duchownych czynnych wówczas w diecezjach unickich w tym pseudosoborze uczestniczyło, zgodnie z listą obecności, 214 księży i 19 osób świeckich /oraz tajniaków KIMD/. Na liście obecności znalazły się również nazwiska księży od dawna już nie żyjących.

W nowie inauguracyjnej Kostełnyk stwierdził, że unią z Rzymem z 1596 roku była zawarta wyłącznie w interesie ówczesnej Polski, "teraz jednak Ukraińcy chcą się oddzielić od macochy - Rzymu, aby połączyć się z prawdziwą matką - moskiewskim Kościołem patriarchalnym". W dniu 9 marca 1946 r. nowi biskupi z grupy inicjatywnej, Mełnyk i Pełwecki, wspólnie z biskupami prawosławnymi, Makerym ze Lwowa i Kestorem z Mukaczowa na Ukrainie Zakarpackiej, odebrali od obecnych na pseudosoborze "wyrzeczenie się łacińskich błędów". Następnie wysłano wiernopoddatkowe telegramy do patriarchy moskiewskiego, patriarchy Konstantynopola, do Stalina i do szefa rządu sowieckiej Ukrainy.

W starej katedrze unickiej we Lwowie, po wzywaniu św. Jura odbyły się uroczyste obchody "nowej unii" z patriarchatem moskiewskim. Uroczystościom tym przewodniczył metropolita Kijowa - Joannes.

Po zakończeniu "soboru" delegacja na czele z Kostełnykiem pojechała do Moskwy. W dniu 5 kwietnia udzielił jej audiencji patriarcha Moskwy-Aleksy. Kilka dni później odprawił on w katedrze prawosławnej w Moskwie uroczyste nabożeństwo, które koncelebrowali Mełnyk i Pełwecki.

Rząd sowiecki natychmiast "uznał" Kościół grekokatolicki za rozwiązany i energicznie przystąpił do całkowitej jego likwidacji. W wyniku powstałego

oporu około 50% duchownych uwięziono lub deportowano na Sybir. Podczas fali procesów zamkniętych dla publiczności, skazano przeszło 2.000 księży, zakonników i zakonnic na długoletnie kary więzienia. Około 10% księży udało się za zgodą swych biskupów na emigrację. Tylko 30% duchownych pod fizycznym i psychicznym naciskiem sowietów przeszło formalnie na prawosławie, wielu jednak z nich pozostało potajemnie katolikami. Pozostałym 10% księży udało się stworzyć Kościół w katakumbach/ w podziemiu/, w którym wierni musieli odtąd żyć w stałym strachu przed prześladowcami. W 1957 r. czasopismo eparchii lwowskiej "Prawosławnyj wistnyk" skarżyło się, że w Galicji istnieje jeszcze wiele setek parafii, które nie chcą się podporządkować patriarchatowi moskiewskiemu.

Ustanowieni przez Moskwę przywódcy psudoscoboru we Lwowie, G. Kostełnyk, M. Kelnik i A. Peżwecki, zmarli w ciągu następnych dziesięciu lat w dość tajemniczych okolicznościach.

-----

W PRL po 1956 roku obrządek greckokatolicki odzyskał możliwości działań religijnych i obsługuje obecnie około 300 tys. wiernych na ziemiach północnych i zachodnich, a także tradycyjnie na południowym-wschodzie. Kościół nie ma osobnej hierarchii, funkcje ordynariusza/gospodarza, szefa/ spełnia Prymas Polski, a więc początkowo kard. August Hlond, później Stefan Wyszyński, a obecnie kard. Józef Glemp. Pełnomocnikiem Prymasa-Ordynariusza jest wikariusz generalny, jeden za życia kard. S. Wyszyńskiego i dwóch / wikariat północny i południowy/ ustanowionych przez J. Glempa. Obowiązki te spełniają obecnie : o. Romaszuk i ks. Martyniak. Oba wikariaty obejmują ponad 70 parafii z 50 księżmi z obrządku greckokatolickiego, w części zakonnikami.

Istnieje bowiem nadal w PRL prowincja unickiego zakonu bazylianów, posiadająca klasztor w Warszawie i kilka domów zakonnych w kraju. Większość księży unickich to młodzi ludzie, a w dwóch seminariach kształcą się alumni na przyszłych duszpasterzy. Sytuacja więc grekokatolików w PRL jest znacznie korzystniejsza niż w ZSRR, dzięki przede wszystkim zasługom kard. Stefana Wyszyńskiego i obecnego papieża, Jana Pawła II oraz znaczeniu i sile Kościoła katolickiego w PRL.

Pokożenie Kościoła unickiego w Polsce zależy również od stanu stosunków między Polakami i Ukraińcami. Dobrze przysłużyła się tej wielkiej sprawie wieńcząca pielgrzymkę wiernych obrządku greckokatolickiego msza św. odprawiona na Jasnej Górze w sierpniu 1982 r. Wygłosił wtedy homilię Prymas Józef Glemp oraz prowincjał zakonu bazylianów, o. Jozafat Romanyk.

Fakt, że obecnie po obu stronach przeważają nie refleksje nad przeszłością, ale zastanawianie się nad teraźniejszością i przyszłością - daje duże nadzieje.

-----

/.../ Hans Dieter Kemp "Dzieje Kościoła unickiego -1944"/LOS 1986 r./

Niepoślednią rolę w stosunkach pomiędzy grekokatolikami/uniitami/prawosławnymi i rzymskokatolikami, na Ukrainie, a szczególnie w Małopolsce Wschodniej i południu odgrębiły klasztory /monastery/ zwane w rosyjska "ławrami".

Takie "ławry" czyli monastery uniickie, prowadzone i obsadzone przez prądy zakon bjców bazyljanów ufundował i zaopatrzył książę Nikołaj Potocki, ojciec Stefana Potockiego, w Buczaczu, Horodence i Sokalu, a także później, na miejscu starej cerkwi z obrazem cudownym N. Boskiej, w Poczajowie, w pobliżu Irzemińca na Wołyniu.

Pierwotnie wołyńską cerkiew, zwaną soborem Troickim/ pod wezwaniem świętej Trójcy/ wzniesiono z inicjatywy i pomocy finansowej ruskich właścicieli tej wsi - Fedora i Dawy Domaszewskich w 1649 roku. Prawdopodobnie czynnikiem, który zaważył na decyzji budowy nowego soboru w Poczajowie był wzrastający kult cudownego obrazu Matki Boskiej i zwiększający się ruch pątniczy do monasteru z cudownym obrazem, którego sława i legenda były już w końcu XVII mocno ugruntowane na terenie południowej części Wołynia a także całej środkowej Małopolski.

Kult obrazu NMP zwiększyli i spotęgowali właśnie ojcowie bazylianie uniicy, doprowadzając w XIX w. do jego koronacji. Później władze carskie, po przywróceniu monasteru prawosławnym, podnieśli klasztor do godności rosyjskiej "ławry" / 1833 rok/ z powodów czysto politycznych, by szerzyć rusycyzm na tych terenach.

W połowie XIX wieku prawosławny archimandryta urzędujący w Poczajowie zapoczątkował budowę cerkwi-pomnika na "kozackich mogiłkach" pod Beresteczkiem, na polu pamiętnej bitwy roku 1651 pomiędzy wojskami Rzeczypospolitej a Tatarami i kozakami Chmielnickiego. Zebrano trochę kości poległych wojowników kozackich i pochowano w grobowcu. Budowa cerkwi trwała około pięciu lat a postawiono ją na błotach wsi Flaszowa, na małej wysepce Żurawlicha.

Miało to oznaczać troskę carskiej władzy i eparchatu moskiewskiego o jedność historyczną i duchową "ruskiego naroda", tzn. carstwa rosyjskiego i Ukrainy. Faktycznie służyło wyłącznie dalekosiężnym planom imperialnym Rosji. Na ścianie cerkwi wmurowana została tablica pamiątkowa, przypominająca wiernym i turystom, że ludność swoimi ofiarami dopomogła w realizacji tablicy "... za poległych za prawosławną wiarą i świętą Ruś", natomiast brak jest tam nawet jednego słowa traktującego o wolnej Ukrainie i walkach o jej niepodległość. Wynika z tego jasno, że autorzy pomysłu budowy cerkwi, jak i wmurowania tablicy pamiątkowej pod wyrazem "święta Ruś" nie rozumieli niepodległa Ukraina, czy w ogóle Ukraina, lecz jedynie i wyłącznie mieli na myśli Rosję carską, ~~tepiając~~ ~~szukając~~ swoimi absolutystycznymi rządami wszelką myśl o niepodległej Ukrainie.

W Ławrze Poczajowskiej od 1856 były ustanowione przez prawosławną epar-



chnię moskiewską "dni świętych wołyńskich" w odpowiednich porach roku. Między innymi dzień 25 maja święcono na pamiątkę " cudownego ocalenia imperatora Aleksandra Nikołajewicza od grożącego mu niebezpieczeństwa w Paryżu 2 maja 1867 roku/wg. kalendarza gregoriańskiego, poprawionego, używanego obecnie/. Chodziło wówczas o słynny zamach Berezowskiego na cara Aleksandra II; po śmierci cara Aleksandra II przeniesiono je na dzień 10 października, jako na dzień powrotu Ławy Poczajowskiej na prawosławie.

Pociągnięcia rządu carskiego współ z władzami duchownymi prawosławia miały wyraźne tendencje rusyfikacyjne w stosunku do rdzennej ludności ziem wołyńskiej, i takimi będą do czasu całkowitego rozkładu i upadku caratu, a potem narodzin nowego, jeszcze bardziej despotycznego i bezwzględnie wroga chrześcijaństwa, a także innych wyznań, tzn. powstania ZSSR.

-----

W okresie 1758-1769 na terenach leżących pomiędzy Dnieprem i Bohem, na wysuniętym w kierunku południowo-wschodnim skrawku, pozostającej jeszcze w rękach Rzeczypospolitej tej części Ukrainy prawobrzeżnej, wybuchło inspirowane przez agentów i prowokatorów carycy Katarzyny II powstanie chłopów ukraińskich, skierowane swym ostrzem przeciwko Polakom, a przede wszystkim przeciwko uczestnikom Konfederacji Barskiej.

Centralny ośrodek polszczyzny na tym skrawku, miasto Humani, stało się w tym okresie widowiskiem straszliwej rzezi ludności polskiej i żydowskiej, przeprowadzone przez zezwierzęconych przywódców powstania: Iwana Gonta i Maksyma Leleśniaka.

Jeszcze w 1655 roku jesienią podjęto w Moskwie decyzję całkowitego anektowania Ukrainy. W pierwszym rzędzie chodziło tu o zagrabienie i podporządkowanie Rosji części Lewobrzeżnej, w następnej kolejności w sprzyjających warunkach Rosja planowała pokonanie Turcji, blokującej dostęp do wybrzeży Morza Czarnego poprzez tereny ukraińskie. Po pomyślnym zakończeniu wojny z Turcją i opanowaniu ujścia Dniepru i Bohu nadszedł wreszcie czas do skoncentrowania swej uwagi na militarnym podboju wysuniętego skrawka terenów położonych właśnie pomiędzy Dnieprem a Bohem. Tereny te z kolei blokowały parcie Rosjan w kierunku na południowy zachód do Dniestru, gdzie rozciągały się ziemie Mołdawii i Bukowiny, będące ówczesnie pod panowaniem imperium tureckiego, a stanowiące klucz do wtargnięcia na Bałkany.

Długotrwałe wojny Polski z Rosją, prowadzone <sup>były</sup> ze zmiennym szczęściem od 1654 do 1667 roku. Kres tym wojnom położył rozejm w Andruszowie w 1667 roku, na którym przeprowadzono trwały podział Ukrainy: Rosja zatrzymywała Zadnieprze oraz Kijów /rzekomo na dwa lata!?.

Po traktacie buczackim, kiedy to zwycięska Turcja opadła od 1672 roku całe Podole i ziemie leżące pomiędzy Bohem a Dnieprem, nastąpił okres częs-

ciowych zwycięstw Rzeczypospolitej w czasie panowania króla Jana III Sobieskiego: po zwycięstwie pod Wiedniem w 1683 roku, po bitwie pod Parkanami 9.X.1683 r./gdzie król poniósł klęskę/ oraz po rozstrzygającej bitwie pod Ostrzyhomiem w dniu 28.X.1683 roku i Seczanami 10.XI.1683 r. - wewnątrz kraju staczano również pomyślne walki z Turkami. Kasztelan krakowski Andrzej Potocki odzyskał wówczas całe Podole i Ukrainę w końcu 1683 roku, przywracając na tych terenach władzę Rzeczypospolitej.

Tak więc po wyeliminowaniu Turcji przez wojska carycy Katarzyny II oraz armie króla Jana II Sobieskiego z rywalizacji o terytoria prawobrzeżnej Ukrainy, interesy Rosji i Rzeczypospolitej natychmiast starły się ze sobą w dążeniu do utrzymania prawobrzeżnej Ukrainy w swoich rękach. Jak wiemy, ze zmagani tych Rosja wyszła zwycięsko.

Dwa wielkie czyny są wybitne w dziejach panowania króla Jana III Sobieskiego. Zelektryzował on upadający naród polski i natchnął olbrzymim, świętym zapalem do walki o wielkość Rzeczypospolitej, zadając śmiertelny cios potędze tureckiej, zagrażającej Europie i stając się obrońcą Polski i Chrześcijaństwa. Z drugiej strony, którego winę podziela także cały naród polski, to król ten zaniedbał sprawę obrony Rzeczypospolitej przed nowym, jeszcze groźniejszym wrogiem, Moskwą, wpuszczając jej wojska w głąb granic Polski traktatem Grzymułtowskiego w 1686 roku. Był to tzw. "pokój wieczysty". Mocą tego traktatu potwierdzono rozdział Ukrainy oraz stratę Kijowa na rzecz Rosji, a także obsadzenie wielkich twierdz na południowych krańcach prawobrzeżnej Ukrainy przez wojska rosyjskie przed atakami Turcji.

Stan ten dotrwał do drugiego rozbioru Polski w 1793 roku, następnie dalsze wypadki potoczyły się już lawinowo; Rosja w swym niepohamowanym parciu na zachód wyznaczyła nowe granice swego imperium grabiąc nie tylko całą Ukrainę, Białoruś i Litwę, ale również i rdzenne ziemie Rzeczypospolitej łącznie z jej stolicą Warszawą.

-----

Małopolska Wschodnia, zwana inaczej "Galicja" z ośrodkiem we Lwowie, a jeszcze wcześniej w Haliczu /"Halycyna"= Galicja/ w czasie rozbiorów Rzeczypospolitej przypadła w udziale cesarskiej Austrii. Ten skrawek dawnej Polski, pamiętający czasy jej świetności, a także walki o wolność i niezawisłość z zaciętymi wrogami, przekształcił się z biegiem czasu za sprawą austriackiej polityki w centrum rozwijającego się w tych granicach ukraińskiego nacjonalizmu, służącego początkowo austriackiemu cesarstwu, a później hitlerowskim Niemcom. W części Ukrainy, która przypadła w podziale łupów po Rzeczypospolitej naprzód carskiej Rosji, a później ZSSR, ukraiński nacjonalizm został wytępiony ogniem i mieczem, a także bezpowrotnymi zsyłkami na Sybir; jego najwybitniejszych przedstawicieli lub masy niewinnych ofiar planowych prze-

siedleń w ramach pacyfikacji ogromnych obszarów zarażonych bakcylem dążenia do wolności i niepodległości. Wybuch I wojny światowej w 1914 roku i przesunięcie się frontu rosyjsko-austriackiego daleko na wschód spowodowały natychmiastowe ujawnienie się niepodległościowych dążeń większości uświadomionych politycznie i społecznie mas ukraińskich.

Za mgliste obietnice utworzenia wolnej Ukrainy pod zwierzchnictwem i przy ścisłej wojskowej i gospodarczej współpracy z austriackim okupantem, rząd austriacki i dowództwo wojskowe zarządziły masowy pobór rekruta narodowości ukraińskiej, a w części także polskiej, czeskiej, słowackiej oraz żydowskiej. W małej ilości szeregi armii austriackiej zasilili przeciwnicy caratu o narodowości rosyjskiej. Węgry i Rumuni ze swoimi wojskowymi formacjami wspomagali jedynie zaplecze frontu, sympatyzując w większości z pozycjami militarnymi Zachodu.

W ramach wspólnego dowództwa rząd austriacki utworzył w czasie przygotowań do wojny z Rosją w koalicji z cesarskimi Niemcami kilka dywizji ukraińskich, które przeszły chrzest bojowy na kilku frontach: bałkańskim, włoskim oraz w Galicji przeciwko carskim armiom rosyjskim. Dywizje te otrzymały po pewnym czasie własnych oficerów łącznie w stopniu generalskim o zapatrywaniach wybitnie nacjonalistycznych, marzących o utworzeniu niepodległej Ukrainy w odpowiednim czasie. W toku prowadzenia wspólnych działań na frontach zdawało się, że obietnice rządu austriackiego będą częściowo zrealizowane, ponieważ zwycięskie walki szczególnie na wschodzie przeciwko armiom rosyjskim pozwalały przypuszczać na dobrą wiarę w te obietnice.

W końcu wojny tzn. w roku 1918, kiedy było już wiadomo, że państwa centralne: Austro-Węgry i Niemcy cesarskie przegrają wojnę, nacjonałiści ukraińscy szczególnie wywodzący się z Małopolski Wschodniej, doskonale zorientowani w sytuacji politycznej, skierowali całe swe wysiłki i dążenia w celu natychmiastowego utworzenia we Lwowie własnego rządu i własnej państwowości w pierwszej kolejności na terenie Zachodniej Ukrainy, a później, o ile tylko pozwolą na to warunki i sytuacja polityczno-militarna, na terenach w dorzeczu Dniepru. W pierwszym rzędzie zabrali się energicznie do załatwienia "sprawy polskiej". Jednakże natrafili z miejsca na zupełnie niespodziewane przeszkody.

-----

/. Jest ironią historii, że pierwsze starcie zbrojne po odzyskaniu niepodległości stoczyli Polacy nie z którymś z zaborców, ale właśnie z siłami dążącymi do własnej wolności - z U k r a i Ń c a m i. Terenem tego starcia, zanim nie rozwinęło się w b. poważny konflikt wojskowy, a później społeczny i narodowościowy - S. K., było miasto L w ó w.

Fakt ten zaburzył dalszy rozwój wypadków w bardzo szczególny sposób, za-

ciemniając niekiedy polityczną i racjonalną stronę zagadnienia wielkim nagromadzeniem się elementów uczuciowych. Przez cały czas trwania rozbiorów Lwów był jednym z najżywszych i najbardziej twórczych ośrodków polskości, zarówno pod względem kulturalnym, pod względem pielęgnowania tradycji i aspiracji narodowych, jak i dlatego, że z drugiej połowy XIX wieku był to właściwie swobodnie działający polski ośrodek polityczny. Konkurował z nim Kraków. Z tych dwóch miast Lwów był miastem większym, był ponadto siedzibą władz Galicji, a jego ludność, co jest faktem nie bez znaczenia, odznaczała się żywiołową energią i indywidualnością.

Poczucie polskości było dla mieszkańców Lwowa czymś w rodzaju zaważania bojowego, co wynikało w sposób naturalny z tradycji miasta kresowego, położonego na terytorium o ludności mieszanej, ze zdecydowaną liczebną przewagą Ukraińców a tradycyjno-kulturalną Polaków. Za czasów przedrozbiorowych Lwów był klasycznym przykładem zgodnego współżycia / i nie tylko Lwów S.K. / nie dwóch, ale trzech narodowości, skupionych na małym obszarze miejskim. Dumny był ze współżycia elementu polskiego, ruskiego i ormiańskiego. Tradycje te były ciągle żywe wśród Polaków mieszkających we Lwowie, nie wywierały jednak żadnego wpływu na psychikę budzących się do pełnej świadomości narodowej Ukraińców. Należy tu dodać, że element ormiański uległ już dawno całkowitej polonizacji, pielęgnując jedynie odrębności obrzędowe w ramach Kościoła katolickiego.

Samo miasto Lwów miało charakter zdecydowanie polski. Polacy stanowili 62% mieszkańców. Drugą grupą byli Żydzi, w swych obyczajach w dość znacznym stopniu spolonizowani. Natomiast Ukraińców było we Lwowie około 20%. Ze wszystkich skupisk polskich jakim był Lwów, był on otoczony najbardziej zwartym pierścieniem osiedli ruskich/ukraińskich/. W pozostałej części Galicji Wschodniej większe skupiska polskie zgromadzone były przeważnie we wschodniej i południowej grupie osad z największym nasileniem w okolicach Tarnopola, czyli na tzw. Podolu galicyjskim.

W stosunku procentowym w Galicji Wschodniej - przyjmując rzekę San za granicę państwową - na 5.400.000 mieszkańców, Polaków było ponad półtora miliona /28%/, a Ukraińców 3.200.000 /59%/. Reszta /ok. 12% / to społeczeństwo żydowskie. Wśród Polaków ludność rolnicza stanowiła ok. 40%, podczas gdy ludność wiejska ukraińska wynosiła ok. 91%. Elementem zamożniejszym, bardziej zorganizowanym i nadającym żywsze tempo całemu życiu byli Polacy.

Cała prawie warstwa urzędnicza, na wszystkich szczeblach do urzędu namiestnika /cesarskiego przedstawiciela rządu/ włącznie, była złożona z Polaków. Powodowało to niezadowolenie Ukraińców w szerszym tego słowa znaczeniu. Ta swoista dyskryminacja w stosunku do ludności ukraińskiej widoczna była szczególnie w szkolnictwie, najważniejszej dziedzinie, jaką jest oświata.

Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie i Politechnika Lwowska miały wówczas bardzo mały procent studentów-Ukraińców, a językiem wykładowym był polski. To rzeczywiste uprzywilejowanie elementu polskiego znajdowało także wyraz w ordynacji wyborczej, zarówno do Sejmu galicyjskiego jak i do parlamentu austriackiego w Wiedniu.

Opór czy bunt przeciwko takiemu stanowi rzeczy w poważniejszym stopniu rozwinał się dopiero w wieku XX. Ruchowi ukraińskiego odrodzenia narodowego przewodzili z jednej strony przede wszystkim duchowni u n i c c y, z drugiej zaś strony stosunkowo nieliczna, lecz patriotyczna / aż wpadająca w skrajny szowinizm - S.K. / i energiczna grupa inteligencji ukraińskiej. W tym okresie wiele rodzin ukraińskiej inteligencji przechodziło proces nawrotu do swej pierwotnej narodowości i tradycji. Były to bowiem rodziny ruskie, niegdyś spolszczone, najczęściej szlacheckie, które zachowały związek z kulturą ukraińską d z i ę k i w y z n a n i u u n i c k i e m u, chociaż nie było to regułą. Zdarzały się bardzo częste wypadki, że rodzeni bracia przyznawali się do innych narodowości. Najbardziej znany jest przykład rodziny hr. Szeptyckich, gdzie jeden brat - Andrzej /Andriej/-był unickim metropolitą Lwowa i w pewnym sensie moralnym patronem, a nawet dyktatorem nacjonalistycznego skrzydła Ukraińców galicyjskich, a drugi - Stanisław - był generałem wojska polskiego.

W przededniu pierwszej wojny światowej Ukraińcy galicyjscy zaczęli już stanowić konkretną siłę polityczną, z czego choć może to wydać się dziwne - nie zdawali sobie w pełni sprawy ich sąsiedzi - Polacy. Ukraińców dzieliły, co jest rzeczą zrozumiałą, granice tzw. "orientacji", tym się między sobą różniące, że każda z nich z innej strony oczekiwała spełnienia swych marzeń i ambicji narodowych, zresztą bardzo umiarkowanych.

Istniał ruch moskalofilski. Nie należy go utożsamiać z zaprzęciem swej odrębności narodowej i z dawaniem posłuchu carskiej, rosyjskiej propagandzie i polityce, które - jak wiadomo - negowały istnienie odrębnego narodu, jak również państwowości ukraińskiej, a język ukraiński nazywały "dialektem małorosyjskim". Moskalofile wśród Ukraińców galicyjskich spodziewali się po prostu, że w konflikcie austriacko-rosyjskim zwycięży Rosja carska, co pozwoli im na wywalczenie jakiegoś zakresu autonomii /niezależności/. Czynne wśród nich było skrzydło zwolenników prawosławia, w którym widzieli - nieskutecznie zresztą - skuteczniejsze zabezpieczenie przed polonizacją niż w kościele unickim. W roku 1914, gdy Rosjanie okupowali Galicję Wschodnią, nadzieje i wpływy moskalofili rozplynęły się bezpowrotnie. Przyczyną była gwałtowna i bezwzględna rusyfikacja przeprowadzana przez wojskowy zarząd rosyjski i brutalne określenie wszystkich Ukraińców jako Rosjan i poddanych cara.

O wiele silniejsza była orientacja austrofiliska. Nacjonaliści ukraińscy w tym czasie widzieli przyszłość swego ruchu w związku z federacyjnym cesarstwem austriackim. W czasie pierwszej wojny pracowali usilnie nad koncepcją przekształcenia Galicji Wschodniej w austriacki kraj koronny, obejmujący także Bukowinę i Ruś Zakarpacką, ówczesnie jako część Węgier. Podstawowym krokiem do realizacji tej koncepcji byłaby zgoda Wiednia na podział Galicji na dwie prowincje. Przeciwwstawiali się temu energicznie i skutecznie Polacy.

Wśród działaczy ukraińskich jedynie dr. Panejko próbował przy końcu wojny tworzyć orientacją pro-aliancką /prozachodnią/ unikając jednak starannie prób porozumienia z Polakami.

-----

W październiku 1918 roku cesarstwo Austro-Węgierskie wskutek niepomyślnych wydarzeń wojennych było już w stanie rozkładu. Główna Rada Ukraińska pod przywództwem Lewickiego i Eugeniusza Petruśzewicza zwołała na 19.X.1918 roku wielki wiec w Lwowie, który opowiedział się za utworzeniem państwa ukraińskiego związanego z Austrią, biorąc za podstawę twierdzenie, że jest to jedyny sposób zabezpieczenia Ukraińców galicyjskich "przed naporem imperialistycznych sąsiadów". Jest rzeczą charakterystyczną, że na tym samym wiecu poseł Hankiewicz zgłosił wniosek proklamowania niepodległości całej zjednoczonej Ukrainy, a nie tylko w Galicji. Chodziło o to, że w październiku w Kijowie obalono siłą proniemiecki rząd hetmana Skoropadzkiego, i z chaosu powstałej sytuacji wyłoniony został Dyrektoriat w osobach Symona Petlury i innego działacza ukraińskiego, Winniczenki. Wniosek ten na wiecu nie został zaakceptowany. Ukraińscy działacze galicyjscy odnosili się wtedy raczej nieufnie do praktycznych możliwości Ukraińców naddnieprzańskich. Nie chcieli też, przynajmniej w pierwszej fazie swej walki o wolność i niezawisłość Ukrainy, ryzykować zakreślania zbyt szerokich i ambitnych celów. W ten sposób dwa odłamki narodu ukraińskiego nie miały jeszcze wspólnej podstawy i planu działania. Chciały tworzyć dwa odrębne organizmy państwowe o niezależnym kierownictwie politycznym i wojskowym, chociaż w pierwszych miesiącach działały ze sobą w przyjaznym porozumieniu.

Jednocześnie zaczęto przygotowania wojskowe do uchwycenia władzy. Najważniejszą komórką organizacyjną była zgrupowana na Bukowinie brygada "Siczowych Strzelców". Była to organizacja, która powstała równolegle do polskich Związków Strzeleckich, a późniejszych Legionów pod egidą Austrii, z tą wszakże zasadniczą różnicą, że politycznie reprezentowała co prawda kierunek narodowy, lecz wyraźnie austrofilski. Zgadzało się to zresztą z założeniami Ukraińskiej Rady Narodowej i parlamenarnego koła ukraińskiego, na którego czele stali działacze tej miary co Nikołaj Wasilko i członek wiedeńskiej Izby Panów Julian Romańczuk. Duże nadzieje wieszano z osobą arcyksięcia

austriackiego Wilhelma Habsburga/ z panującego domu w Austrii/, w którego korpusie wojskowym znajdowali się "Siczowi Striżci", i który był domniemanym... kandydatem na króla ukraińskiego??! Polacy nazywali go pogardliwie "Wasyl Wyszynywany". Dopomógł on Ukraińcom tyle, że pod jego wpływem dowództwo austriackie skierowało do Lwowa i na cały teren Galicji Wschodniej wydzielone grupy wojskowe złożone prawie w stu procentach z Ukraińców. Na tym jednakże "pomoc" austriacka się skończyła. Było to jednak bardzo dużo do rozpoczęcia zbrojnych poczynań na tym terenie w celu uchwycenia władzy w swoje ręce.

Przygotowania zbrojne Ukraińców były w pełnym toku zarówno we Lwowie, jak i w wielu innych miastach garnizonowych. Wybuch przewidywano na 3 listopada 1918 roku. Jego zadaniem nie było formalne zerwanie z Austrią, lecz przede wszystkim usunięcie władz i urzędów z personalną obsadą polską. Dowódcą został "sotnik" czyli kapitan Dymitr Witkowski.

W dniu 28.X.1918 roku w Krakowie powstała Polska Komisja Likwidacyjna, mająca na celu przejęcie administracji terenów po ustępujących władzach austriackich. Zapowiedziała ona przeniesienie się ze swoimi czynnościami do Lwowa jako do głównego ośrodka administracyjnego i stolicy Galicji. Dla Polaków był krok oczywisty i naturalny. Jest sprawą charakterystyczną, a z perspektywy czasu zdumiewającą, że Polacy we Lwowie częściowo nie zdawali sobie sprawy z przygotowaniami Ukraińców do zajęcia Lwowa, nie interesowali się życiem politycznym Ukraińców, a na ostrzeżenia czy alarmy podnoszone przez oficerów Polaków odpowiadali zapewnieniami, że Ukraińcy nie podejmą żadnej bratobójczej akcji w tym mieście i okolicy. Kilka polskich oddziałów ochotniczych, o łącznej liczebności około 400 żołnierzy kwaterowało sobie spokojnie w szkole im. Sienkiewicza oraz w domu Akademika i domu Technika.

Na wiadomość o zamierzonym przeniesieniu Komisji Likwidacyjnej do Lwowa kpt. Dymitr Witkowski natychmiast przesunął termin wybuchu akcji na noc z 31 października na 1 listopada 1918 roku. Wczesnym rankiem 1 listopada posterunki ukraińskie ruszyły na ulicę opanowując prawie całe miasto.

Reakcja ludności polskiej była natychmiastowa i spontaniczna. Młodzież gimnazjalna i studencka, robotnicy-Polacy, a zwłaszcza mieszkańcy polskich przedmieść chwycili natychmiast za broń. Wywiązała się niezorganizowana walka, bardzo krwawa, która stała się początkiem prawie rok trwającej na tym terenie wojny. Ukraińcy opanowali wszystkie ośrodki we Wschodniej Galicji z wyjątkiem Zasania, dzielnicy Przemysła, położonej na zachodnim brzegu Sanu.

Ze Lwowa poszły wołania o pomoc, której do dnia 9 listopada 1918 roku nie miał kto udzielić. Lecz krwawe walki toczyły się dalej w całej pełni prawie jedynie siłami ochotników polskich. Działo się to wszystko przed 11 listopada 1918 roku.

W Przemyślu Polakom udało się utrzymać w swych rękach jedynie most na Sanie i przyczółek drogowo-kolejowy. W Borysławiu i Drohobyczu, gdzie zaciekały opór ukraińskim oddziałom stawiały grupy polskich robotników przemysłu naftowego szala zwycięstwa przechyliła się na stronę garnizonu ukraińskiego. Opór tych polskich grup trwał zaledwie kilka dni, natomiast sytuacja w samym Lwowie była o wiele lepsza. Co prawda polskich oddziałów wojskowych było zaledwie kilka, lecz ich inicjatywa podjęcia walki spotkała się z natychmiastowym poparciem ludności.

Lwów był miastem polskim. Istniały i działały tam polskie organizacje społeczne, szkoły i urzędy. Silny był polski element studencki. Polskie były też szkoły średnie, one też, obok harcerstwa, związku gimnastycznego "Sokoła" i różnych zrzeszeń sportowych, dostarczyły większości ochotników na obronę Lwowa. Organizacyjnie grupowali się oni wokół dość licznej kadry członków POW/Polskiej Organizacji Wojskowej/ z jednej strony i Polskich Kadr Wojskowych z drugiej. Polskie kadry Wojskowe były związane politycznie z partią ND/Narodową Demokracją/. Na ich czele stał zawodowy wojskowy kapitan Czesław Haczyński.

Przypadek zrzadził, że był jednocześnie austriackim komendantem składnicy uzbrojenia. Podlegał mu też dworzec kolejowy. Fakt ten miał duże znaczenie, ułatwił bowiem zaopatrzenie polskich oddziałów ochotniczych w broń i amunicję, a jednocześnie nie dopuścił do opanowania dworca przez dowództwo oddziałów ukraińskich. Dworzec zaś był zatłoczony transportami demobilizowanych żołnierzy austriackich. Przybywały też nań transporty docelowe, przywożące żołnierzy zarówno z frontu włoskiego, jak i z terenów okupacji austriackiej spoza Zbrucza.

Wśród przybywających żołnierzy było sporo Polaków, którzy natychmiast zasiliли szeregi polskich obrońców Lwowa. Żołnierze innych narodowości wśród coraz silniejszej strzelaniny i zapalających się walk ulicznych w mieście chcieli tylko jaknajszybciej wydostać się ze Lwowa. Następową dziką demobilizacją szczególnie oddziałów ukraińskich, do czego przyczyniali się polscy kolejarze rozsiewając fałszywe informacje wśród Ukraińców. Kierownictwo polityczne i dowództwo wojskowe ukraińskie liczyły na napływ ukraińskich żołnierzy do Lwowa z terenu. Nie zdołali jednakże rozpracować na czas planu organizacyjnie i większość Ukraińców z transportów kolejowych poprostu rzuciła broń, nie zdając sobie sprawy z powstałej niebezpiecznej sytuacji we Lwowie.

Przyśpieszenie terminu akcji wojskowej dało Ukraińcom korzyść całkowitego zaskoczenia Polaków. Miało jednak i tę ujemną stronę, że nie pozwoliło na przybycie zwartych oddziałów "Siczowych Striłciw". One miały stanowić - i stanowiły zresztą - rdzeń narodowej armii ukraińskiej. Był to przecież element doskonale uświadomiony narodowo i politycznie.

"Striłci Siczowi", ściągani pośpiesznie z Pokucia i Dukowiny, napotkali



na zaciekle i skuteczny opór polski w rejonie lwowskich przedmieść, Kleparowa i Persenkówki. Do miasta przeniknęły tylko nieliczne garstki. Po pierwszym błyskawicznym sukcesie Ukraińcy znaleźli się w trudnym położeniu. Przygotowanie było niestaranne. Część żołnierzy wciągnięta do walki bez rozeznania sytuacji, czuła się śle w mieście dla wielu z nich nieznanym, gęstą zabudową, mając przed sobą ludność polską zdecydowaną na wszystko. Już 3 listopada Ukraińcy zaczęli się wycofywać ze śródmieścia i z niektórych przedmieść pod naporem bohatercko walczącej polskiej młodzieży.

Po wycofaniu się z miasta, Ukraińcy otoczyli je jednak zwartym pierścieniem dyszących zemstą oddziałów, szykujących się do kontrataku na broniące się rozpaczliwie miasto. Lwów pod dowództwem kapitana Czesława Mączyńskiego był całkowicie oblężony i czekając na pomoc z zewnątrz bronił się nadal.

-----

Wytworzyła się sytuacja pełna nerwowego napięcia. Wprowadziła ona polskie społeczeństwo we wszystkich dzielnicach kraju w nastrój ogromnego podniecenia patriotycznego. Ukraiński zbrojny zamach i ogłoszenie na terenie Małopolski Wschodniej niepodległego państwa - Zachodnio-Ukraińskiej Narodnej Republiki - większość Polaków traktowała jako niewczesny żart, reagując nań z tym większym zapamiętaniem i zacięciem, im dłużej przeciągała się walka, w niejednym przypominająca wojnę domową. Myśl, że Lwów miałby się znaleźć poza granicami niepodległej Polski, wydawała się nie do zniesienia. Najbardziej ugodowo nastawieni Polacy nie przewidywali dla Ukraińców ustępstw innych niż przyznanie im swobód kulturalnych jakie posiadali pod panowaniem austriackim.

Jednakże Ukraińcy nazywali stosunki w Galicji panowaniem "polsko-austriackim" i przeciwko niemu chwycili właśnie za broń. Sporo było Polaków, którzy cierpieli szczerze z powodu bratobójczej walki zaogniającej się coraz bardziej. Ukraińców, a raczej ich kierownictwo polityczne i wojskowe, które po niepowodzeniach we Lwowie obrały sobie za siedzibę główną Stanisławów, uważano za ślepe narzędzie w rękach "Wiednia i Berlina".

Wniosek był krótki: trzeba było jak najszybciej rozprawić się z "buntem" ukraińskim" i z "hajdamakami", jak wówczas mawiali Polacy, i urządzić życie "Rusinom" razem ze społeczeństwem polskim. Lecz Ukraińcy nie chcieli być "Rusinami", a walki z Polakami nie uważali bynajmniej za bratobójczą. Nie było więc podstaw do ugody. Nie chciała jej żadna ze stron. Dla sprzymierzonych i dla całej Zachodniej Europy, wojna ta była zaskoczeniem, równie wielkim jak dla społeczeństwa polskiego. "Sprawa" czy "zagadnienie" ukraińskie nie istniało w ogóle w dyplomacji zachodniej, która po pokonaniu Niemiec i Austrii głowiła się obecnie nad powojennym urządzeniem Europy.

Wykorzystali to "biali" Rosjanie, zwłaszcza zgromadzeni w Paryżu dyplomaci i politycy carscy, uchodźcy z rewolucyjnej Rosji, przypominając natychmiast

żądania rosyjskie sprzed 1917 roku, głosząc tezę, że Ukraińcy to część narodu rosyjskiego, i że po "uporządkowaniu" anarchii w Rosji ziemie te - to jest Galicja Wschodnia, Bukowina i Ruś Zakarpacka - przypaść powinny przyszłemu państwu rosyjskiemu, utworzonemu po wojnie.

Zdawał sobie z tego stanu rzeczy sprawę rząd ukraiński w Stanisławowie. W tym okresie od jesieni 1918 roku do lata następnego roku nastąpiło pasmo powodzeń "białych" wojsk rosyjskich właśnie na Ukrainie. Wspomagani przez Francuzów w porcie Odessy wydawali się oni bliscy zwycięstwa zarówno nad Armią Czerwoną, jak i oddziałami Petlury, które były związane z rządem Ukrainy Naddnieprzańskiej.

-----

W dniu 9 listopada 1918 roku dowódca oddziałów frontowych w okolicach Przemyśla major Julian Stachewicz, zgodnie z dyrektywami dowódcy tego odcinka frontu Władysława Sikorskiego, rozpoczyna gwałtowne natarcie swymi oddziałami poprzez San i wkrótce zajmuje cały Przemyśl po obu stronach rzeki oraz rozszerza przyczółek mostowy w głąb pozycji ukraińskich w kierunku na Lwów i Chyrów. W dniu 11 listopada 1918 roku powstaje niepodległa Polska wraz z legalnym rządem w Warszawie. 13 listopada Naczelnik państwa Józef Piłsudski wydaje rozkaz atakującym polskim oddziałom dotarcia za wszelką cenę do Lwowa i udzielenia natychmiastowej wojskowej pomocy oblężonym mieszkańcom i bohaterskiej garstce jego obrońców.

Wzdłuż linii kolejowej Przemyśl-Gródek Jagielloński-Lwów ruszyło natarcie polskich oddziałów wojskowych pod ogólnym dowództwem pułkownika Pokorzewskiego. Po całodziennej zażartej walce siły ukraińskie zmuszone były wycofać się z miejscowości po obu stronach linii kolejowej, a także pod naciskiem obrońców Lwowa opuścić zajmowane przez siebie dzielnice miasta.

W dniu 22 listopada 1918 roku prawie cały Lwów jest już w rękach polskich i ma wreszcie kolejowe i drogowe połączenie na wąskim odcinku w kształcie wysuniętego języka od Lwowa do Przemyśla. Powoli zaczyna się stabilizować linia frontu z trzema rejonami nasilenia walk. Jednym jest przedpole ostrzelanego przez artylerię ukraińską Lwowa, drugim obszar w okolicy miasta Chyrowa, trzecim wreszcie front pod Rawą Ruską na północny-zachód od Lwowa. Z tego rejonu, w styczniu 1919 roku grupa armii generała Romera dokonała udanego włamania głęboko w pozycje ukraińskie w kierunku Lwowa poprzez Żółkiew i Kulików.

W tym czasie Armia Ukrainy Zachodniej przewyższała polskie oddziały pod względem ilościowym, a także uzbrojenia. Armia ta, zorganizowana w trzy korpusy ogłosiła przymusowy pobór do armii ukraińskiej. Jednocześnie, co jest bardzo ważnym momentem pod względem militarnym, w grudniu i styczniu zawiązuje się

współdziałanie z wojskami Ukrainy Nadnieprzańskiej, co jest raczej symbolicznym skutkiem deklaracji rządu ukraińskiego w Stanisławowie i rządu w Kijowie o przyszłym zjednoczeniu obu państw ukraińskich. Wkrótce, po koncentracji większych sił ataman ukraiński, podwładny Symona Petlury uderza niespodziewanie poprzez Tarnopol, Krzemieniec, Brody, Sokal wychodząc w końcowym efekcie tej krótkotrwałej coprawda ofensywy, na linię Bugu, w okolicy Włodzimierza Woł.

Po niesłychanie ciężkich walkach, wkrótce odiera go polska grupa wojsk pod dowództwem generała Majewskiego zajmując ponownie utracone tereny położone <sup>między</sup> Sokalem, Włodzimierzem Woł. i Kowlem, atakując cofające się ukraińskie oddziały na wschód i południowy-wschód, osiągając w lutym 1919 roku linię rzeki Stochód pomiędzy Kowlem a Łuckiem.

Polska jednak nie jest jeszcze zdolna do decydującego uderzenia na froncie wschodnim. Wojna z Ukraińcami nie jest jedynym obciążeniem słabych jeszcze wojsk polskich. Trwa przecież spór z Czechami na Śląsku Cieszyńskim. Wielkopolska prowadzi walki z oddziałami niemieckimi, na Wileńszczyźnie i na Białorusi grozi starcie z wlewającymi się za ustępującymi okupacyjnymi wojskami niemieckimi, oddziałami armii bolszewickiej. Rząd polski musi się ponadto liczyć ze sprzymierzeńcami zachodnimi. Kongres pokojowy w Wersalu, gdzie roztrząsano wszelkie powojenne sprawy, a zwłaszcza kierująca kongresem "Wielka Trójka" - Ameryka, Francja i Anglia - starając się zrozumieć, na czym w ogóle polega konflikt pomiędzy Polakami i Ukraińcami, zaczynają wysuwać różne postulaty i wnioski do zwaśnionych stron.

Wiadomo na zachodzie, że w Galicji Wschodniej istnieje naród ukraiński, który nie ma nic wspólnego z rdzennymi Rosjanami, który zorganizował się państwowo i który odmawia porozumienia z Polską. Nie ulega wątpliwości, że Lwów jest miastem polskim, i że walczy bohatersko, by pozostać polskim. Lecz okazuje się, że i Polacy są również nieprzejednani jak Ukraińcy i że zgłaszają pretensje do tego samego terytorium. Alianci proponują podział Galicji Wschodniej: dwie trzecie Ukraińcom, reszta ze Lwowem i zagłębieniem naftowym Polsce. Rozwiązanie to ma być czasowe przy którym towarzyszą nawet pogroźki i upomnienia. Jednakże w końcu marca 1919 roku Ukraińcy stawiają wszystko na jedną kartę.

-----

Rząd Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej pod przewodnictwem Eugeniusza Petruszewycza w porozumieniu z przybyłym z Kijowa Petlurą zrywa rokowania rozejmowe z Polakami, prowadzone w Chyrowie/na południe od Przemyśla/, i zarządza nową ofensywę wojsk ukraińskich. Udaje się im rozzerwać łączność ugrupowań polskich w okolicy Lwowa, atakując następnie front polski pod Rawą Ruską, odcinając Gródek Jagielloński i inne miejscowości od zaplecza na zachodzie, Lubelszczyźnie, docierają do Wołynia Zachodniego, paląc i mordując wsie pols-

kie, osady i spokojnych mieszkańców. Ponownie opanowują linię kolejową w kierunku na Przenyśl, a Lwów znowu jest miastem oblężonym. Jednakże ofensywa wojsk ukraińskich była na szczęście krótkotrwała, a powodzenie strategiczne bardzo nikłe. Brak było konkretnego zaplecza frontowego i materiałowego do prowadzenia ofensywy o dalszym zasięgu i poważniejszych osiągnięciach militarnych i politycznych.

Terytorium Ukraińskiej Republiki Zachodniej w 1918 i 1919 roku obejmowało swym zasięgiem: późniejsze całe województwo tarnopolskie, stanisławowskie, granicząc ze wschodu po rzeki: Czeremosz i Zbrucz. Od zachodu obejmowało połowę województwa lwowskiego. Granica ta przechodziła od południa Sanoka poczynając od pasma Karpat, na zachód od Chyrowa wzdłuż rzeki San w okolicy Przemysła. Stąd biegła na północny-wschód w kierunku Rawy Ruskiej i Włodzimierza Wołyńskiego do dawnej granicy austriacko-rosyjskiej.

Na obszarze tym w terenie wiejskim przeważała ludność ukraińska, natomiast miasteczka oraz większe miasta tak, jak Tarnopol, Stanisławów, Lwów, Brzeżany zasiedlone były w większości elementem polskim. Z chwilą ustanowienia władzy Zachodniej Ukraińskiej Republiki Ludowej, element polski został zepchnięty poza nawias życia politycznego i państwowego. Rozpoczęły się masowe mordy i niszczenie polskiej substancji materialnej a także kulturowej.

Sąsiedni Wołyń, a szczególnie jego południowo-wschodnie obszary wkrótce stały się również ofiarą ukraińskiej pożogi rozlewającej się coraz szerzej w głąb środkowego i zachodniego Wołynia. Tam tym straszliwym wydarzeniom położyć dopiero miała polska ofensywa z zachodu, obejmująca swym zasięgiem cały front wschodni od od Niemna aż po Dniestr.

Tymczasem polski front wschodni pod dowództwem generała Iwaszkiewicza, wzmocniony silną grupą operacyjną wojsk wielkopolskich, już 14 marca 1919 roku przystąpił do przeciwnatarcia, rozrywając po tygodniu ciężkich walk pierścień okalający Lwów oddziałów ukraińskich i wyprostowując linię frontu w okolicy Chyrowa, Rawy ruskiej, Żółkwi i Włodzimierza Wołyńskiego. Po stronie polskiej wydarzenia te otrzymały nazwę "drugiej odsieczy Lwowa".

Na polecenie Józefa Piłsudskiego dalsze walki ofensywne na Ukrainie Zachodniej zostały przerwane. Właściwą przyczyną wstrzymania ofensywy na tym odcinku frontu wschodniego były względy polityczne. Sytuacja międzynarodowa uległa pewnym zmianom, na którą ani strona polska ani ukraińska nie miały bezpośredniego wpływu, lecz obie strony musiały wyciągnąć z tego konkretne wnioski. Otóż zmiany te przede wszystkim następowały w Paryżu, a także na Ukrainie Nadnieprzeńskiej. Wszystko to, co działo się na przedpolu Odessy czy Kijowa miało natychmiastowy oddźwięk w Paryżu, gdzie toczyły się międzynarodowe rokowania pokojowe dotyczące powojennego uporządkowania Europy.

Dotychczas rząd Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej unikał zbyt bliskich powiązań z Ukrainą Naddnieprzańską z ośrodkiem w Kijowie. Deklaracje obu rządów były raczej symboliczne dotyczące przyszłego zjednoczenia Ukrainy. Pomoc wojskowa, jaką oddziały petlurowskie stacjonujące nad Dnieprem dawały Ukraińcom galicyjskim i rządowi w Stanisławowie była w pewnej formie dywersją, wiążącą część sił polskich na środkowym i południowym Wołyniu, gdzie trwały wyniszczające przede wszystkim ludność polską walki i potyczki.

W Stanisławowie panowało przekonanie, że prowadzona przez Petlurę wojna na dwa fronty/przeciwko Polsce i bolszewikom/ jest zadaniem ponad jego siły. Naddnieprzańska Ukraińska Republika Ludowa walczyła przede wszystkim przeciwko Armii Czerwonej wspierającej fikcyjny rząd/Trzeci już na terenie Ukrainy iny!/ utworzonej przez bolszewików Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Rad, na której czele stał Bułgar Rakowski. Jednocześnie walczyła przeciwko gen. carskiemu Denikinowi, walczącemu również z Armią Czerwoną. Jak widać z tego na obszarach Ukrainy południowo-zachodniej i południowej panował straszliwy chaos wojenny!

"Biali" Rosjanie Denikina, wspierani przez ekspedycyjny korpus francusko-grecki działający z Odessy, zadali ostatecznie poważną klęskę wojskom Petlury. Francuzi, a pośrednio także pozostałe mocarstwa alianckie liczyły na to, że Petlura z dwóch wrogów wybierze Denikina, i że połączy z nim swe siły przeciwko bolszewikom.

Jednakże u Petlury dojrzała myśl szukania oparcia o Polskę, która podobnie jak on gotowa była walczyć z bolszewikami w obronie interesów własnych, lecz nie w interesie reakcyjnej "jednej i niepodzielnej Rosji" czy w obronie francuskich kapitałów zainwestowanych w przemysł carskiej Rosji.

Sprzymierzenie z Polską Petlura pojmował jako ukraińską rację stanu, jako układ równego z równym, a nie ślepe i potulne podporządkowanie się słabszego silniejszemu. Sądził, że wspierając bratnią Republikę Zachodniej Ukrainy wzmocni swe własne położenie polityczne i wojskowe i wytworzy korzystniejszą koniunkturę przyszłego porozumienia z Polską. Stąd jego krótkotrwała współpraca z rządem Petruszewicza w Stanisławowie. Jej wynikiem była marcowa ofensywa wojenna Ukraińców na Lwów, a także wznowienie krwawych działań atamanów Petlury na Wołyniu.

Skuteczna i nagle kontrofensywa polska na południowo-wschodnim odcinku frontu wschodniego nie przekreślała koncepcji współpracy Petlury w późniejszym okresie z wojskami polskimi w walkach z bolszewikami, Armia zachodnio-ukraińska nie była rozbita całkowicie, jedynie odepchnięta na linię Zbrucza, a powstrzymanie polskiego natarcia umożliwiło nawiązanie nowych rokowań rozejmowych. Prowadzono je tym razem w Paryżu pod przewodnictwem południowoafry-

kańskiego generała Bothy. Generał ten reprezentował własny pogląd na sprawy ukraińskie i Galicji, chociaż nie był zbyt mocno zorientowany w subtelnościach spraw wschodnio-europejskich. Przede wszystkim nie reprezentował interesów wyłącznie francuskich ani "białorosyjskich" czy "czerwonorosyjskich", nie ulegał wpływowi czy podszeptom wpływowego ośrodka rosyjskiego w Paryżu, złożonego z byłych ministrów carskich, doskonale obeznanych z metodami zakulisowych machinacji dyplomatycznych i prosto oszustw politycznych.

Rokowania paryskie zostały zerwane. Winę za to ponoszą obie strony biorące udział w konferencji pokojowej w Paryżu; zaciętrzewienie narodowe było aż nadto widoczne w tych debatach przeciągających się ponad miarę i coraz bardziej stających się jałowymi. Umowę z Kurdybowskim, reprezentującym Ukrainę Nadnieprzańską zawarł w Paryżu w dniu 24 maja 1919 roku Ignacy Paderewski, reprezentujący odrodzony rząd Rzeczypospolitej. Ustalała ona ramowe zasady, na których mógłby się oprzeć sojusz polsko-ukraiński skierowany przeciwko rozrastającemu się bolszewickiemu niebezpieczeństwu na wschodzie Polski.

Polska miałaby się zobowiązać do poparcia dyplomatycznego i wojskowego w walce Ludowej Republiki Ukraińskiej przeciwko bolszewikom. W zamian za to Ukraina Nadnieprzańska uznałaby prawo Polski do ustalenia granicy na Zbruczu i Styrze, z tym wszakże zastrzeżeniem, że Galicja Wschodnia otrzymałaby autonomię, o której zresztą w sposób dość ogólnikowy dyskutował Sejm w Warszawie.

Po zerwaniu pertraktacji w Paryżu, które prowadził Ludwik Botha, generał południowo-afrykański, armia polska przeprowadziła w połowie maja 1919 roku szybkie ataki na wschód w Galicji i przesunęła nieco front, ograniczając swobodę operacyjną dowództwa ukraińskiego. W tym czasie przystąpiła również do uderzenia Rumunia zajmując Bukowinę i docierając czołowymi formacjami pod Kołomyję, kierując się frontalnym atakiem na Stanisławów. Czechosłowacja natomiast zajęła Ruś Zakarpacką z Użhorodem i Mukaczewem, większymi miastami tego rejonu.

Pociągnięcia te miały poparcie Francji, zaniepokojonej przechyleniem się szali czynników wojennych na korzyść bolszewików w walce z Denikinem na południu Rosji. Nie bez wpływu na to był także wybuch rewolucji komunistycznej na Węgrzech. Alianci zachodni zabezpieczali się przed ewentualnością klęski "białej" Rosji kordonem państw przeciwko Rosji "czerwonej". Używali w tym celu Rumunów i Czechów. Chcieli też użyć do tego i Polaków, stąd słaby ich stosunkowo protest przeciwko obecności pierwszej dywizji pod dowództwem generała Józefa Hallera na froncie galicyjskim. Wysłano ją z Francji do Polski z tym zastrzeżeniem, że nie będzie użyta w walce z Ukraińcami. Na rozkaz Piłsudskiego dywizję tę wkrótce wycofano.

Strona polska nie przejawiała jednak ochoty do przyjmowania roli jednego

z ogniw łańcucha, mającego strzec interesów Aliantów zachodnich po to, by Francja mogła także i Galicję Wschodnią uznać za "depozyt", który będzie można kiedyś ofiarować "białej" Rosji, gdyby się jej udało pokonać Rosję "czerwoną"!?

Polska podtrzymywała myśl Petlury - ciągle jeszcze z nią walczącego. Świadczy o tym między innymi układ z Kurdybowskim. Wstrzymując ponownie ofensywę w Galicji, dawała Polska szansę rządowi Petruszewycza w Stanisławowie, by się do tej koncepcji przyłączył. Petruszewycz jednak nie dawał za wygraną. Dla niego punktem wyjściowym było wywalczenie niepodległości Galicji Wschodniej bez oglądania się na losy całej Ukrainy. Wierzył, że zdoła stworzyć stan faktyczny, z którym liczyć się będą i Alianci, i Czechosłowacja, i Rumunia, a także Rosja - każda Rosja: "czerwona" czy "biała"! Wreszcie z którym w końcu będą musieli pogodzić się Polacy.

-----

W miesiącu czerwcu 1919 roku Armia Czerwona ostatecznie pokonała wojska Naddnieprzańskiej Ukraińskiej Republiki Ludowej dowodzone przez atamana Symona Petlurę, uważając ją za większe niebezpieczeństwo niż "białą" armię Denikina. Armie bolszewickie atakowały zaciekle cofające się na zachód oddziały Petlury opierające się tyłowymi formacjami o rzekę Zbrucz. W tym też okresie armia Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej rozpoczęła swoją ostatnią, rozpaczliwą wielką ofensywę przeciwko armiom polskim na Podolu galicyjskim.

Słabe liczebnie oddziały polskich armii tym razem zmuszone były cofać się pod naporem samobójczych ataków zdeterminowanych na wszystko poszczególnych ukraińskich ugrupowań stosujących taktykę spalonej ziemi. W tej sytuacji w dniu 25 czerwca 1919 roku Rada Najwyższa obradująca w Paryżu upoważniła Polskę do opanowania całego terytorium Małopolski Wschodniej aż po rzekę Zbrucz, pozwalając tym razem jednocześnie na użycie doborowych jednostek armii generała Józefa Hallera.

Rozpoczęła się nowa kontrofensywa polska, mająca historyczne znaczenie dla dalszych stosunków polsko-ukraińskich. Pod osobistym dowództwem Józefa Piłsudskiego armie polskie ruszyły na całym froncie południowo-wschodnim, obejmując przestrzeń od Frypeci poprzez Kowel, Włodzimierz Wołyński, Sokal, Brody, Złoczów, Lwów, Drohobycz, Borysław, wypierając z zajmowanych stanowisk dezorientowane i zdziiesiątkowane oddziały ukraińskie. Do końca maja 1919 roku zacięte walki przeniosły się na linię rzeki Styr, miasto Krzemieniec, Tarnopol, Trembowla, Czortków wzdłuż rzeki Seret aż do Dniestru. Wkrótce został zdobyty Stanisławów siedziba rządu Z.U.R.L. Osiągnięto również styk z oddziałami rumuńskimi na Pokuciu w okolicach Kołomyży nad dolnym biegiem Czeremoszu przy ujściu tej rzeki do Prutu.

Premier rządu Z.U.R.L. Petruszewycz uciekł w przebraniu wraz z innymi działaczami ukraińskimi Galicji Wschodniej do Wiednia, a resztki armii zachodnio-

ukraińskiej zmuszone były przejść pod rozkazy atamana Symona Petlury, którego armia, przyparta przez wojska bolszewickie do trójkąta pomiędzy Zbruczem a Dniestrem na Podolu Wschodnim broniła się rozpaczliwie szukając pomocy w armii polskiej docierającej do Zbrucza od zachodu.

-----

W ten sposób zakończyła się ośmiomiesięczna wojna, bardzo zacięta, kosztująca wiele istnień Polaków zamieszkałych od wieków na terenach objętych tymi, możnaby powiedzieć, bratobójczymi walkami pomiędzy Polakami a Ukraińcami, zaślepionych wizją niepodległej Ukrainy a nie liczących się z realiami politycznymi ani etnicznymi. Drzemiące od lat nacjonalistyczne namiętności po obu stronach frontów wyładowały się fatalną siłą i ze szkodą dla przyszłego współżycia narodów polskiego i ukraińskiego.

Państwo zachodnio-ukraińskie padło po niesłychanie zaciętej i krwawej walce, w której ofiarami byli przede wszystkim: cywilna polska ludność zamieszkała w większej części na terenach wiejskich, jak również i w miastach, wszelkiego rodzaju dobra materialne i kulturowe, palenie polskich zagrod, domów, grabieże, morderstwa oraz niesłychany terror.

Władzę krótkotrwałego rządu ukraińskiego zastępowała w Galicji Wschodniej władza polska. Dla Polaków tam mieszkających było to zjawisko naturalne, sprawiedliwe i słuszne. W przekonaniu wszystkich Polaków Galicja Wschodnia, nazwana Wschodnią Małopolską, wchodziła w granice Polski na mocy prawa, na mocy historii, na mocy politycznej logiki.

Ale dla większości jej mieszkańców, szczególnie przeważającej na terenie wiejskim, dla Ukraińców, którzy nie chcieli być "Rusinami", a polonizacji nie uważali za zaszczyt, była to władza o k u p a c y j n a. Tym boleśniesz, im wyżej wznosił się płomień patriotycznego uniesienia, wykrzesany w walkach w obronie własnej Republiki i niepodległości.

Rada Najwyższa w Paryżu nie przesądzała o ostatecznym uregulowaniu statusu Galicji Wschodniej. Z wielu projektów takich jak mandat Ligi Narodów, związek federacyjny z Polską, czy nawet zarząd czesko-rumuński - wyłoniła się wreszcie decyzja przekazania władzy Polsce z tym zastrzeżeniem, że Polska miała przyznać Galicji Wschodniej szeroką autonomię kulturalną i polityczną. Do roku 1923 mocarstwa zachodnie nie rezygnowały z nacisku na władze polskie w tym właśnie kierunku. Przeszkody jednakże okazały się nie do pokonania. Nieprzejednana była Polska, nieprzejednani byli także ci Ukraińcy, dla których autonomia nie była rozwiązaniem zadawalającym.

Zdobycie przez Polskę ziem po Zbrucz nie zakończyło tego palącego problemu zgodnego współżycia obu narodów. Jesienią 1919 roku Ukraińcy i Polacy, z winy wspólnego zaciętrzewienia zostali odsunięci poza nawias wielkiej wizji wywalczenia niepodległości Ukrainy wspólnym wysiłkiem Ukraińców i Polaków. Wizję tę chciało realizować dwoje ludzi: Józef Piłsudski i Symon Petlura.



Pod koniec sierpnia 1919 roku wojska polskie podeszły pod Połock i zdobyły twierdzę Bobrujsk nad rzeką Berezyną. W ciągu września dokonano szeregu poprawek linii frontu na Polesiu, Wołyniu i Podolu, wysuwając ją na dalsze przedpole wzdłuż linii rzeki Słucz i Utyczy. Powodzenia letniej ofensywy polskiej odbiły się głośnym echem w stolicach państw zachodnich. Wzbudziły zaufanie do zdolności obronnej Polski na wypadek ponowienia bolszewickich prób wdarcia się siłą na teren Niemiec i basen naddunajski.

Na przełomie września i października 1919 roku front polsko-bolszewicki zamarł w bezruchu. W tym czasie Józef Piłsudski rozpoczął tajne rokowania z rządem Lenina w miejscowości Mikaszewicze, leżącej na wschód od Łunińca nad rzeczką Słucz Północną, lewym dopływem Prypeci przy linii kolejowej prowadzącej z Brześcia do Homla. Ze strony polskiej rokowania prowadził Ignacy Boerner, a z drugiej strony - Julian Marchlewski, polski komunista.

Jak z jednej tak i z drugiej strony rokowania szły bardzo opornie. Stronie rosyjskiej chodziło przede wszystkim o wygranie na czasie w celu skompletowania i podciągnięcia armii z głębi Rosji bliżej frontu. Strona polska bardzo szybko przejrzała grę Rosjan. Zaczęła się toczyć walka sztabów o czas i inicjatywę operacyjną. Chodziło teraz już o dni i o godziny. Taka gra jest zawsze bardzo ważnym atutem wojennym. Dla słabszej strony, jaką była Polska, uchwycenie właściwej inicjatywy stanowić mogło o wygraniu całej wschodniej kampanii militarniej.

Józef Piłsudski uchwycił taką inicjatywę. W dniu 25 kwietnia 1920 roku, ubiegając wojska bolszewickie, ruszyła nowa polska ofensywa na froncie ukraińskim, czyli na południowych rubieżach Rzeczypospolitej. Ofensywę tę nazwaną później "wyprawą kijowską" wojsk polskich pod dowództwem gen. Smigłego Rydza.

-----

Pod naciskiem oddziałów Armii Czerwonej wojska generała "białej" Rosji Denikina były już w całkowitym odwrocie ze środkowej i południowej Ukrainy. Strzelcy Siczowi z armii galicyjskiej, którzy poddali się pod jego rozkazy, pozostawieni sami sobie na zachodnich częściach Ukrainy i Podolu poddali się z kolei dwunastej armii bolszewickiej, by po kilku miesiącach przejść na stronę Petlury. Jedyne były dowódca armii zachodnio-ukraińskiej, generał Omelianowicz-Pawlenko, nie zaprzestał walki partyzanckiej, przedarłszy się na Zadnieprze, zgodnie z rozkazami Petlury.

Własne oddziały Petlury walczyły z coraz większym trudem w wąskim paśmie między oddziałami bolszewickimi i polskimi. Z wojskami polskimi zaprzestały walki na początku września 1919 roku. W miesiącu grudniu Symon Petlura wraz z rządem Ukraińskiej Republiki Ludowej/Nadnieprzańskiej/ przekroczył polską linię frontu otrzymując gościnę i sojusznicze warunki bytowania po polskiej stronie w mieście Chmielniku położonym na południowy zachód od Berdyczowa.

W Warszawie tymczasem rozpoczęto pertraktacje nad sojuszem wojskowym i politycznym między Rzeczpospolitą Polską i Ludową Republiką Ukrainą. Sojusz, zawarty 21 kwietnia 1920 roku, podpisał ze strony polskiej kierownik Min. Spraw Zagranicznych Jan Dąbski, ze strony ukraińskiej Andrej Lewyckij. Konwencję /umowę/ wojskową podpisano po kilku dniach. Dokumenty te uznawały Dyrektoriat Ukraińskiej Republiki Ludowej /Maczelny organ kierowniczy/ za jedyny pełnoprawny rząd ukraiński.

Ukraina rezygnowała z pretensji do Galicji Wschodniej i do Wołynia po rzekę Styr. Polska ustępowała Ukrainie wszelkie prawa do ziem na wschód od tej linii, lecz tylko do polskiej granicy przedrozbiorowej. Był to punkt bardzo istotny. Oznaczał, że w działaniach wojennych Polska nie przedłuży swej pomocy dla Ukraińców poza Dniepr, w myśl zasady, że uznaje prawo ludności do samostanowienia o swym losie w granicach Polski przedrozbiorowej, lecz że tylko w tych granicach gotowa jest ludności tej bronić przed najazdem rosyjskim. W konwencji przewidywano również pomoc w organizowaniu i uzbrojeniu armii ukraińskiej oraz zasady współdziałania operacyjnego.

Postanowienia traktatu i konwencji wojskowej wprowadzono natychmiast w życie. Ośrodek szkoleniowy w Brześciu n/B. zdołał w krótkim czasie uformować ukraińską dywizję piechoty i szereg mniejszych oddziałów, złożonych po większej części z jeńców wziętych w czasie wojny w Galicji Wschodniej. Formowały się też i reorganizowały wojska ukraińskie na Podolu.

Józef Piłsudski i Symon Petlura wydali w tym okresie odezwy: do narodu polskiego i ukraińskiego. Wzywano do wspólnej walki o niepodległość obu narodów: polskiego i ukraińskiego.

-----

W dniu 25 kwietnia 1920 roku 9 polskich i 2 ukraińskie dywizje rozpoczęły historyczną "Wyprawę kijowską". Decydującą rolę odgrywały tu dwa aspekty: wojskowy i polityczny. Szybkość operacji była podstawowym warunkiem powodzenia. Osiągnięcie Kijowa i rozbicie XII armii bolszewickiej nastąpić miało do 7 maja 1920 roku. Terminu tego dotrzymała działająca na tym kierunku III armia polska, a zwłaszcza jej grupa uderzeniowa dowodzona przez generała Smigłego-Rydza. Działając siłami doświadczonej i dobrze wyposażonej 1-ej dywizji piechoty legionowej, stosunkowo niedawno sformowanej 7-cj dywizji piechoty oraz 1-ej brygady kawalerii, grupa uderzeniowa osiągnęła w dwóch pierwszych dniach natarcia rejon Żytomierza, Berdyczowa i Koziatyna rozbijając przy tym XII armię bolszewicką. Wkrótce zajęto Żytomierz, a w ciągu dwóch następnych dni dywizja legionowa oraz 7-ma dywizja piechoty osiągnęły w kilku miejscach linię rzeki Teterew w jej środkowym i północnym biegu, zabezpieczając przeprawy dla ciężkiego sprzętu i artylerii.

Na przedpolu wycofywały się mocno poturbowane bolszewicka 58-ma dywizja

piechoty i 17-ta dywizja kawalerii. Spodziewając się całkowitego zniszczenia, nie próbowały one oporu aż do samego Kijowa, a ściślej już na lewym brzegu Dniepru, na wschód od Kijowa.

W tym samym czasie działająca na północ od polskiej grupy uderzeniowej 4-ta polska dywizja piechoty oraz grupa podhalańska pułkownika Rybaka i 3-cią brygada kawalerii zaatakowały nieprzyjaciela wzdłuż linii kolejowej prowadzącej od Sarn do Kijowa przez Rokitno, Olewsk, Białokorowicze, Korosteń, Malin. Inne grupy wojsk polskich, dowodzone przez gen. Władysława Sikorskiego atakowały bardziej od północy, wzdłuż linii kolejowej Brześć Pińsk, Luniniec, Mikaszewicze, Ptycz, Kalenkowicze kierując się flankowo na Owrucz i Mozyr w ogólnym kierunku na Malin, Borodziankę oraz Kijów zachodząc samo miasto od północnego zachodu tworząc olbrzymie kleszcze północnego ramienia frontu kijowskiego, przekraczające swymi czołowymi formacjami rzekę Teterew w jej dolnym biegu. Południowe łamię okrążenia dochodziło do miasta Koziatyna, gdzie krzyżowały się ważne linie kolejowe prowadzące ze Zdołbunowa przez Ostróg, Szepetówkę, Berdyczów do Humania z odgałęzieniem w Koziatyniu na Kijów.

Tylko częściowy brak koordynacji poszczególnych członów polskiego natarcia - było to przyczyną rozległego rozdzielenia się w terenie, co przy szybkości marszu utrudniło bardzo łączność - ocalił XII armię bolszewicką od całkowitej klęski. Zaskoczenie było jednak ogromne. W polskie ręce dostawały się tysiące jeńców rosyjskich, wiele sprzętu bojowego i przede wszystkim ogromny tabor kolejowy. W Owruczu np. zagarnięto ponad tysiąc załadowanych wagonów z materiałami wojennymi i innymi zapasami oraz około 50 lokomotyw. Zdobyta była wyjątkowo cenna z tego także względu, że ułatwiała organizację oddziałów ukraińskiej armii ludowej wspomagającej częściowo natarcie.

Na wiadomość o ruszeniu ofensywy polskiej na Ukrainie i o błyskawicznym powodzeniu wojsk polskich w Moskwie zapanowała panika. XII armia bolszewicka przestała zupełnie istnieć w sensie operacyjnym. W stolicy Rosji bolszewickiej Moskwie powołano gorączkowo naradę rzeczoznawców wojskowych z udziałem wybitniejszych generałów i ministrów carskich będących w służbie bolszewików. Naradzie tej przewodniczył były wódz naczelny armii carskiej, generał Brusilow. Utworzona rada polityczna służyła przede wszystkim mobilizacji rosyjskich uczuć patriotycznych przeciwko wolnościowym dążeniom ukraińskim.

Brusilow apelował do oficerów carskich, by wyszli z ukrycia i zaciągali się do Armii Czerwonej "zapomniawszy o doznanych krzywdach". Gdyż - jak pisał generał Brusilow - "winniście nie szczędząc życia i ze wszystkich sił bronić drogiej nam Rosji i nie dopuścić do jej uszczuplenia. W przeciwnym razie może ona zginąć bezpowrotnie. Celem Polaków jest oderwanie od Rosji Ukrainy".

Określenie celu polskiego w odezwie Brusilowa było zupełnie słuszne i na czasie. Stanowiło jednocześnie publiczne przyznanie się rządowi bolszewickiego

że dotychczasowe jego deklaracje o prawie do samostanowienia narodów, między innymi Ukraińców, nie mają żadnego praktycznego znaczenia. Hasła rewolucyjne ustępowały jawnemu przyznaniu, że jedynie interes Rosji jako tworu narodowego jest naprawdę decydujący politycznie.

Stanowiło to już poważny sukces polityczny, jako potwierdzenie założeń koncepcji reprezentowanej przez Józefa Piłsudskiego i Symona Petlurę. Mogło też posłużyć jako ważny argument w umysłach niezdecydowanych w społeczeństwie ukraińskim, zwłaszcza tych elementów, które bądź z niechęci do Polski, bądź też z pobudek idealizmu rewolucyjnego zastanawiały się nad koncepcją autonomii narodowej w ramach nowego, rewolucyjnego i rzekomo socjalistycznego państwa budowanego przez Lenina.

Ogrom klęski bolszewickiej częściowo nawet zaskoczył także dowództwo polskich wojsk biorących udział w zwycięskiej ofensywie na Kijów i Podole. XII armia bolszewicka została definitywnie rozbita i tylko jej resztki wycofywały się w popłochu na wschód. Natomiast działająca na południe od niej XIV armia zachowała zdolność operacyjną, którą jednakże sztaby polskie przeceniły; chodzi tu o dowództwa II i VI armii polskiej. Po dwóch dniach ofensywy XV dywizja wielkopolska zdobyła Berdyczów i współdziałając z dywizją kawalerii opanowała ważny węzeł kolejowy w Koziatynie. Natomiast trzynasta dywizja hallerowska miała największe sukcesy w kierunku na Bar i Winnicę, podobnie jak szósta dywizja ukraińska. Najbardziej wysunięta ku południowi armia szósta nie napotykała na poważniejszy opór nieprzyjaciela i w szybkich atakach opanowała też Winnicę i Żmerynkę.

Nocnym ciosem dla wojsk bolszewickich było przejście na stronę Petlury trzech brygad Strzelców Siczowych oraz jednego pułku kozaków orenburskich. Ciekawym szczegółem jest to, że Strzelcy Siczowi, złożeni z weteranów wojny polsko-ukraińskiej w Galicji, zaliczali się do nieprzejednanych wrogów Polski. Podporządkowanie się przez nich Petlurze miało ogromne znaczenie propagandowe, które Petlura umiejętnie wykorzystał.

Po dziesięciodniowej przerwie w ofensywnym ruchu naprzód, którą Józef Piłsudski wykorzystał koncentrując oddziały polskie w środkowej części wschodniego frontu dla odparcia ewentualnych ataków przeciwnika z tego kierunku, III armia polska pod dowództwem gen. Smigłego Rydza ruszyła z wolna naprzód w ogólnym kierunku na Kijów, licząc na zaciekły opór oddziałów bolszewickich i ich rezerw pozostających na przedpolu Kijowa. Jednakże przednie polskie formacje nie napotykały oporu. Okazało się, że bolszewicy panicznie ewakuowali cały Kijów. W dniu 7 maja 1920 roku polskie oddziały wkroczyły do stolicy Ukrainy Kijowa wspólnie ze sprzymierzoną szóstą dywizją piechoty

ukraińskiej pod dowództwem generała Bezruczki. W dniu 9 maja 1920 roku odbyła się w Kijowie wspólna defilada wojsk polskich i ukraińskich. W oparciu o fakt posiadania Kijowa przymierze polsko-ukraińskie zdawałoby się, stawało się powoli rzeczywistością, a zapowiedź powstania niepodległego państwa ukraińskiego na ogromnym obszarze o potężnym potencjale i możliwościach przemysłowego rozwoju i wielkiej bazie żywnościowej, stawało się powoli w rzeczywistość zagrożenie dla agresywnej i zachłannej Rosji.

Na wschodzie, wiosną 1920 roku toczyła się olbrzymia rozgrywka, która mogła raz na zawsze podważyć fundament rosyjskiego imperializmu niszczącego wolnościowe dążenia ujarzmianych narodów wschodniej Europy, w tym Polski.

-----

Zwycięskie walki na południowym odcinku wschodniego frontu nie były jednak najważniejsze pod względem militarnym. Rozstrzygnięcie to miało nastąpić na froncie północnym, gdzie bolszewicy gromadzili olbrzymie zasoby ludzkie i materiałowe, podciągając je bliżej frontu polsko-rosyjskiego. Naczelne dowództwo polskie przewidywało uderzenie bolszewickie na połowę maja 1920 roku i zgodnie z planem opracowanym w sztabie głównym, rozpoczęło przegrupowania wojsk niezbędne do stawienia czoła przewidywanemu atakowi zmasowanych oddziałów bolszewickich na północnym odcinku frontu jeszcze w czasie marszu na Kijów. Z frontu ukraińskiego wycofano 3 dywizje, a inne 6 dywizji armii rezerwowej przetransportowano z kierunku południowego na północny.

Na samej zaś Ukrainie zarządzono zatrzymanie ruchów zaczepnych polskich armii, budując jedynie przyczółek obronny na lewym brzegu Dniepru, na dalekich wschodnich przedpolach stolicy Ukrainy - Kijowa. Ewentualne dalsze natarcie w kierunku na morski port Odessę odbyć się miało wyłącznie siłami dywizji ukraińskich wówczas, kiedy będą gotowe do samodzielnego działania. Na to potrzebny był czas, i to więcej niż było go w dyspozycji naczelnego dowództwa.

W Kijowie i wyzwolonych obszarach Ukrainy rozpoczęła się wyczerpana praca polityczna i społeczna mieszkańców. Społeczeństwo ukraińskie było pod silnym wrażeniem odezwy Petlury i szczegółowych informacji o przymierzu polsko-ukraińskim. Wspaniałe wrażenie zrobiła w Kijowie obecność 6-tej ukraińskiej dywizji piechoty generała Bezruczki, a także przyjazd Symona Petlury z jego wojennej kwatery z Winnicy. Większość zdawała sobie jednak sprawę, że okres 6 tygodni, potrzebny na stworzenie kilku bojowych dywizji ukraińskich będzie na pewno zbyt krótki. W rozgrywce, w której każdy dzień miał ogromne znaczenie, stronie polsko-ukraińskiej mogło wkrótce zabraknąć owych 10 dni przerwy w działaniach poświęconych na konsolidację sił militarnych i społecznych po pierwszych oszałamiających zwycięstwach. Tak też się stało w istocie.

W planach operacyjnych nie wzięto pod uwagę szczególnych możliwości ma-

newrowych olbrzymiej armii konnej Siemiona Budionnego. Armia ta, walcząc na południowo-wschodnich obszarach Ukrainy, używana była przez dowództwo bolszewickie przeciwko oddziałom carskich generałów Denikina i później Wrangla, do flankowych ruchów przełamujących na tym newralgicznym punkcie południowego frontu.

Jednakże z chwilą częściowego pogromu bolszewickich armii w manewrowej bitwie pod Kijowem i w walkach o sam Kijów, bolszewicy zmuszeni byli w tym krytycznym dla nich momencie wycofać całą armię konną Budionnego, dobrze wyposażoną, uzbrojoną i zaopatrzoną w sprzęt wojenny zdobyty w walkach z Denikinem, a pochodzący z dostaw francuskich, i przerzucić na kierunek zachodni, gdzie trwały walki pozycyjne na froncie polsko-rosyjskim.

Dowództwo polskie wiedziało o zbliżaniu się konnej armii na Ukrainę z nad Donu, ale do 10 maja 1920 roku armia ta nie znalazła się jeszcze w zasięgu ówczesnych możliwości lotniczego rozpoznania. Sięgały one wówczas odległości do około 500 kilometrów, licząc od przedniego skraju własnych pozycji głównych. Ponadto, do czego wyraźnie przyznaje się Piłsudski w swych "Pismach", zlekceważono jej możliwości operacyjne i szybkość przełamywania linii frontu. Wielkim zmasowanym oddziałom kawalerii przyznawano możliwości dalekiego rozpoznania, a nawet zagonów kawaleryjskich zagrażających liniom komunikacyjnym na tyłach, ale odmawiano zdolności samodzielnych działań o znaczeniu operacyjnym na większą skalę. Tak głosiły doświadczenia pierwszej wojny światowej, a także z walk na tym samym ukraińskim terenie strategicznym. W swym rozkazie obronnym, wydanym w przewidywaniu ataku bolszewickich armii na wschodzie, Piłsudski zakazywał tworzenia stałych, nieruchomych linii obronnych, nawet przesłonowych, zalecając tworzenie środków oporu, dostatecznie elastycznych, by móc prowadzić wojnę ruchomą w coraz to innym terenie i okolicznościach. Poza innymi względami system ten wpływał także ze szczupłości sił polskich na tak długim froncie wschodnim. Ogromne przestrzenie niezwykle utrudniały normalną łączność wojskową. Tak więc konna armia Siemiona Budionnego, dotarłszy w dniu 23 maja 1920 roku w rejon na południe od Białejcerkwi, miała do wyboru cały szereg możliwości przerwania polskiej linii frontu i wdarcia się całością swych ogromnych sił na czoło i tyły polskich pozycji rozlokowanych w okolicach Koziatyna, Berdyczowa i Żytomierza.

-----

Jednakże pierwsze zaciężne ataki wykonane prosto z marszu zakończyły się niepowodzeniem Budionnego. Natarł on frontalnie na zgrupowanie 13-tej hallerowskiej dywizji piechoty w rejonie Koziatyna. W pięciodniowej zażartej bitwie poniósł on ciężkie straty nie osiągając wyznaczonego celu. Moralną stratą było przejście na polską stronę kozackiej brygady z 14-tej dywizji

jazdy. Lecz zwycięstwo polskie było połowicznym. Nieprzyjaciela odparto - ale nie zdołano go rozbić. Budionny wycofał się i przegrupował swe liczne oddziały do następnej akcji, która polegała na partyzanckiej taktyce: nie nacierał frontalnie na przeciwnika, lecz przeszedł całością swych sił na polskie tyły z wyminięciem i szybkim obejściu zasadniczych ośrodków obrony.

W dniu 5 czerwca 1920 roku Budionny, wykonując rozkaz Kamieniewa, naczelnego dowódcy Armii Czerwonej, i wzmacniając swoją armię samochodami pancernymi i zmotoryzowaną piechotą na sprzęcie francuskim zdobytym na armii Denikina, przetrwał słabą obronę polską pod Samhorodkiem i Skwirą. Dezorganizując polskie tyły podszedł w pobliże Żytomierza i Zwiahła.

W dniu 14 maja 1920 roku ruszyła również główna ofensywa bolszewicka na terenie wschodniej Białorusi: uderzając w ogólnym kierunku na zachód armie rosyjskie odniosły szereg sukcesów kierując się na Święciany i Mołodeczno oraz bardziej na południe w kierunku Ihumeń-Mińsk z Mohylewa na Białorusi. ~~Kilkanaście dni~~ trwały zacięte zmagania polskich dywizji wytrzymujących napór przeważających sił bolszewickich, które powoli zaczęły spychać wysunięte polskie formacje ku zachodowi. Pierwszym sukcesem wojsk rosyjskich było zepchnięcie polskich oddziałów o 130 kilometrów na zachód. Przeciwdziałanie polskiej armii rezerwowej generała Kazimierza Sosnkowskiego uratowało częściowo sytuację.

Jednakże natarcie armii bolszewickich na Ihumeń i Mińsk nie uzyskało zadowalającego powodzenia. Zagrożone od południa przez grupę wojsk polskich pod dowództwem generała Skierskiego, załamało się i bolszewicy zmuszeni byli cofać się na pozycje wyjściowe. Starannie montowane decydujące uderzenie armii bolszewickiej, mające przynieść pełne zwycięstwo i otworzyć drogę na Warszawę skończyło się klęską, w sensie wojskowym o wiele ważniejszą niż polska ofensywa na Ukrainę. Jednakże opanowanie sytuacji na Białorusi kosztowało stronę polską użycie armii rezerwowej oraz tych sił, które już wycofano z Ukrainy, co nie pozwoliło na realizację planu uderzenia na Rosjan czterema doborowymi dywizjami przez Dniepr w kierunku na ważny węzeł kolejowy Żłobin i Rohaczew z Bobrujska. Na tę właśnie operację liczył Józef Piłsudski, widząc w niej szansę rozerwania łączności sił bolszewickich na Białorusi i Ukrainie oraz przeszkodzenia przerwuceniu na północ bolszewickiej czteronastej armii. Na ten bardzo ważny ruch zaczepny stronie polskiej zabrakło już sił, zwłaszcza, że naczelne dowództwo bolszewickie powzięło słuszną decyzję, odciążającego uderzenia zmasowanymi oddziałami konnicy na Ukrainie.

-----  
W tym położeniu jedynym logicznym pociągnięciem ze strony polskiej był rozkaz odwrotu na terenie środkowej Ukrainy na szereg kolejnych linii oporu.

Odwrot ten, opóźniający w swym charakterze, miał trwać do połowy sierpnia 1920 roku w ścisłej zależności od położenia głównego frontu operacyjnego, na którym Armia Czerwona przystąpiła w dniu 24 czerwca 1920 roku do olbrzymiej, przeprowadzonej z wielkim rozmachem ofensywy na zachód. Ofensywę tę nazwano później "krucjatą wyzwolenczą uciemiężonych narodów środkowej Europy".

Odwrot wojsk polskich z Ukrainy był zakończeniem nie tylko wyzwolenia Ukrainy wspólnie z dywizjami ukraińskimi. Była to wielka szansa, jedna z największych w historii. Szansa ta wymagała jednakże wielkiego ryzyka, które okazało się zbyt wielkie. Czy można było i czy należało podjąć je ponownie po zwycięstwie warszawskim, jest to już zupełnie innym problemem.

Wyprawa kijowska połączonych wojsk ukraińskich, a przede wszystkim polskich została wyzyskana przez bolszewicką propagandę jako niezbity dowód "polskiego imperializmu". Do wyprawy kijowskiej Ukraińcy przywiązywali wielkie nadzieje, może nawet największe w swej bolesnej i tragicznej historii narodowej. Zrozumiały więc było ich olbrzymie i wręcz wstrząsające rozczarowanie, a nawet ostre zarzuty pod adresem Polski i Polaków, że odwrót wojsk polskich przekreślił całkowicie te nadzieje, nie pozwoliwszy nawet na utworzenie większych planowanych sił zbrojnych ukraińskich, a załedwie na rozbudowanie jednostek już istniejących.

Sam ataman Symon Petlura i ukraińska generalicja rozumieli dobrze warunki i konieczności wojenne i wytrwali wiernie przy sojuszu wojskowym z Polską. Wyborowa dywizja ukraińska 6-ta wraz z armią polską zmuszona była opuścić stolicę Ukrainy Kijów.

Kategoryczny rozkaz upuszczenia Kijowa wywołał konsternację w dowództwie 3-ej armii polskiej dowodzonej przez gen. Smigłego-Rydzę, a obsadzającej rejon Kijowa i jego przedpola. Armia ta nie była pobita i nie czuła się nawet zagrożona. Jej dowódca, nie znał - jak przyznaje to jego szef sztabu, późniejszy generał Tadeusz Kutrzeba - ogólnego położenia na froncie wschodnim. Przeraziły go natomiast skutki polityczne odwrotu. Proponował utrzymanie Kijowa jako stolicy wolnej Ukrainy nawet w okrażeniu do czasu poprawienia się koniunktury wojennej. Wiele wskazuje na to, że miał szanse dotrzymania obietnicy.

Historia jednak nie zna słów "co by było, gdyby". Trzecia armia zmuszona była zgodnie z otrzymanym rozkazem, opuścić Kijów w dniu 10 czerwca 1920 roku. Bolszewikom nie udało się jej rozbić w marszu odwrotowym. Dołączyła w pełnej gotowości bojowej do nowej linii frontu, cofniętego już na Wołyń na rzekę Styry

-----

Miesiąc lipiec 1920 roku był dla Polaków miesiącem klęski. Odwrót zamienił się powoli, w związku z coraz szybszymi postępami armii bolszewickich w szeregu nieskoordynowanych marszów, często graniczących z paniką. Żadna z dotychczasowych planowanych linii czy ognisk oporu nie dała się zrealizować.



W pierwszych <sup>dniach</sup> sierpnia siły bolszewickie atakujące niepowstrzymanie od strony wschodniej i północno-wschodniej z kierunku Wilna, Lidy, Nowogródka, Baranowicz, a następnie Grodna, Wołkowyska, Białegostoku i Bielska Podlaskiego osiągnęły wkrótce Łomżę, Ostrołękę, i północnym ramieniem całego frontu zaczęły powoli oskrzydlać Warszawę kierując się wprost ku Wiśle w okolicy Torunia i Płocka. Szybkie kawaleryjskie oddziały wojsk marszałka Tuchaczewskiego po kilku następnych dniach osiągnęły na tym odcinku frontu rzekę, Wisłę, a nawet w kilku punktach przekroczyły ją umacniając się na zdobytych zachodnich przyczółkach w okolicy Płocka i Włocławka.

Dowódca polskiej obrony na tym obszarze, generał Władysław Sikorski nie zdążył poprzednio utrzymać obrony Brześcia Litewskiego i wycofał się ze swoją dywizją początkowo na linię Narwi, a później ustępując pod naciskiem oddziałów bolszewickich zorganizował następną obronę na linii rzeki Wkry opierając się częścią swych sił o dolinę rzeki Drwęcy. Tu rozmach ofensywy bolszewickiej został zatrzymany. Cały impet ataku innej armii Tuchaczewskiego został skierowany na Warszawę, gdzie rozegrała się w sierpniu 1920 roku słynna bitwa warszawska.

Na południowym odcinku front zbliżył się do Zamościa, Sokoła i Lwowa, przekraczając w okolicach Chodorowa i Żydaczowa rzekę Dniestr kierując się na miasto Stryj. Dowódcą tego frontu był Siemion Budionny, w którego sztabie znajdował się Józef Stalin, jako komisarz polityczny armii Budionnego.

Na czele rządu odrodzonej Polski stanął Wincenty Witos, z Ignacym Daszyńskim jako jego zastępcą. Strona polska zmobilizowała z ogromnym wysiłkiem około 700 tysięcy ludzi, z których zaledwie blisko 200 tysięcy żołnierzy mogło stanąć w pierwszej linii frontu. Armie Tuchaczewskiego natomiast liczyły około 900 tysięcy żołnierzy ześrodkowanych na odcinku od granicy Prus Wschodnich wzdłuż linii Wisły, koło Nasielska, Radzymina, na wschód od Warszawy dochodząc skrzydłami do Dąblina i dolnego biegu rzeki Wieprza.

Armia Budionnego składała się przeważnie z olbrzymiej ilości konnicy, uzbrojonej w lekką artylerię, taczanki, samochody pancerne produkcji francuskiej i grup oddziałów zwiadowczych przenikających na dalekie tyły frontu, uzbrojonych w szable, rewolwery i granaty, mające za zadanie dezorganizowania zaplecza polskiego i siania terroru wśród ludności cywilnej. Ogólny stan liczbowy wynosił około 450 - 500 tysięcy żołnierzy. Front południowy obejmował swym zasięgiem obszar od Chełma po Lwów i północny brzeg Dniestru do Halicza i Zaleszczyk z wybrzuszeniem w kierunku Stryja.

To włamanie w okolicy miasta Stryja uwidoczniło dowództwu polskiemu dalekosiężne zamiary i plany sztabu Budionnego, a szczególnie politycznego komisarza Józefa Stalina. Początkowo armia Budionnego miała uderzyć w ogólnie

nym kierunku na Lublin, w celu wspomagania armii Tuchaczewskiego pracą nieustannie na stolicę Polski - Warszawę. Po klęsce w bitwie warszawskiej, Tuchaczewski tłumaczył swe niepowodzenie niewykonaniem rozkazu komisarza obrony, Lwa Trockiego przez Budionnego. Do zmiany kierunku uderzenia na Lwów, Stryj w kierunku przełęcz Użockiej celem wtargnięcia na Węgry namówił Budionnego Józef Stalin, sugerując ogromne znaczenie polityczne i wojskowe tego kroku.

Upadek niepodległego państwa polskiego zdawał się być przesądzony. Rząd bolszewicki uważał, że staje przed końcową fazą swego wielkiego planu politycznego. Plan ten polegał na obaleniu ładu europejskiego, utworzonego przez zwycięską koalicję po pierwszej wojnie światowej. Miało to być wstępem do rewolucji komunistycznej w Niemczech. W wykonaniu planu los zgotowany Polsce w razie zwycięstwa nad nią Armią Czerwoną był w planach Lenina i jego towarzyszy tylko pewnym fragmentem, lecz jednocześnie warunkiem realizacji całości planu. Na początku sierpnia 1920 roku fragment ten był w przekonaniu Rosji nieomal już osiągnięty. Miał on polegać na wcieleniu okrojonej od wschodu i od zachodu Polski do Związku Sowieckiego. Zadanie to w oparciu o Armię Czerwoną, która w mniemaniu Moskwy miała się za kilka dni zamienić w armię okupacyjną, wykonać miał urzędujący już w Białymstoku Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski z Julianem Marchlewskim, Feliksem Dzierżyńskim, Unszlichtem i Konem na czele.

Powoli zbliżając się do końca tych rozważań na temat stosunku Ukraińców do ludności polskiej Wołynia i Podola, nie mogą się oprzeć chęci przedstawienia szczegółowiej przebiegu bitwy warszawskiej i nad Niemnem, które diametralnie zmieniły układ sił na obszarze pomiędzy Wisłą a Dnieprem w drugiej połowie 1920 roku, utrwalając jednocześnie specyficzny stosunek obu tych narodów zamieszkałych od wieków obok siebie.

W dniu 6 sierpnia 1920 roku Józef Piłsudski wydał historyczny rozkaz "przegrupowania" sił wojskowych zmierzając do rozbicia atakujących zaciekle bolszewickich armii. Armię polską podzielił Piłsudski na: 1. Front dolnej Wisły, stykający się bezpośrednio z granicą Prus Wschodnich, a z drugiej strony opierający się o przedmieścia Płocka. Front ten miał za zadanie nie dopuścić do przzerwania się nieprzyjaciela poprzez dolny bieg Wisły. Frontem tym dowodził generał Władysław Sikorski.

2. Front północny, dowodził nim generał Józef Haller; centralnym punktem była tu obrona Warszawy. Linia frontu przebiegała od rzeki Wisły na południe od Płocka w kierunku na wschód poprzez Płońsk, Nasielsk, Pułtusk, Radzymin, Wyszaków, Tłuszcz, Mińsk Mazowiecki, zaginając się łukiem w kierunku kołczyńskiej Wisły. Szczególnie zacięte walki prowadzone były pod Radzyminem.

3. Front środkowy, dowodzony był przez generała Rydza-Smigłego: opierał się

on lewym skrzydłem o koryto Wisły na wysokości Dąblina i ciągnął się brzegami rzeki Wieprz pod Chełm Lubelski. Frontowi temu Józef Piłsudski przydzielił najważniejsze zadanie w tej decydującej bitwie: flankowego uderzenia na tyły wojsk bolszewickich szturmujących bramy Warszawy.

4. Front południo-wschodni, obejmujący obszar zachodniego Wołynia, Małopolski Wschodniej gdzie pozostawała 6-ta armia i oddziały posiłkowe wraz z dywizją ukraińską, mające na celu obronę Lwowa i nie dopuszczenie nieprzyjaciela do centrum kraju południową flanką.

Odcinek warszawski północnego frontu był najlepiej wyposażony w artylerię i posiadał pożową siłę polskich broniących tego terenu. Dodatkowym zadaniem frontu południowo-wschodniego było utrudnianie komunikacji pomiędzy bolszewickimi armiami Jegorowa i Budionnego, a armią Tuchaczewskiego.

Najważniejsze zadanie przypadło grupie uderzeniowej złożonej z dywizji wybranych spośród najlepszych. Były to: pierwsza i trzecia legionowe, czternasta wielkopolska, szesnasta pomońska i dwudziesta pierwsza podhalańska, zwana jeszcze "dywizją górską". Wszystkie te dywizje znajdowały się w składzie frontu środkowego nad Wieprzem.

Nad tą grupą uderzeniową dowództwo objął osobiście Józef Piłsudski. Koncentrując ją nad Wieprzem, Piłsudski nakazał cofającym się dywizjom wykonać długi marsz w niewiarygodnie ciężkich warunkach. Czternasta dywizja wielkopolska musiała oderwać się od nieprzyjaciela pod Brześciem i maszerować przed jego frontem, a trzecia legionowa musiała przybyć na miejsce z okolic Zamościa. Wszystkie te marsze trzeba było wykonywać w skwarze letnim, ponieważ była to pierwsza połowa sierpnia 1920 roku. Warunkiem powodzenia ataku grupujących się w niezwykle szybkim tempie poszczególnych polskich dywizji w łuku Wieprza było uderzyć całym rozmachem na siły Tuchaczewskiego z lewego skrzydła i wkroczyć na jego tyły, zanim dołączy doń potężna armia konna Budionnego, która w tym czasie powinna była uderzać przez Lublin na północny-zachód, w ogólnym kierunku na Warszawę.

Jednakże armia ta, niezależnie od późniejszej niespodziewanej klęski Tuchaczewskiego pod Warszawą, była stopniowo zniszczona w zacieklej walkach spotkaniowych pod Zamościem przez trzynastą dywizję hallerowską, a dalej przez zgrupowanie bitnej kawalerii generała Juliusza Rómmla pod Komarowem, na polu bitwy miejscowości leżącej w trójkącie pomiędzy Zamościem, Tomaszowem Lubelskim a Hrubieszowem i Włodzimierzem Wołyńskim.

-----

W dniu 14 sierpnia 1920 roku zaczęły się tężące z dnia na dzień walki oddziałów polskich, przystępujących do skoordynowanej przez naczelne dowództwo polskie ofensywy przeciwko czwartej armii bolszewickiej i trzeciemu

korpusowi kawalerii nad rzeką Wkrą. Ofensywą tą na tym froncie dowodził generał Władysław Sikorski. Od dnia 15 sierpnia Radzymin oraz wschodnie i południowo-wschodnie przedmieścia Warszawy, gdzie przebiegała linia obronna przechodziły w niesłychanie zaciętych walkach z rąk do rąk, lecz ostatecznie zostały utrzymane w rękach polskich wojsk. Po Radzyminie oddziały polskie były wspomagane przez ludność cywilną, a także zagrzewane do walki przez duchowieństwo polskie. Do historii przeszedł młody kapelan wojsk polskich ksiądz Ignacy Skorupka, który będąc na pierwszej linii frontu wraz z młodymi ochotnikami, obrońcami Radzymina, zginął pod gradem kul bolszewickich.

W dniu 16 sierpnia 1920 roku ruszyło wreszcie oczekiwane przez Dowództwo polskie z nad Wieprza energiczne natarcie grup uderzeniowych frontu środkowego 4 i 3 armii polskich. 4 armia, obejmującą swym zasięgiem obszar od Dąblina do Lubartowa parła na północ w kierunku Garwolina, Żelechowa, Łukowa w ogólnym kierunku na Mińsk Mazowiecki i Siedlce przerywając z rozmachem lewe skrzydło XVI armii bolszewickiej i zachodząc na jej tyły. Po drodze rozbiła prawe skrzydło grupy mozyrskiej dochodzącej swymi wysuniętymi grupami do koryta Wisły, biorąc tysiące jeńców do niewoli.

3 armia polska gen Rydza Smigłego tymczasem z rejonu Lubartowa, Łęcznej i Chełma Lubelskiego uderzyła w kierunku na Parczew, Ostrów Lubelski, Włodawę, rozcinając w pierwszym uderzeniu zgrupowanie XII armii bolszewickiej pomiędzy Włodawą a Chełmem i Dubienką ~~XX~~ na dwie połowy. Część północna wycofała się w nieładzie częściowo za Bug w okolicach Lubomla, oraz w kierunku Włodawy, a część południowa - Włodzimierza Wołyńskiego i Hrubieszowa, gdzie dostała się pod uderzenie polskiej kawalerii płk/późniejszego generała/ Juliusza Rómmla i dywizji hallerowskiej walczących na tym froncie z armiami Budionnego.

3 Armia polska po pomyślnym przełamaniu frontu bolszewickiego na całym obszarze pomiędzy Lubartowem a Bugiem przeszła w pościg za bezładnie cofającymi się dywizjami wroga w ogólnym kierunku na Brześć n/B. Białą Podlaską, a w dalszej kolejności ścigając wroga w kierunku na Drohiczyn n/B. i Siemiatycze zachodząc łukiem w głębokie oskrzydlenie wojsk Tuchaczewskiego szturmujących przedpola Warszawy. Do dnia 18 sierpnia wieczorem czołowe oddziały polskie atakujące z nad Wieprza osiągnęły linię: Wyszaków, Węgrów, Drohiczyn, Siemiatycze, Terespol pod Brześciem n/B. przekraczając na południe od tego miasta rzekę Bug w kierunku na północ od Włodawy.

Tymczasem odwody 1 armii polskiej broniącej stolicy Polski od południowo-wschodu, wykonały zbieżne uderzenie na wschód w kierunku Mińska Mazowieckiego łącząc się na jego peryferiach z czołowymi formacjami 4 armii atakującej od strony Garwolina zamykając w powstałym w ten sposób kotle część oddziałów prawego skrzydła grupy mozyrskiej oraz XVI armii bolszewickiej

otaczającej przedpoła Warszawy od strony Mińska Mazowieckiego. Dowództwo tej armii bolszewickiej, po stwierdzeniu zarysowującego się groźnego okrążenia, zarządziło natychmiastowy odwrót całej armii w kierunku na północ i północny wschód, aby ~~uniknąć~~ uniknąć zupełnego okrążenia i zniszczenia.

W dniu 18 sierpnia wyszło zdecydowane natarcie brygady kawaleryjskiej będącej w składzie 5 armii polskiej frontu północnego, broniącego Warszawy, od miasta Płońska w kierunku na Ciechanów przy współudziale dywizji piechoty rozcinając od siebie XV armię bolszewicką od IV armii opartej tyłowymi formacjami o rzekę Wkrę. Jednocześnie polskie zgrupowanie w Grudziądzu, Jabłonowie i Brodnicy wykonało równoczesny zbieżny atak w kierunku na Lidzbark, Działdowo, Mławę zachodząc na tyły IV armii bolszewickiej dążąc do jej całkowitego odcięcia i zniszczenia na polach pomiędzy Mławą, Ciechanowem oraz Przasnyszem w Puszczy Kurpiowskiej.

Armia bolszewicka, w końcowej fazie walk w pobliżu granicy z Prusami Wschodnimi, a właściwie jej rozbite resztki przeszły granicę i wycofały się następnie, przy neutralnej postawie władz niemieckich, od strony Chorzel na północny wschód.

Od dnia 18 sierpnia cały front bolszewicki, dowodzony przez Tuchaczewskiego był w całkowitym i panicznym odwrocie na wschód i północny wschód. Stracił on w tym okresie kilkadziesiąt tysięcy jeńców, większość ciężkiego uzbrojenia, zapasy amunicji. Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski z Julianem Marchlewskim na czele pośpiesznie wyjechał z Białegostoku wraz ze sztabem Tuchaczewskiego. Bolszewicki dowódca zdał sobie sprawę z rozmiarów klęski poniesionej w dniach od 16 do 18 sierpnia wówczas dopiero, gdy jego południowe skrzydło przestało zupełnie istnieć jako zorganizowana siła wojskowa.

Bolszewicka grupa operacyjna nazywana mozyrską/miasto nad dolną Prypecią/ oraz armie szesnasta i trzecia były w pełnym i chaotycznym odwrocie. Jedyną rzeczywistą przeszkodą dla polskiego pościgu i kontrofensywy, zakrojonej na ogromną skalę były przestrzeń i wysiłek marszowy dywizji piechoty.

W dniach 22-25 sierpnia 1920 roku rozbite i zdeorganizowane bolszewickie armie: XV, III, XVI i inne pomieszane ze sobą dywizje, zostały odrzucone na przestrzeni pomiędzy Łonżą, Kolnem, Tykocinem, Białymstokiem i Świsłoczą, kierując się w panicznym odwrocie na wschód.

Wkrótce została osiągnięta linia rzeki Niemem, w okolicy Grodna, którą przekroczone w pościgu za wycofującymi się stale na wschód dywizjami bolszewickimi. Plan polski zawarty w rozkazie Józefa Piłsudskiego z 6 sierpnia 1920 roku przewidywał odcięcie całości sił bolszewickich dowodzonych przez Tuchaczewskiego od ich rezerw i baz zaopatrzenia na linii od granicy Prus Wschodnich po Grodno nad rzeką Niemem. Plan ten nie został w stu procentach

wykonany z tego przede wszystkim powodu, że VI armia bolszewicka, najdalej na północ i na zachód wysunięta nie zdawała sobie sprawy ze swej sytuacji po polskiej ofensywie, i zaczęła się wycofywać na rozkaz Tuchaczewskiego dopiero 17 sierpnia. IV armia wraz z korpusem Gaja została rozbita, przechodząc w znacznej części granicę Prus.

Ocalały jako zwarte, choć uszczuplone i zdemoralizowane jednostki, cała IV armia bolszewicka i niektóre dywizje armii III. Te jednostki właśnie oraz rezerwy, podciągnięte do rejonu na wschód od Wilna oraz Lidy i Baranowicz, stały się trzonem następnej operacji bolszewickiej, na której powodzenie liczone w głównej kwaterze Tuchaczewskiego jak i w Moskwie. Operacja ta miała polegać na zatrzymaniu marszu polskich dywizji i związaniu ich w walce pozycyjnej na tak długo, aż uda się zmontować nową ofensywę przeciwko Polsce.

Lenin nie chciał w tym okresie paktować z Polakami o rozejmie czy pokoju - w przeświadczeniu, że ogromne w porównaniu z polskimi zasoby ludzkie i materiałowe pozwolą opanować sytuację na froncie. Z przekonania tego nie wyprowadziły go nawet powodzenia polskie na froncie południowym, gdzie w końcu sierpnia i w pierwszych dniach września dokonał się ostateczny pogrom żbrymiej armii konnej Budionnego łącznie z XII i XIV armią bolszewicką. Rozumowanie członków sztabu Armii Czerwonej było skuszne w tej części, która odrzucała możliwość nowej wielkiej ofensywy polskiej na Ukrainie. Nie pozwalały na to środki, jakimi polska strona dysponowała, nie przewidywał jej też dalszy plan wojskowy polski, który postulował Naczelny Wódz - Józef Piłsudski już od dnia 18 sierpnia 1920 roku. Naczelne dowództwo polskie wiedziało, że największe niebezpieczeństwo zagrażać może w tym czasie tylko na froncie północnym i że tylko przedłużenie wysiłku polskiego na tym właśnie kierunku może zapewnić pełne wykorzystanie już odniesionego pod Warszawą zwycięstwa.

-----

To nagłe odwrócenie się sytuacji wojennej było dla wielu ludzi w Polsce tak zdumiewające i niespodziane, że wdzięczność swoją ujęli w słowa "cud nad Wisłą", tak jak by w grę wchodziły siły nadprzyrodzone. Niewątpliwie nad Wisłą żołnierz polski bronił niepodległości swego kraju i jego kultury, wolności osobistej i religii. Oczywiście, że bronił tych wartości nie tylko nad Wisłą. Nazwa "cud nad Wisłą" była więc wyrazem wdzięczności Opatrzności. Niestety starano się niejednokrotnie wyzyskać ją w sposób wypaczony, podstępny, a nawet podły dla celów politycznych i własnych rozgrywek partyjnych, by obniżyć zasługi Naczelnego Wodza, Józefa Piłsudskiego.

Przede wszystkim bitwa Warszawska swą "cudowność" zawdzięczała niesłychanemu wysiłkowi i bitności żołnierza - wysiłkowi, który wydawał się nieosiągalny. Było to pierwsze decydujące zwycięstwo polskie od czasu Wiednia, lecz o ileż od tej odsieczki wiedeńskiej dla Polski ważniejsze. Zawdzięczamy mu

nie tylko dwudziestolecie szczęśliwej i płodnej niepodległości, lecz i fakt, że dzisiaj także istnieje państwo, które, choć jego ustrój narodowi nie odpowiada, jest jednakże państwem polskim, a nie związkową republiką sowiecką z jej całym konsekwencjami.

Fakty dotyczące bitwy Warszawskiej są chyba dobrze znane i nie podlegają dyskusji nawet w publicystyce komunistycznej. Bona także i ona przyznaje dziś, że w sierpniu 1920 roku *s o l i d a r n a* postawa całego narodu polskiego bez względu na podziały społeczne, polityczne i światopoglądowe umożliwiła względnie ułatwiła polskiemu żołnierzowi wykonanie planu strategicznego, który doprowadził do całkowitej klęski północnego zgrupowania armii bolszewickich na froncie sięgającym od Działdowa i Brodnicy na północ od Warszawy po bieg środkowego Bugu. Jest chyba tylko jedna - niezbyt istotna różnica, że w przeciwieństwie do historyków niezależnych publicyści komunistyczni starają się przedstawić przebieg wypadków jak najbardziej pobieżnie, pomniejszając lub celowo przemilczając wiele ważnych szczegółów. Tych przede wszystkim, które uwypuklają wytrzymałość i patriotyzm żołnierza polskiego i całego społeczeństwa polskiego. Łączy się z tym tendencja do żonglowania cyframi dotyczącymi stanów wojsk walczących ze sobą - po to, by w ten sposób "odbrązowić" rozmiary zwycięstwa polskiego i "wybielić" rozmiary klęski wojsk bolszewickich.

Wystarczy stwierdzić, że przeciwko Polsce udało się bolszewikom wystawić przeszło 1 milion 40 tysięcy żołnierzy, podczas gdy strona polska zmobilizowała około 700 tysięcy ludzi, z tym ważnym dodatkiem, że do bitwy Warszawskiej polskie dowództwo mogło rzucić więcej ludzi niż Tuchaczewski. Dochodzi do tego popełnianie błędów w ocenie sytuacji i planowaniu operacyjnym: wyraziło się to przede wszystkim w braku koordynacji działań armii Budionnego na północnym froncie z operacjami na północy nad Wisłą i pod Warszawą. Zrozumiał to i natychmiast wykorzystał Józef Piłsudski wydając swój historyczny "Rozkaz przegrupowania", gotując się do walnej rozprawy z wrogiem pod Warszawą stolicą Polski. Jednakże wojna nie była jeszcze zakończona. Trwały zacięte walki nad Niemnem, gdzie rozstrzygnąć się miały losy całej kampanii 1920 roku w drugiej, chyba jeszcze ważniejszej bitwie, w tzw. "bitwie nad Niemnem". Oprócz tego trwały niemniej zacięte walki na zachodnim Wołyniu, na Lubelszczyźnie i pod Lwowem, gdzie decydowały się losy armii Budionnego.

-----

Dla lepszego zobrazowania walk przeciwko Budionnemu podam tu fragmenty wspomnień mjr. Władysława Kołaczkowskiego, uczestnika tych walk, dowódcy 1-szej Baterii 3-go Dywizjonu Artylerii Konnej armii konnej generała Jana Sawickiego operującej na obszarze od Kijowa, poprzez Równe, Dubno, Brody, Sokal, Rawa Ruska, Włodzimierz Woł. Hrubieszów, Zamość, Tomaszów Lubelski, Bełz, Komarów.

Oto wspomnienia: "Po ciężkich ranach odniesionych przez naszą jazdę w czasie odwrotu spod Kijowa Zamość był miejscem gdzie w przyspieszonym tempie formowały się nasze uzupełnienia dla pułków jazdy i gdzie w dużym promieniu dookoła pułki jazdy i dywizjony artylerii konnej leczyły konie, kompletowały rynsztunek i wchłaniały uzupełnienia. Moja 1-sza bateria 3-ej DAK uzupełniała się w Mrubieszowie wraz z 2-gą baterią naszego dywizjonu, otrzymując nowe działa polowe rosyjskie. Jeden działon tylko mojej baterii i jeden 2-ej baterii, złożone w kombinowany pluton, potykały się w ciężkich bojach nad Styrem pod dowództwem Tadeusza Lechnickiego.

W dniu 18 lipca/ówczesny pułkownik, a późniejszy generał/ Juliusz Rómmel obejmuje w Zamościu dowództwo 1-~~ej~~ dywizji jazdy wchodzącej w skład armii konnej dowodzonej przez gen. Jana Sawickiego, szefem sztabu armii konnej był płk Marian Przewłocki, szefem sztabu 1-szej dywizji, ~~KKKX~~ z którą do końca byłem związany, był rotmistrz Aleksander Pragłowski. Skład dywizji ciągle jeszcze nie był skryształizowany i ulegał zmianom. By umożliwić tę reorganizację ~~ju~~ jazdy, już wcześniej bo 20 czerwca 1920 roku płk Dreszer odszedł ze swoją 4-tą brygadą jazdy w składzie 1-go i 2-go pułku szwoleżerów i 8-go oraz 16-go pułku ułanów. Nad Styrem wspomagany był przez nasz kombinowany pluton artylerii konnej, gdzie wstrzymywał napór bolszewicki...

...W dniu 29 lipca 1920 roku zaczęła 1-sza dywizja jazdy walkę. Zdobywamy wieś Mytnicę nad Styrem i po chwilowym wyparciu nas na zachodni brzeg Styru znowu zajmujemy jego brzeg wschodni. Mamy na przedpolu 6-tą dywizję jazdy Budionnego, a naprzeciwko 4-ej brygady Dreszera stoi 4-ta dywizja jazdy bolszewików. W dniu 30 lipca dywizja nasza atakuje tyły 4-ej i 6-ej dywizji Budionnego w kierunku na Szczurowice dla odciążenia Dreszera, lecz wobec nieprzybycia na czas z noclegu 3-ej brygady jazdy Strzemińskiego cała akcja spaliła na panewce. Musimy spieszenie wycofywać się na Beresteczko; odwrot nasz kryje 3-cia brygada, szwadrony 12-go pułku ułanów nie wytrzymują naporu szarżujących bolszewików...

...W dniu 1 sierpnia dywizja atakuje bolszewików wzdłuż Styru już na zachodnim jego brzegu w kierunku wsi Mikołajów. W dniu tym bateria moja pierwszy raz po reorganizacji bierze udział w boju. Wyjeżdżając z baterią na odkrytą pozycję w linii Ławy 12-go pułku ułanów spotkałem wycofującego się rannego mego dobrego znajomego rotmistrza Teodora Suchodolskiego. W dniu 2 sierpnia cała konna armia maszeruje w kierunku Radziwiłłowa. 2-ga dywizja jazdy pod płk. Orzechowskim wówczas nie dołączyła na czas do armii. Na nocleg zatrzymaliśmy się we wsi Brebrna na płn. wschód od Radziwiłłowa. Artylerii bolszewicy nie posiadali. Noc spędziliśmy nie rozsiodkując koni, gdyż cały czas trwała strzelanina. Dopiero nad ranem nawiązaliśmy kontakt z dywizją Orzechowskiego. Bateria moja zawiązuje w tym dniu walkę ogniową z pociągami pancernymi bol-



szewików i zmusza go do odwrotu. W dniu 3 sierpnia 1920 roku cała armia konna kieruje się dwoma kolumnami na Radziwiłków, przy czym 1-sza dywizja idzie wprost bliższą drogą, a 2-ga dywizja na Siestratyń-Klekotów. Około południa na rozkaz generała Sawickiego nasza dywizja zatrzymuje się, gdyż od strony wsi Klekotowa słychać ogromną strzelaninę. Po kilku godzinach wyjaśnia się, że 2-ga dywizja została prawie zupełnie rozbita przez bolszewików, wobec czego otrzymujemy rozkaz cofnięcia się do Szczurowic /na południe od Beresteczka/...

...Miele zamieszania wprowadził 17-ty pułk ułanów pod płk. Żychlińskim. Wobec tego, że Szczurowice okazały się odcięte, musieliśmy skierować się do Beresteczka, gdzie też rozlokowano się na nocleg i skąd następnego dnia przesualiśmy się pod wieś Grzymałóvkę. Od 5 sierpnia dywizja nasza próbuje od drugiej strony przez wieś Berlin w pobliżu Brodów dotrzeć do Radziwiłkowa. Bateria moja nocuje w Berlinie pod cmentarzem, noc ciepła przechodzi spokojnie, nocując tu na stosie desek i belek obok baterii. 6 sierpnia maszerujemy na Lopatyn leżącym pomiędzy Radziechowem a Brodami. W dniu tym część armii konnej odchodzi pod Warszawę i 1-sza dywizja jazdy zostaje sama, jako samodzielna jednostka w składzie: pułków ułanów 1-8-9-11-12-14- i baterii 1/3-2/4-2/6.

W dniach 7 i 8 sierpnia 1920 roku dywizja jazdy walczy pod Radziwiłkowem. /Powstrzymuje tam nacisk zmasowanej armii Budionnego/Duży bałagan powstał w tym dniu w czasie odwrotu pod Antoninem, gdzie do szarży chodził sam dowódca dywizji płk. Rómmel z oficerami wszystkich pułków i baterii. Na nocleg odeszliśmy do rejonu Witków Nowy. W dniu 11 sierpnia dywizja prowadzi akcję na Radziechów, położonym w połowie drogi pomiędzy Brodami a Sokalem/. Pułkami dowodzą w tym czasie: 1-szym - Korytko, 9-tym - Dębiński, 11-tym - Jabłoński a 8-nym - Karol Rómmel. 12 sierpnia następuje nowy podział dywizji / w efekcie którego armia konna gen. Sawickiego zostaje przereformowana i zlikwidowana/.

Dnia 13 sierpnia 1-sza brygada w Chołojowie /10 km. na pld. zach. od Radziechowa/, a 6-ta i 7-ma w Radziechowie. Tu pod kościołem w Radziechowie dowódca 2-giej baterii 6-jej DAK Petrażycki ginie od zabłakanej kulą. Tu też w parę chwil potem pojawia się opancerzone auto bolszewickie, spędzone jednak jednym działem 2-giej baterii 6-jej DAK uchodzi. Jednak wszystkie nasze siły zmuszone są w szybkim tempie opuścić Radziechów. Powodem tego było opuszczenie przez 2-gi pułk szwoleżerów wsi Kąty - na ich karkach bolszewicy wpadli do Radziechowa. 9-ty pułk wraz z 8-ym osłania odwrot. Moja bateria nocowała tego dnia we wsi Pawłów / na pld. zach. od Radziechowa/ pod osłoną 1-go szwadronu 14-go pułku ułanów. Pod wieczór w tym dniu przeszedłem z baterii do Chołojowa gdzie noc spędziliśmy na pozycji. 14 sierpnia w Chołojowie. Cały 17-ty pułk idzie dla nawiązania łączności z grupą t o p o r o w s k ą /duża wieś Topo-

rów, położona jest w samym środku trójkąta Brody - Radziechów - Busk, na północny wschód od Lwowa, Toporów to miejsce stacjonowania wojsk króla Jana Kazimierza w czasie oblężenia Zbaraża - czerwiec, lipiec, sierpień 1649 r. - II tom "Ogniem i Mieczem" H. Sienkiewicza/, 5-ty i 11-ty na pozycji przed Chochojowem, bateria stoi na pozycji koło szkoły - wspomaga ogniem szarżę 5-go i 11-go pułku. Koło 5-aj po południu ogień nieprzyjacielski wznaga się, bateria jest silnie ostrzelana, pułki ułanów wycofują się z przedpoja, otrzymując od płk. Ckuchowskiego rozkaz cofania się wraz z pułkami brygady na Kamionkę Strumiłową/na północny-wschód od Lwowa, ok. 45 km. odległości/, reszta dywizji odchodzi na Dobrotwór / 15 km na północ od Kamionki/. Linia frontu opiera się obecnie na linii górnego biegu Bugu, / w dalszym ciągu polskie dywizje cofają się jednak w następnych dniach dalej na zachód/.

...W dniu 15 sierpnia 1920 roku dywizja przechodzi w rejon Mostów Wielkich - /miasteczko położone pomiędzy Żółkwią a Sokalem/ Tu dołącza do dywizji batalion 18-go pułku piechoty mjr. Łukawskiego z ochotniczą baterią "Jadzia".

...16 sierpnia - nieprzyjaciel zajmuje Krystynopol / 12 km. na południe od Sokala/...17 sierpnia...Dywizja otrzymuje rozkaz marszu na Żółkiew dla obrony L w o w a...

...19 sierpnia 1920 roku - O godzinie 3-aj rano wyruszamy w kierunku na D z i b u ż k i a 7-ma brygada na Przedzymbiechy Wielkie. Tu szwadron Chmielowskiego z 1-go pułku ułanów piękną szarżą odparł bolszewików, którzy wyparli naszą piechotę z Dzibużek, i zajęł Dzibużki. W tym czasie 8-my pułk ułanów krwawił się w Artasowie. / D z i b u ż k i - wieś, która leży w samym środku trójkąta: Lwów - Żółkiew - Kamionka Strumiłowa/....Przy zdobywaniu Dzibużek cały czas działa moja bateria, współdziałając z szarżą 1-go pułku ułanów. Podszedł w tym czasie do mego punktu obserwacyjnego przy szosie mjr. Barczyński, dowódca 14-go pułku ułanów, i został ranny kulą bolszewicką.

W tym czasie na polach pod D z i b u ż k a m i wylądował nasz lotnik i przywiózł pierwszą depeszę o zwycięstwie naszych wojsk pod Warszawą, oraz przejętą depeszę z rozkazami ~~ministra~~ do Budionnego, by zaniechał / ofensywy/ Lwowa i szedł spiesznie na Warszawę. W chwilę potem pod wsią Ż ó ł k - t a ł i c e / wieś pomiędzy Lwowem a Kamionką Str. przy linii kolejowej/ bolszewicy kontratakami wyparli naszych z zajętych pozycji i sytuacja z trudem tylko została opanowana skoncentrowanym ogniem naszych 4-~~ch~~ baterii na Żółtańce i szarżami naszych pułków jazdy.

Dzień 20 sierpnia 1920 roku - w dniu tym 1-sza dywizja jazdy otrzymała z rąk biskupa Bilczewskiego sztandar ofiarowany przez Ligę Kobiet za obronę Lwowa. Dowództwa pułków obejmują: w 8-mym rotmistrz Krzeczunowicz, w 9-tym rotmistrz Komorowski i w 1-szym porucznik Masalski. ,

-----

Dni 21, 22, 23 sierpnia 1920 roku przechodzą na utrzymaniu kontaktu z odchodzącym na północ Budionnym. W dniach tych moja bateria wraz z 38-ym pułkiem piechoty atakuje Mosty Wielkie... Bolszewików wyparliśmy z Mostów i ścigaliśmy szosą w kierunku na wieś Sielec, /bliżej Sokala/. W Sielcu na plebani ruskiej spotkałem płk. Rómmla. 24 sierpnia ciągniemy całą dywizją jazdy do Bełza, tu dołącza do nas 1-sza bateria DAK pod Krzyżanowskim i wchodzi do składu 7-ej brygady jazdy. Przybywa też uzupełnienie dla 1-go pułku ułanów, z płk. Zahorskim, który też obejmuje pułk.

1-sza dywizja jazdy zostaje wraz z 13-tą dywizją piechoty wyznaczona do grupy pościgowej za Budionnym, pod dowództwem generała Stanisława Hallera /zginął w Katyniu w kwietniu 1940 roku/.

25 sierpnia zajmujemy 6-tą brygadą jazdy rejon Oserdowa - Budenina - Hycowa - Chłopiatyna i tu nawiązujemy styczność z Budionnym i jego 6-tą dywizją jazdy. /Są to miejscowości rozciągające się pomiędzy Sokalem a Tomaszowem Lubelskim; jak widać z tego ukształtowania terenowego front polsko-bolszewicki przebiega obecnie w kierunku na północ ok. 70 km od Lwowa/.

27 sierpnia - Pod Oserdowem i Chłopiatynem bolszewicy natarli na naszą 6-tą brygadę jazdy, lecz 14-ty pułk ułanów spędził ich brawurową szarżą. Podczas tej szarży moja bateria w rozwiniętym szyku wyjechała w jednej linii z ławą naszej jazdy i ogniem wspierała jazdę. Rannym tu został dowódca 14-go pułku por. Massalski, tak że pułk objął po nim konny artylerzysta kapitan Belina. Prądmowski z 1-jej baterii 4-go DAK. Tutaj też ogniem naszej baterii niszczy punkt obserwacyjny artyleryjski w Artasowie zabijając jego dowódcę....

... 29 sierpnia - Wymaszerowujemy całą dywizją na Tyszowce przez Marzę, Dołhobyczów, Nabroź /miejscowości położone pomiędzy Sokalem a Hrubieszowem - tu w Nabrożu na cmentarzu spoczywa autor wspomnień, mjr. Władysław Kołaczkowski który zginął we wsi Dobużek śmiercią żołnierza dnia 2 września 1942 roku przeżywszy 50 lat/.

Po Marzęm tylko napotyka dywizja na opór bolszewicki, który łatwo pokonujemy. Forsownym marszem przy ulewnym deszczu, który zaczął lać od południa dążymy na nocleg do Nabroża, wysławszy do Tyszowiec tylko 1 pułk ułanów...  
... W Tyszowcach zdobyto kompletny działon bolszewickiej artylerii konnej kozackiej, zostaje on za zgodą wziętych do niewoli Kozaków w całości wcielony do mojej baterii z rudobrodym Kozakiem na czele kozackiej armaty.

-----

30 sierpnia 1920 roku dywizja zgodnie z otrzymanym rozkazem maszeruje w kierunku Zamościa, przy czym 7-ma brygada idzie w straży przedniej. Zajmujemy rejon Wolica, Brzozowa-Zubowice... 9-ty pułk ułanów, który osłaniał nasze przejś

ście przez Waręż dotychczas nie dołączył - podobno został gdzieś odcięty w kierunku na Rawę Ruską.

31 sierpnia - Hypogodziło się zupełnie. 9-ty pułk ułanów po zrobieniu sześćdziesięciokilometrowego marszu nocnego dołączył nad ranem do swojej 7-mej brygady jazdy. Od samego rana 7-ma brygada już się związała bojem z nieprzyjacielską 11-tą dywizją kawalerii Budionnego. Kiedy 6-ta brygada jazdy podciągnęła trochę z opóźnieniem pod Komarów, już całe wzgórze na północ od Komarowa pod Wolicą Sniatycką było zasiane rozsypanymi oddziałami naszej i bolszewickiej jazdy. Z momentem podciągnięcia się 6-ej brygady wszystkie nasze konne baterie zaczęły wspomagać z odkrytych pozycji naszą jazdę...

...W tym czasie nasz 9-ty pułk ułanów dostał się pod silny ogień naszej artylerii polowej z 13-ej dywizji piechoty. Pułk poniósł ciężkie straty, co wykorzystując bolszewicy zaszarżowali, a nasi w wielu miejscach zaczęli się wycofywać. Dopiero szarża 1-go pułku Krechowieckiego znów zepchnęła ławy bolszewickie z dominujących szczytów wzgórz. Przybliżone obliczenia związanej w walce jazdy wnosiliły z naszej strony około 4.000 szabel i z bolszewickiej około 14.000.

Widok był zaiste godny pędzla batalisty - od czasów Napoleońskich takiego skupienia jazdy w walce nie spotykamy. Jeszcze rano przy podchodzeniu do Komarowa 12-ty pułk ułanów został skierowany na prawe skrzydło, gdzie musiał przejść przez wąską grobelkę przez bagna na Sniatycze i zająć okupowane przez bolszewicką jazdę wioski i chutory. Ja miałem ogniem mej baterii umożliwić to zadanie pułkowi, co zostało szybko i szczęśliwie wykonane. Koło południa, minawszy z baterią Komarów, groblę odchodzącą na prawo od głównego gościńca, poza młynem parowym w kierunku na Brudek zająłem pozycję u podnóża wzgórz. Działon kozacki wcale dobrze się spisywał, gdyż Kozak, brodaty celowniczy, chętnie i szybko wynajdywał cele ruchome i skutecznie je ostrzeliwał celowaniem na wprost....

...Po decydującej szarży 1-go pułku Krechowieckiego i zajęcia całego pasma dominujących wzgórz i ja z baterią wyjechałem na szczyt, skąd roztaczał się rozległy widok na leżące w dole i odległe o kilka kilometrów Cześniki, Miączyn, Niewirków i Dub. Stąd widzieliśmy masę żywych poruszających się celów, do których prowadziliśmy nieustanny i skuteczny ogień. Z rozkazu znalezione-go w kieszeni zabitego dowódcy bolszewickiej brygady jazdy stwierdzono raz jeszcze, że mieliśmy przed sobą 11-tą i 4-tą dywizję jazdy Budionnego, a jak potem okazało również 6-tą i 14-tą dywizję... Baterie pozostają na wzgórzach dla ewentualnego wspierania naszej 6-tej brygady, która ma za zadanie, wobec widocznego retreatu bolszewickiej, odciąć im odwrót na Koniuchy, Dub, Werbkowice, /w kierunku doliny rzeki Huczwi wpadającej do Bugu

pod Krubieszowem/...1 września - Nad ranem podeszliśmy pod Tyszowce, lecz wobec zajęcia ich przez piechotę bolszewicką dywizja rozłokowuje się w rejonie wsi Soból i Czartowie...Po parogodzinnym odpoczynku ostrzelujemy wejście do Tyszowiec od strony grobli wylotowej, gdzie bolszewicy ulokowali parę gniazd karabinów maszynowych. Po odpoczynku zdecydowane zostało sforsowanie rzeki Huczwy pod Łaszczowem i podejście do Tyszowiec od tyłu.

2 września - manewr ten wykonany szybko i pomyślnie zmusza bolszewików do odstąpienia od tych dwóch miasteczek - Tyszowiec i Łaszczowa. Przy zajmowaniu Łaszczowa bateria moja wspomaga ogniem wspaniałą szarżę 1-go pułku ułanów Krechowieckich wzdłuż gościńca Łaszczów - Żulice. Zdobyliśmy 8 działających karabinów maszynowych. Punkt obserwacyjny podczas tej szarży miałem w odległości 1 km od wspomnianych karabinów, na stercie chłopskiego zboża na polach wsi Podhajce. Ledwie znalazłem się na stercie z telefonem, zostałem spostrzeżony i ostrzelany z karabinów maszynowych, stertka literalnie ruszała się od kul, szczęście, że nie zwiększyli celownika, bo trafiając metr wyżej byłiby mnie naszpikowali ołowiem. Tu z Łaszczowa po tej udanej akcji poszło przedstawienie mnie do *Virtuti Militari za b i t w ą k o m a r o w s k ą*....

...Szerokim wygonem poruszamy się naprzód zajmując las w Dubożku, w którym wypadło mi potem na stałe zamieszkać / ówczesny porucznik Władysław Kołaczkowski wychodzi z wojska jako major... Zamieszkuje w Dobużku, zakłada tu rodzinę i dochowując się pięciorga dzieci. Ginie w czasie okupacji 2.09.1942 r. w Dobużku, dokładnie w 22 lata od opisywanego dnia, podczas napadu Ukraińców w którym po raz pierwszy zetknął się z Dobużkiem. Śmierć przerywa jego pracę w konspiracji wojskowej na terenie obwodu Tomaszów Lubelski Armii Krajowej/... Nie natrafiając na większy opór podchodzimy całą dywizją aż pod Starą Wieś, skąd wracamy na nocleg do Łaszczowa.

Po kilkudniowym odpoczynku dywizja otrzymuje rozkaz sforsowania Huczwy niżej pod Makijowem, dokąd dążymy poprzez Mołoniż, Czartowiec. Tu na postoju spotkaliśmy się z bolszewicką brygadą jazdy, która w całym składzie przeszła na naszą stronę pod dowództwem esauła Jakowlewa. Skład tej brygady zaledwie 300 koni, lecz wygląd dosyć dziarski i ekwipunek nie najgorszy. Jestem w posiadaniu szabli czerkieskiej.../...Wspomniana szabla czerkieska w skórzanej czarnej oprawie /pochwie/ ze srebrnymi okuciami wisiała w gabinecie Kołaczkowskiego, w towarzystwie innych, polskich już szabel, i wszystko to zostało zrabowane w niedzielę 24 września 1939 roku, w dniu nieoczekiwanego pojawienia się w D o b u ż k u wojsk sowieckich/.

...Z Czartowca przechodzimy pod Makijów, pozostawiając z prawa Tyszowce, w których bolszewicy stale się utrzymują. W Makijowie mamy do sforsowania wąską rozbitą grobelkę przez szeroki pas łąk i rzekę Huczwę. Łąki po ostatnich

deszczach a miejscami i grobla stoi pod wodą. Kilka karabinów maszynowych bolszewickich u wylotu grobelki tamuje nam przejście. Podtaczając jedno działo rękami, za przykryciem kilku chałup podsuwamy się tak blisko, że z łatwością udaje się nam je zniszczyć. Przejście jednak, a raczej przeciwległy wylot grobli jest nadal pod ogniem bolszewickich karabinów maszynowych z pobliskich Turkowic. Przenoszą więc ogień na ten kierunek a jednocześnie przesuwam całą baterię z końmi przez groblę na drugą stronę łak, by stamtąd ogniem armat zmusić do milczenia gniazda karabinów maszynowych i otworzyć przejście dla całej dywizji. Podczas mojej pracy ogniowej podjeżdża 2-ga bateria konna 4-go DAK pod dow. Kaliszka i tam już Kaliszek z pomocą samego dowódcy dywizji p.k. Rómmla, też z fachu artylerzysty, który nadjechał razem z nimi, pomagają mi zmusić do milczenia bolszewickie stanowiska. Pamiętam, że nad jednym gniazdem szczególnie się męczymy, lecz w końcu celnym strzałem udaje się je unieszkodliwić. Cała nasza jazda przechodzi na prawą stronę Huczwi i ... zaczyna się pościg za uciekającymi bolszewikami. Miałem specjalną satysfakcję rozbijając w tym dniu kilka bolszewickich taczaneł z karabinami maszynowymi, które przykrywały odwrót swoich.

Na noc pod zaczynającą się siąpić deszczem stajemy z baterią w Sahryniu, a cała dywizja rozlokowuje się w rejonie Modryńca /12 km na południe od H r u b i e s z o w a / . / ciągu kilku następnych dni moja bateria przechodzi do Kosmowa, by tam w dniu 12 września 1920 roku umożliwić przejście Bugu całej dywizji. Od tego czasu rozpoczyna się intensywny pościg za zdemoralizowanym i stale cofającym się wschód przez ziemię wołyńską wrogiem bolszewickim. Opis tego wielkiego dla nas dnia zaczyna w swej książce Melchior Wańkowicz od słów włożonych w usta porucznika Tadeusza Lechnickiego, który w tym czasie dowodził 2-gą baterią 3-go DAK: "Stoimy pod Kosmowem".

Na tym urywają się te wspomnienia z dwóch decydujących miesięcy wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku widzianych oczami młodego oficera liniowego. .... Z rękopisu przepisane i opatrzone komentarzami - przez syna autora - -Zbigniewa Kołaczkowskiego."

Po zwycięskiej bitwie pod Warszawą i rozgromieniu armii konnej Budionnego na polach bitew położonych na pograniczu trzech województw: wołyńskiego, lwowskiego i lubelskiego rozegrała się ostatnia faza wojny w dorzeczu rzeki Niemen na północnym odcinku frontu polsko-bolszewickiego.

Sytuacja zmieniła się radykalnie po 21 września 1920 roku. Dzień ten był punktem zwrotnym bitwy niemeńskiej. Była to operacja wojskowa na skalę większą nawet niż operacja warszawska, a jej rezultat, choć może mniej błyskotliwy i mniej znany, czy dla każdego przeciętnego Polaka mniej oczywisty niż odrzucenie Armii Czerwonej znad Wisły - zadecydował jednak o wyniku

wojny. I tym samym o pokoju. Rezultat wojkowy bitwy niemeńskiej polegał przede wszystkim na całkowitej demoralizacji wojsk bolszewickich i pokrzyżowaniu wszystkich wykonalnych planów strategicznych. Marsz armii polskich na wschód odbywał się już odtąd prawie bez oporu. Gdy chodzi o negocjacje rozejmowe czy pokojowe, to dopiero po tej bitwie niemeńskiej zapadła w Moskwie decyzja, do której skłonił się Lenin, by rozmowom z Polską odebrać ich charakter propagandowo-agitacyjny a nadać tempo szybkie, realne i bardziej poważne.

O jakie rozmowy chodziło? Polska delegacja pod przewodnictwem Jana Dąbskiego, która już od 14 sierpnia 1920 roku, tzn. od przedednia Bitwy Warszawskiej, przebywała w Mińsku Litewskim/na Białorusi/, wyjeżdżała stąd w atmosferze przygnębienia, ze świadomością bezcelowości swojej misji, gdyż strona bolszewicka nie robiła w tym czasie tajemnicy, że żadnego pokoju nie chce i że o losie Polski i całej Europy środkowej zadecyduje sama, po - jak się zdawało - nieuniknionym zwycięstwie Armii Czerwonej. Wspomnieć warto, że Piłsudski nieoficjalnie przestrzegał Dąbskiego, by "niczego nie podpisywał przed 18 sierpnia 1920 roku", gdyż tego dnia powinien przez radio otrzymać wiadomość o całkowicie zmienionej sytuacji wojennej na korzyść Polski.

W dniu przybycia polskiej delegacji na rozmowy do Mińska rząd bolszewicki przestał już interesować się nawet własnymi propozycjami, będąc pewnym całkowitego zwycięstwa wojskowego na ziemiach polskich. Nie chciał żadnych rozmów, gdyż zaczął już wprowadzać w życie plan okupacji Polski po granicę dawnego zaboru pruskiego.

W tej sytuacji delegacja polska stawała się dla strony rosyjskiej niepotrzebną zawadą. Zaczęto więc ją szykanować, czego najlepszym, a raczej najjaskrawszym przykładem była proklamacja z podpisem Tuchaczewskiego rozlepiąca na ulicach Mińska. Nazywała ona polską delegację zbiorowiskiem szpiegów i wzywała ludność do sprzeciwiania się jej pobytowi w stolicy Białorusi. Miejscowy komendant "Czerezyczajki" odwiedził wówczas Dąbskiego, by oświadczyć, że wobec oburzenia ludności nie może gwarantować Polakom bezpieczeństwa. Komedię tę odegrano w dniu 19 sierpnia, to jest w chwili, gdy klęska Armii Czerwonej pod Warszawą była ostatecznie przypieczętowana. Nie zdawano sobie jednak z niej sprawy nie tylko w Mińsku, ale i w Moskwie. Misja polska miała ze sobą stację nadawczo-odbiorczą, lecz jej użyć nie mogła, gdyż gospodarze na to nie pozwolili. O zwycięstwie pod Warszawą delegacja dowiedziała się z miejscowych plotek w Mińsku i z faktu, że nagle delegaci bolszewicy przystąpili do pertraktacji, co polegało na gwałtownym domaganiu się zgody na coraz to inne, niekiedy fantastyczne wręcz sformułowania. Wniosek był prosty: - należało zdobyć czas na reorganizację sił, podciągnięcie rezerw i stworzenie nowej, bezpiecznej bazy operacyjnej na głównym, północnym froncie.

Lecz po to, by móc zamontować nową ofensywę, trzeba było zyskać trochę cennego czasu. Co prawda Michaił Tuchaczewski zapewniał, że ma dostateczne rezerwy, by przyjąć bitwę obronną w rejonie Lidy czy Wilna, lecz zdania jego dowódców armii - zwłaszcza najzdolniejszego, Siergiejewa - nie były tak optymistyczne. Stąd wniosek dalszy: należy Polakom /raz na zawsze/ odebrać inicjatywę i stworzyć taką sytuację, by w następnej fazie wojny byli znowu w defensywie i to na jak najgorszych dla siebie pozycjach.

Naczelne dowództwo bolszewickie liczyło jeszcze na działania swego frontu południowego nad górnym Bugiem / na styku trzech województw w Polsce / i na przedpolu Lwowa, gdzie zarówno armie konne Budionnego, jak i armie: XII i XIV były nienaruszone i ciągle jeszcze w natarciu. Liczono, że ściągną na siebie znaczne siły polskie, co osłabi ich uderzenie północne. Obliczenia te jednakże zawiodły, gdyż front polski na południu wywalczył w nadludzkim wysiłku sam sobie zwycięstwo, nie naruszając rezerw strategicznych. Tak jak trzy armie bolszewickie na południu nie pomogły Tuchaczewskiemu w bitwie nad Wisłą, tak też w niczym mu nie pomogą nad Niemnem.

-----

W Moskwie uznano, że najbardziej skuteczne będzie zdobycie koniecznego dla nowej ofensywy czasu przy użyciu środków politycznych. I oto następnego dnia po wizycie komendanta "Czerezwyczajki" /Nadzwyczajny Komitet do Walki z Kontrrewolucją/ u przewodniczącego delegacji polskiej Rosjanie zgłaszają nagle gotowość pertraktacji rozejmowych. Tymczasem Komitet Rewolucyjny Marchlewskiego tłucze się na wozach tabo~~pow~~owych wycofujących się spod Warszawy resztek trzeciej armii sowieckiej. Julian Marchlewski jest w tej chwili na nic w Moskwie nie przydatny. Po prostu zapomina się o jego istnieniu i o jego gromkich odezwach białostockich.

Bo oto równolegle z propozycją rozmów w Mińsku misja Kamieniewa w Londynie i depesze Cziczerina /min. spr. zagr./ do stolic europejskich wznawiają propozycje pokojowe, zapewniają wszystkich o pokojowym nastawieniu i chęci poszanowania niepodległości Polski, ciągle jednak pod warunkiem zatrzymania wojsk polskich na rzekomej granicy etnograficznej, czyli na tak zwanej "linii Curzona", której zresztą angielski mąż stanu tego nazwiska nigdy nikomu nie proponował jako granicy państwa polskiego. Rząd Lenina liczy, że nacisk mocarstw zachodnich wymusi na zmęczonej wojną Polsce zatrzymanie polskiej kontrofensywy, co pozwoli na bezpieczne dokonanie nowej koncentracji Armii Czerwonej za osłoną pertraktacji rozejmowych czy pokojowych. Przerwie się je lub nie w zależności od oceny i woli Moskwy.

Jednocześnie propaganda komunistyczna stara się pomniejszyć rozmiary klęski poniesionej pod Warszawą, Lwowem, Zamościem i zachodnim Wołyniu. Cel jest oczywisty: należy przedstawić rząd Lenina jako pokojowy i wielkoduszny,



a nie jako rząd państwa zagrożonego klęską militarną. Cziczeryn podaje w jednym ze swych telegramów: "Radio polskie i francuskie szerzą fałszywe wiadomości o jakimś zwycięstwie polskim. W rzeczywistości siły rosyjskie są nie naruszone i wycofują się w całkowitym porządku".

Jednakże propaganda bolszewicka nie znajduje już zbyt wielu bezkrytycznych słuchaczy. Przyczyniają się do tego ujawnienie rozbieżności szeregu jednocześnie składanych deklaracji, zwykłego kłamstwa, niekiedy naiwne, niekiedy aroganckie, a także relacje wielu dziennikarzy i oficerów zagranicznych misji wojskowych o zwierzęcych okrucieństwach popełnianych przez żołnierzy i oficerów Armii Czerwonej a przede wszystkim służby "Czerezwyczejki".

Operacje będące bezpośrednim następstwem Bitwy Warszawskiej trwały mniej więcej do końca sierpnia 1920 roku. Szczerpłość sił polskich na ogromnych przestrzeniach manewrowych nie pozwoliła na utworzenie szczelnego kotła wokół pobitych i rozproszonych armii Tuchaczewskiego. Dwie były całkowicie rozbite i niezdolne do walki, lecz pozostałe dwie już po 10 dniach wchłaniają rezerwy w rejonie między Grodnem a Białymstokiem. Jedna z nich - jest to 3-cia armia - stanowi pokaźną siłę bojową. Armia 4-ta - która najpóźniej zaczęła się cofać znad Drwęcy i spod Płocka, przechodzi przez Prusy Wschodnie i granicą litewską do terenu nowej koncentracji wojsk rosyjskich. Było tam około 80 tysięcy żołnierzy. Inne straty Tuchaczewskiego, sięgające około 150 tysięcy ludzi, wyrównują podciągane pośpiesznie posiłki z głębi Rosji. Po rozpoczęciu bitwy niemieńskiej w dniu 15 września korespondent londyńskiego "Times'a" pisał: "Bolszewicy skoncentrowali ogromne siły na północno-wschodnim skrzydle polskiego frontu. Siły przeznaczone do obrony Grodna składają się w 20% z doborowych oddziałów komunistycznych... Ofensywa polska uprzedziła tylko ofensywę bolszewicką. Wypadki dowodzą, że ani o minutę za wcześnie! Opóźnienie mogło być fatalne".

Przegrupowanie polskie do nowej operacji zaczepnej zostało zakończone do dnia 10 września 1920 roku. Utworzono grupę uderzeniową z dwóch armii - drugiej i czwartej, pod osobistym dowództwem Naczelnego Wodza - Józefa Piłsudskiego. Jednocześnie zmieniono kierunek frontu z północnego-wschodu bezpośrednio na wschód. Inne armie, przede wszystkim pierwsza i część piątej, miały zabezpieczać natarcie od północy: od strony Lidy, Grodna, Augustowa. Był to odcinek dość trudny nie tylko militarnie lecz i politycznie, gdyż na tym kierunku wywiązała się niespodziewanie walka z nowym nieprzyjacielem, a mianowicie z Litwą. Armie bolszewickie opuszczając częściowo ten rejon wydały Wilno oraz Suwalszczyznę Litwinom, licząc głównie na dywersję litewską/ szczególnie w charakterze politycznym/ przeciwko Polsce. Opanowanie Grodna i Augustowa

było koniecznością wojenną, gdyż od niego zależało powodzenie natarcia polskiego na koncentrację Tuchaczewskiego w rejonie Baranowicz, Nowogródka i Nieświeża, w ogólnym kierunku na południowy-~~zachód od stolicy Białorusi, czyli od Mińska Litewskiego.~~  
~~zachód od stolicy Białorusi, czyli od Mińska Litewskiego.~~

Cel ten osiągnięto w dniu 25 września 1920 roku. Wojska polskie podeszły na skrzydło bolszewickie i przecięły jego komunikację. Od czoła zdobyły Wołkowysk i Lidę, a także Słonim, Iwacewicze, Telechany, Łohiszyn, a na południu przede wszystkim Pińsk, a później ważny węzeł kolejowy Łuniniec. Tuchaczewski nie mógł więc w tej sytuacji wyzyskać swej przewagi i w dniu 28 września zarządził odwrót, tracąc kolejne punkty oporu - Nieśwież, Stołpce, Nowogródek, a przede wszystkim bardzo ważny węzeł kolejowo-drogowy Baranowicze. Najcięższe walki toczyły się przy podejściu do Baranowicz nad rzeką Szczarą.

Odwrót wojsk bolszewickich przekształca się w całkowitą panikę, ogarniającą niezliczone oddziały tyłowe, ośrodki zapasowe i wojska w transportach na zachód. Energiczny pościg polskich czołowych formacji dociera do Słucka nad rzeką Słuczą północną, Kojdanowa/dzisiejszy Dzierżyńsk pod Mińskiem/ i wreszcie do Mińska stolicy Białorusi.

-----

W dniu 17 września 1920 roku strona bolszewicka zgodziła się na przeniesienie rozmów pokojowych z Mińska do Rygi stolicy Łotwy. Rozmowy zaczęte trzy dni później, z powolnych zamieniały się w coraz szybsze w miarę napływania wiadomości z frontów. Od czasu przegranej bitwy niemińskiej strona bolszewicka dokładała starań, by osiągnąć porozumienie jak najszybciej. W dniu 12 października 1920 roku został wydany historyczny rozkaz przez obie strony przzerwiania działań wojennych na frontach. Rosja bolszewicka nie była zdolna w sensie operacyjno-wojskowym do żadnego oporu. Gdyby delegacja rosyjska w Rydze tego dnia nie podpisała rozejmu, armia polska mogła być maszerować dalej na wschód aż do momentu, gdy wydłużone linie komunikacyjne i rozrzucenie wojsk w przestrzeni nie odebrałyby jej zdolności manewrowej. Przywódca bolszewicki Lenin tak pisał w tym okresie w dniu 15 października, że "położenie Republiki Sowieckiej jest nadzwyczaj ciężkie, co zmusza nas do jak najszybszego zawarcia pokoju, zanim mogłaby się rozpocząć przeciwko nam kampania zimowa".

A 20 listopada 1920 roku, uzasadniając motywy, jakie skłoniły jego rząd do zawarcia pokoju z Polską, wyraził się jeszcze dobitniej: "Po wspaniałych zwycięstwach ponieśliśmy druzgocącą klęskę pod Warszawą".

Bitwa przyniosła możliwość pokoju, tak potrzebnego dla młodej Polski, na który godziły się zarówno Polska, jak i Rosja. Polska widziała w nim pokój trwały, Rosja - jak każdą umowę międzynarodową - traktowała go "dialektycznie", to znaczy jako obowiązujący do czasu kolejnej zmiany koniunktury. Zmiana ta jak wszyscy Polacy dobrze wiedzą, nastąpiła w dniu 17 września 1939 roku.

W Rydze toczyły się formalne pertraktacje pokojowe pomiędzy Polską i Rosją, a także również w imieniu Białoruskiej Republiki Rad i Ukrainńskiej Republiki Rad i te dwie sowieckie republiki związkowe miały podpisać ostateczny tekst Traktatu Ryskiego. Mówiąc ściśle, podpisano je w ich imieniu, gdyż w delegacji bolszewickiej w Rydze nie tylko nie było Ukraińców ani Białorusinów, lecz także nie było nikogo, kto by mógł przetłumaczyć nawet teksty polskie i rosyjskie na te języki.

Lecz stronie rosyjskiej nie chodziło ani o granice tych republik związkowych, ani o wolę ich mieszkańców po obu stronach ustalonej granicy. Chodziło jej tylko o wyrzeczenie się przez Polskę zasady samostanowienia tych narodów. Był to jedyny warunek, od którego rząd komunistyczny nie chciał odstąpić i nie odstąpił, ryzykując nawet przedłużenie wojny z wszystkimi tego konsekwencjami. Wyrzeczenie się zasady samostanowienia było podstawową ceną, jaką zapłaciła Polska za tak bardzo upragniony pokój. Była to cena, która zaważyła na przyszłości całej Europy wschodniej, a tym samym całej Europy. Rosja odnosiła tu nie tylko formalne polityczne zwycięstwo. Oczywiście podstawową przesłanką była tu kontynuacja imperializmu carskiego, który Ukrainę i Białoruś wprowadził siłą w ramy Rosji. Łączył się z tym postulat nie mniej ważny, który był nowym wynalazkiem - wynalazkiem leninowskiej koncepcji ustroju komunistycznego. Chodziło o to, by karykatura zasady samostanowienia narodów, jakim była leninowska teoria reprezentowania narodu przez proletariatus, proletariatus przez partię komunistyczną, a partii komunistycznej przez aparat partyjny, wsparty, gdy potrzeba, siłą Armii Czerwonej, znalazła formalne uznanie w stosunkach międzynarodowych. A pierwszym tego rodzaju uznanie były sformułowania rozejmu i Traktatu Ryskiego podpisane przez Polskę.

Dodajmy, że podpisując tę formułę Polska odstępowwała od własnej koncepcji dopomożenia narodom położonym między polskim obszarem zasiedlenia i obszarem etnicznie rosyjskim. W dniu 28 września 1920 roku polska delegacja rządowa z przewodniczącym Janem Dąbskim na czele, zgodziła się na fikcję podpisów Ukrainńskiej i Białoruskiej Republiki Rad pod aktem rozejmowym. Był to historyczny błąd polityki polskiej, co bolszewicy niezwłocznie wykorzystali.

Zanim jeszcze rozejm został podpisany, kazała wojskom ukraińskim sprzymierzonym z armią polską albo złożyć broń albo przejść przez linię frontu.

Tego roku Ukraińcy Polakom nie zapomnieli!

-----  
Formalnie polsko-ukraiński traktat przymierza nie wymagał wypowiedzenia,

gdyż nie doszło do jego ratyfikacji ani w Sejmie polskim, ani w Konstytuancie ukraińskiej, która nie zdażyła się zebrać w czasie krótkiego pobytu wojsk polskich i ukraińskich w Kijowie. Nie było też w traktacie klauzuli wzbraniającej zawarcia odrębnego pokoju. Niemniej przymierze polsko-ukraińskie było faktem historycznym i pociągało za sobą zobowiązania moralne. Jego jednostronne zakończenie stworzyło nowe źródło pretensji / i nienawiści / narodu ukraińskiego do Polski. Była to także część ceny, jaką Polska zapłaciła za upragniony pokój!

Petlura tymczasem postanowił prowadzić dalej beznadziejną już walkę o niepodległość Ukrainy. Przeszedł ze swoimi oddziałami rzekę Zbrucz i odniósł na Podolu w walce z bolszewikami kilka lokalnych sukcesów, lecz w dniu 17 listopada 1920 roku musiał wreszcie walki zaprzestać. Część jego wojska przeszła do Czechosłowacji, większość internowano w Polsce w kilkunastu obozach, wśród których największym było Szczypiorno koło Kalisza, to samo Szczypiorno, gdzie cztery lata przedtem Niemcy więzili polskich legionistów. Podobny los czekał oddział białoruski generała Bałachowicza.

W dniu 15 maja 1921 roku odwiedził obóz w Szczypiornie Józef Piłsudski. Stanąwszy przed frontem oddziału oficerów ukraińskich, po chwili milczenia Naczelnik Państwa polskiego przedstawił krótko postanowienia Traktatu Ryskiego. <sup>historyczne</sup> ~~Historyczne~~ są Jego końcowe słowa wypowiedziane do słuchających z napięciem ukraińskich dowódców: "Ja was przepraszam Panowie, ja was bardzo przepraszam".

Te przeprosiny - "rycerskie", jak je określił najstarszy oficer ukraiński, generał Bezruczko - zamknęły dzieje sojuszu Rzeczypospolitej Polskiej z Ludową Republiką Ukraińską na początku dwudziestolecia istnienia niepodległego Państwa Polskiego. Traktat pokojowy z Rosją bolszewicką natomiast podpisany przez obie strony w dniu 18 marca 1921 roku w Rydze położył podwaliny na pokój pomiędzy Polską a Rosją na następne 18 lat. Pokój ten i traktat został złamany przez Niemcy hitlerowskie i Rosję stalinowską w okresie napaści obu sprzymierzeńców na Polskę we wrześniu 1939 roku.

-----

Okres od 1941 - 1944 nacjonałiści ukraińscy wykorzystali do przygotowania się do ponownego zrywu w walce o "samostijną" Ukrainę początkowo przy pomocy hitlerowskiego aparatu władzy, upatrującego w tym swoistą korzyść. Oczywiście, że centrum kierownicze znajdowało się początkowo w Berlinie, stolicy hitlerowskiej III Rzeszy, następnie, po wybuchu wojny w 1941 roku i przesunięciu się frontów na wschód, ośrodek polityczny Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów zainstalował się we Lwowie. Tu też powstały kolejne "rządy" OUN. Pierwsze miesiące "rządów" ukraińskich we Lwowie to ścisłe wykonywanie poleceń władz wojskowych niemieckich dotyczące organizowania administracji na

okupowanych terenach Zachodniej Ukrainy. Zachodziło niejaki podobieństwo do sytuacji politycznej z okresu I wojny światowej z tą jednakże różnicą, że OUN czuła się mocno osadzona w siodło: liczyła na niezwycięzoną jak dotychczas armię hitlerowską oraz szerokie uświadomienie polityczne i społeczne narodu ukraińskiego, który dopiero teraz, po zrzuceniu jarzma polskiego, a także bolszewickiego, będzie mógł zacząć budować nowy ład na "wyzwolonych" przez hitlerowców obszarach.

Ukraińscy nacjonałiści utrzymujący swe kadry w konspiracji / w czasie rządów polskich / oraz w czasie okupacji bolszewickiej, wystąpili zbrojnie we Lwowie już w czasie odwrotu Rosjan i ~~wparli~~ Niemców wkraczających do miasta. Zaraz potem, w ciągu paru dni współdziałali z gestapo w pogromie Żydów i wyłapywaniu ich dla masowych egzekucji za miastem.

W dniu 3 lipca 1941 roku nacjonałiści ukraińscy sporządzili listę profesorów polskich z wyższych uczelni lwowskich i innych, przedkładając ją SS Sonderkommando dr. Schöngartha a następnie biorąc bezpośredni udział w ich rozstrzeliwaniu oraz rodzin profesorskich.

Od dnia 1 lutego 1942 roku nacjonałiści ukraińscy w tzw. dystrykcie Galicja rozpoczęli gwałtowne przygotowania do przyszłego zbrojnego wystąpienia głównie przeciwko ludności polskiej. Przygotowania te miały charakter masowego powstania i tworzenia faktów dokonanych.

W dniu 16 listopada 1942 roku polityczne kierownictwo Ukraińskiej Powstańczej Armii w swej odezwie do ludności Zachodniej Ukrainy narodowości polskiej do natychmiastowego opuszczenia tych ziem ukraińskich i wycofania się za Bug. W wypadku nie zastosowania się do tego wezwania OUN i UPA grozi całkowitym wyniszczeniem żywiołu polskiego.

Rok 1943 charakteryzuje się masowymi wystąpieniami UPA i innych oddziałów ukraińskich nacjonalistów przeciwko ludności polskich na Wołyniu, okręgu Tarnopol, Lwów, Stanisławów, Kołomyja, Buczacz, Sambor, Stryj, Drohobycz, Borysław, Rawa Ruska, Tomaszów Lubelski, Hrubieszów i td.

Sposoby i metody stosowane przez OUN i UPA były niesłychanie podstępne i prowokacyjne względem nic nie spodziewającej się polskiej ludności przeznaczonej przez ukraińskich nacjonalistów na ~~masowe~~ rzezie. Rozwijająca się równolegle intensywna działalność rosyjskiej partyzantki na tych terenach, a szczególnie na północnym, środkowym i wschodnim Wołyniu i Polesiu oraz środkowym dorzeczu Dniepru, spowodowała użycie osławionych galicyjskich dywizji złożonych z ukraińskich morderców i kryminalistów przez wojskowe władze hitlerowskie. Zgrupowania ekspedycyjne tworzone ~~przez~~ w pośpiechu przez hitlerowców na terenie Lwowa i innych większych miast galicyjskich, transportowano następnie pociągami i w kolumnach samochodowych na północ, do miejsc największego partyzanckiego zagrożenia. Działania te można porów-

nać do zakamufLOWANYCH posunięć dowódców ukraińskich, trzymanych w głębokiej tajemnicy, kiedy w czasie zakończenia I wojny światowej ruszyli w zaciekłym ataku na mieszkańców Lwowa i okolic. Po przykrywką rozprawy z partyzantami sowieckimi i polskimi użyli tych jednostek przede wszystkim do rozprawy z ludnością polską: do masowych mordów i rzezi.

Ta swoista "ofensywa" ruszyła ze Lwowa i obszaru galicyjskiego na północ i północny-wschód głównym szlakiem drogowo-kolejowym przez Krasne, Złoczów, Brody, Kamionkę Strumiłową, Horochów, Beresteczko, Krzemieniec, Dubno, Łuck, Włodzimierz Wołyński, Równe, Kowel oraz wzdłuż linii kolejowej: Kostopol - Sarny. Stąd rozlała się po obu stronach tej linii żelaznej obejmując swym zasięgiem całe środkowe dorzecze Styru, Horynia i Słuczy. Do końca 1943 roku ta ukraińska straszliwa pożoga ogarnęła cały Wołyń.

Zgodnie z zawołaniem bojowym Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów - "smert' Lachan" - Polacy zostali wyparci częściowo za San i Bug, a częściowo spędzeni do warownych obozów w Przebrażu koło Kiwerc w rejonie Łucka, w Hucie Stepańskiej na zachód od starego miasteczka Stepań w rejonie Kostopola, w Turopinie w rejonie Włodzimierza Wołyńskiego oraz za Słuczą w rejonie Moczulanki, Lewaczy, Starej Huty, a także w Lipnikach przed Słuczą, na południe od Bereźnego w powiecie kostopolskim.

Czego nie sprawiły deportacje do ZSSR w latach 1940-1941, czego potem nie dokonał masowy terror, tego dopełniły przymusowe przesiedlenia ludności, zażądzone w drodze wymiany ludności pomiędzy Związkiem Sowieckim a Polską Ludową. Napady na Polaków odjeżdżających z drobnym dobytkiem towarzyszyły wysiedleńcom jeszcze długo po zakończeniu wojny.

Pogorzeliska zarosły trawą-mogiły się pozapadały, przyszli nowi ludzie. Zakończyły się wieki współżycia, zaczęła się epoka sąsiedztwa, rozgraniczonego surowym kordonem. Nie ma powrotu do poprzedniego stanu rzeczy. Nie wraca się do zabytków, wraca się do ludności. A ludności polskiej zostało po tamtej stronie bardzo mało. Ukraińcy obliczają ją na 5% na "Ziemii Halickiej", na jeszcze mniej na Wołyniu. Obecność Polaków na tych terenach ograniczona jest przede wszystkim do miast.

Jeden z historyków czasów międzywojennych zanotował zwierzenia Edwarda Osóbki-Morawskiego, że kiedy był premierem rządu PRL i próbował w roku 1945 uratować u Stalina Lwów i przyległe obszary dla Polski, Stalin odparł mu, że jak długo Lwów by pozostał przy Polsce, tak długo istniałby problem ukraiński, a on chce problem ten raz na zawsze zlikwidować. Stalin się omylił, problem niepodległości Ukrainy nadal istnieje i narasta. Ale zapowiedź jego była złowieszczą; przyszły przesiedlenia z głębi Rosji. Lwów tak jak przedtem nie był w większości ukraiński, tak i nadal nim nie jest, w miejsce Polaków

przybyli tam zupełnie obcy osiedleńcy ze wschodu. Podróżni odwiedzający to miasto słyszą przede wszystkim język rosyjski.

To samo dotyczy innych wielkich miast na utraconych Kresach Wschodnich: Wilna, Baranowicz, Pińska, Sarn, Równego, Tarhopola czy Stanisławowa. Wszędzie nowi okupanci zaprowadzili swoje własne porządki a przede wszystkim język rosyjski, zwyczaje i tradycje niezrozumiałe i nienawistkne dla narodów będących nadal pod tą okupacją.

-----

Na tym zakończę część wspomnień i refleksji dotyczących kraju mego dzieciństwa i młodości spędzonych w jakże różnych warunkach i okolicznościach, w kraju moich przodków pamiętających dni spokoju i dobrobytu, a także groźne i niespokojne, pełne okresu wyczekiwań i tęsknoty za utraconą wolnością oraz niezwalczonej nadziei na lepsze jutro.

© ARCHIWUM WSGRÓDNI